

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



2

(58) 2009

S. Dziedzic pisze o Ślicznej Gwieździe Miasta Lwowa
♦ Rozmowa z ks. prof. J. Wołczańskim ♦ O malarzu Sichul-
skim, poecie Zahradniku i geografie Ernście ♦ Wspomnienia
z lat dziewczęcych ♦ O turystyce w Karpatach Wschodnich
♦ Poezja i proza ♦ O nowym kościele w Tarnopolu ♦ Książki

PO JUBILEUSZU

Minęło nam Dwudziestolecie. Jubileusz uczciliśmy uroczystością, a nasza ekspatriantka organizacja weszła niespostrzeżenie w trzeci dziesiątek swojej działalności. Czas się nad tym zastanowić.

Po pierwsze: co zdziałaliśmy? Czy wykorzystaliśmy te lata do pogłębienia świadomości nowego społeczeństwa polskiego o tamtej, odwiecznej, południowo-wschodniej części kraju, brutalnie odciętej od naszego państwa? Czy pomagaliśmy Polakom zza jałtańskiego kordonu w ich niełatwej egzystencji – jako ludziom i jako Polakom? Czy przyczyniliśmy się do ratowania pozostałych za kordonem dokumentów naszego wielowiekowego bytu, obrony i twórczości?

Po drugie: co możemy uczynić na przyszłość? Czy jesteśmy w stanie zostawić po sobie coś, co przejmie po nas wiedzę, inicjatywę i trud kontynuacji naszych starań o to, o co zapytaliśmy na wstępie: o świadomość narodową, o solidarność z Rodakami, o pamięć, ale pamięć twórczą.

Pozostawmy na razie na boku te kwestie, a zastanówmy się nad sytuacją w kraju – oczywiście w dziedzinie, która nas zajmuje. Oto w ostatnim czasie zauważyliśmy wzrost zainteresowania społecznego problematyką zabranych Ziem Wschodnich. W gazetach i tygodnikach (może z wyjątkiem jednego lub dwóch) znajdujemy sporo życzliwych dla polskości artykułów i reportaży, a niektóre dzienniki wydają nawet specjalne dodatki. Na szeregu uczelni organizuje się sesje poświęcone wybranym tematom nauki czy literatury Kresów*, a liczni autorzy prezentują książki związane z twórczością i wytwórczością w różnych dziedzinach. Turystyka edukacyjna nie ustaje, przeciwnie – np. w Krakowie przyjęto oficjalnie program pn. *Poznanie dawnych Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej przez krakowskich gimnazjalistów*. Z satysfakcją trzeba zanotować, że – bodaj w części – zaprzestano przemilczania tragicznych wydarzeń czasu II wojny światowej, a w maju br. Rzecznik Praw Obywatelskich – odpowiadając na coraz głośniejsze postulaty szerokich kręgów – zorganizował konferencję (20 maja '09) pt. *Państwo a pamięć ofiar – Nieupamiętnione ofiary zbrodni wołyńsko-małopolskiej*. Zaproszono kilku poważnych referentów** oraz wielu działaczy z całego kraju (także z oddziału krakowskiego TMLiKPW). Spodziewamy się przekazać Czytelnikom sprawozdanie z tej Konferencji w następnym numerze CL.

Co ciekawe, opisana sytuacja powstaje pomimo nieustannego oddalania się w czasie zarówno II wojny, jak i powojennej polityki „wygaszania” pamięci. Czemu więc przypisać taki właśnie korzystny (choć spóźniony o parędziesiąt lat) zwrot orientacji? Czy jest w tym wszystkim także jakaś nasza zasługa?

Wydaje się paradoksalnie, że głównym powodem powrotu pamięci o utraconych Ziemiach Wschodnich jest polityka części działaczy (nie tylko państwowych i nie tylko świeckich) względem państw, które *prawem kaduka* odziedziczyły po ZSRR odebrane nam historyczne regiony (w sumie połowę przedwojennej powierzchni państwa***), a teraz miałyby się stać dla nas osłoną od strony Rosji. Jednak żenujące, często pozbawione godności *umizgi* naszych *dostojników* względem tych państw oraz przemilczanie karygodnego zachowania tamtejszej administracji (przede wszystkim ukraińskiej) względem żyjących tam Polaków i ich spraw – spowodowały w naszym społeczeństwie reakcję odwrotną. Rozsądna część społeczeństwa zrozumiała wreszcie, że jednokierunkowa, *politycznie poprawna* polityka wschodnia poszła za daleko, oraz że dając – trzeba też wymagać, że nie wolno rezygnować z własnej godności i interesu. Tak właśnie postępują ci, do których się *zalecamy*, a przecież i im zależy na dobrych stosunkach z Polską. Niestety nie tylko nie spotykamy się z kurtuazją w stosunkach bilateralnych, ale zyskujemy u nich opinię słabych, których nie należy poważnie brać pod uwagę. Przykładem lekceważenia spraw polskich niezmiennie pozostaje (i pogłębia się negatywnie) problem szkolnictwa polskiego, dalej kwestia upamiętniania dramatu polskiej ludności na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej

MIASTO JAK BRYLANT... (6)

Udział Lwowa w walce z Niemcami w r. 1939 mało jest znany szerokiemu ogółowi. Tak się jakoś złożyło, że nie znalazły się pióra, które by opisały epopeję tego miasta, a Lwów bił się przecież, przez 10 dni stawiał czoło wrogowi, i jest może jedynym miastem, którego Niemcy nie potrafili zdobyć, choć je oblegali i tak bardzo chcieli je opanować.

Dziesięć dni, nie tak wiele zapewne, ale to 10 dni wojny błyskawicznej. W 10 dni waliły się państwa w tych czasach. W 5 dni Holandia została zajęta. W 10 dni przeszli Niemcy przez Holandię, Belgię i Francję i dotarli aż pod Amiens na wysokości Paryża. W 7 dni został złamany opór Jugosławii. W 4 dni doszli Niemcy w r. 1941 do granicy polsko-bolszewickiej na północy Polski. W 10 dni odebrali bolszewikom połowę Polski, tzn. wszystko, co okupowali, choć broniło jej około 160 wojskowych jednostek sowieckich i umocnienia polowe, budowane przez półtora roku. W 10 dni dotarli Niemcy znad wschodniej granicy Polski do Dniepru, przebijając system fortyfikacji Stalina, budowany przez 20 lat – ale w 10 dni nie zdobyli Lwowa. Lwów bronił się 10 dni, a byłby się bronił znacznie dłużej, gdyby nie sprzymierzeńcy Hitlera, którzy w wielkiej sile podeszli pod miasto.

Kazimierz Ryzicki, *Obrona Lwowa w roku 1939, 1943*

Rzōlnierze Armii Polskiej!

Pańsko-burżuazyjny Rząd Polski, wciągnowszy Was w awanturystyczną wojnę pozor-nie przewaliło się. Ono okazało się bezsilnym rządzić krajem i zorganizować obronę. Ministrzy i generałowie schwycili nagrabione im złoto tchōrźliwie uciekli, pozostawiając armię i cały lud Polski na wolę losu. Armia Polska pocierpiała surową porażkę, od kōrej ona nie oprawić w stanie się. Wam, waszym żonom, dzieciom, braciom i siostram ugra-za głodna śmierć i zniszczenie.

W te ciężkie dni dla Was potężny Związek Radziecki wyciąga Wam ręce braterskiej pomocy. Nie przeciwie się Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej. Wasze przeciwienie bez kożyści i przyrzeczono na całą zgubę. My idziemy do Was nie jako zdobywcy, a jako Wasi bracia po klasu, jako Wasi wyzwoleńcy od ucisku obszarńików i kapitalistów.

Ulotki rozrzućane z samolotów sowieckich we Lwowie, wrzesień 1939;
zachowano pisownię oryginału

Wracam późnym wieczorem do domu. Ulice wyściela lepka, biała jak wata mgła. Ludzi nie widać prawie całkiem. Za to całą jezdnię zawaliły nieprzeliczone szeregi czarnych wojskowych aut. Od Politechniki, popod kościół św. Marii Magdaleny, przez całą ul. Potockiego, aż do poczty. Stoją martwe, puste, bez światel, jak nagle wyrojone, niewiadome, wrogie owady. Po co ich tyle? Po co?

Tej samej nocy następuje wywóz ludności cywilnej z miast.

Wiesz już załatwiona. Teraz kolej na miasta i miasteczka, jednej nocy na wszystkich zajętych terenach, od razu.

Reguły znowu żadnej. Niepodobna dojść, czemu ci, a nie tamci i czemu nie wszyscy? Przypadek? Los? Loteria? Paszport nie uratował nikogo.

Co działo się tej nocy we Lwowie, tego nie podobna opisać. To trzeba było przeżyć, by dać wiarę.

... Jakaś dziewczynka, nieprzytomna ze strachu, wyskakuje z drugiego piętra na bruk. Łamie obie nogi. Enkawudziści wnoszą ją na rękach do czekającego przed bramą kam-ionu*. Inni taszczą materac ze sparaliżowaną staruszką. Miasto dudni od szalejących po ulicach aut. Łomotanie w bramy. Wyważanie drzwi. Krzyki. Płacz.

Jednym pozwalają brać ze sobą wszystko, co kto uniesie. Innym, tym zwłaszcza, któ-rych już brano nad ranem, wolno ledwie coś zarzucić na siebie. Chodzi o to, by skończyć przed ranem. Zbrodniarze zawsze unikają dnia.

Beata Obertyńska, *W domu niewoli*, kwiecień 1940

* auta ciężarowego (z franc.)

W XVII wieku ciężkie nadeszły czasy dla Rzeczypospolitej. Najpierw, w I połowie wieku, wyniszczające wojny z Turcją i Moskwą przynosiły każdorazowo zagrożenie granic, poważne osłabienie państwa i jego pozycji w Europie, zubożenie jego mieszkańców i coraz wyraźniej zarysowujące się widmo postępującego kryzysu jego modelu ustrojowego, o którym szlachta z dumą powiadała, że jest on atrybutem wolności i tajemnicą jego trwałości. Potem groźba rozpadu państwa i śmiertelnego niebezpieczeństwa spowodowana powstaniem Chmielnickiego, wreszcie najazdem szwedzkim w 1655 r., nawet najbardziej przeświadczonym o nie naruszalności granic Rzeczypospolitej i jej nieomal mesjanicznej misji – odebrał złudzenia w tym względzie.

Wojny stawały się w skutkach coraz dotkliwsze, coraz częściej teatr ich działań dotyczył już nie rejonów przygranicznych, przechodzących raz po raz w różne ręce, ale terenów centralnie położonych, niezajmowanych wojny nierzadko od lat kilkuset. Dopóki więc powstanie pod wodzą Bohdana Chmielnickiego obejmowało tereny Dzikich Pól, wielu wpływowych możnowładców sprawę lekceważyło, ale gdy zagrożony został przez te wojska Lwów czy Zamość – sprawę zaczęto odbierać, choć po niewczasie, zgoła inaczej. Gdy w 1655 r. wojska szwedzkie zajęły znaczącą część ziem Rzeczypospolitej, opanowując najpierw Wielkopolskę i Liwę Środkową, a następnie podeszły pod stołeczny Kraków, król Jan Kazimierz wraz z małżonką, dworem i licznymi dygnitarzami świeckimi oraz duchownymi, zdecydował się opuścić Rzeczypospolitą, by schronić się w rodowych dobrach na Śląsku i stamtąd podejmować działania polityczne i militarne zmierzające do wyzwolenia Rzeczypospolitej spod szwedzkiej okupacji. Sytuacja była tym dramatyczniejsza, że wojska szwedzkie z bezprzykładnym barbarzyństwem dokonywały podboju i rabunku majątku państwa

i jego zasobów kulturowych, w perzynę obracając te dobra, których wywieźć się nie dało. Żadna wojna, żaden najazd nie spowodował w znaczeniu totalnym tak tragicznych i w ogromnej mierze bezmyślnych, prymitywnych spustoszeń, co właśnie ten. Siła zła wobec Rzeczypospolitej była tym większa i straszliwsza, że ona sama potwierdzała swoją bezsilność, owszem wiele znaczących i wielce wpływowych rodów możnowładczych, zwłaszcza protestanckich, w sposób mniej lub bardziej otwarty zaczęło wiązać swoją przyszłość z najeżdżącą, nierzadko wręcz walczącą po stronie agresora. Międzynarodowa sytuacja Rzeczypospolitej wydawała się tym bardziej beznadziejna, że już wówczas doszło do tajemnego porozumienia kilku państw

ościennych zmierzających do rozbioru ziem Rzeczypospolitej.

Grabieże i gwałty dokonywane przez okupantów sprzyjały rychłemu anty-szwedzkiemu zrywowi ze strony coraz szerszych rejonów Rzeczypospolitej. Kiedy katolicką społeczność Rzeczypospolitej obiegła wieść, że w listopadzie 1655 r. wojska szwedzkie przystąpiły do oblężenia najświętniejszego sanktuarium maryjnego, z czczonym tam od bez mała trzech stuleci obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, dla większości Polaków stało się oczywiste, że Szwedzi nie zamierzają uszanować jakichkolwiek narodowych świętości Polaków. Bohaterska obrona jasnogórskiej twierdzy – sanktuarium, bronionej przez zakonników i zaledwie 150-osobową załogę przed trzytysięczną armią napastników, zakończona ich odstąpieniem po pięciodniowym, bezskutecznym oblężeniu, wiała też w naród wiarę nie tylko w możliwość skutecznej obrony, a w konsekwencji wyparcia najeźdźców z granic Rzeczypospolitej, ale także przeświadczenie o nadprzyrodzonej opiece Maryi nad narodem. Rychło też okazało się, że zwycięski pochód armii szwedzkiej został powstrzymany, że natrafia ona na trudności z opanowaniem całości ziem rozległej Rzeczypospolitej.

Stanisław Dziedzic

ŚLICZNA GWIAZDA MIASTA LWOWA

Kiedy więc król Jan Kazimierz postanowił powrócić do kraju i osobiście włączyć się do walk z agresorem, dowództwa nad coraz szerszymi działaniami partyzanckimi ujął wojewoda kijowski Stefan Czarniecki.

W otoczeniu królewskim – pisze Jerzy T. Petrus – *narodził się plan działań religijnych i politycznych, o zabarwieniu społecznym, „apelujących do uczuć religijnych i krzywdy społecznej uciskanych przez magnatów i szlachtę mas ludowych, aby wywołać ogólne powstanie narodu”, ale jednocześnie mających na celu „wyjednanie miłosierdzia i pomocy Bożej wśród niezliczonych nieszczęść za pośrednictwem Najświętszej Maryi Panny, z obietnicą szerzenia kultu Matki Bożej, poprawy doli ludu uciskanego i traktowanego niesprawiedliwie”. Znaczącą rolę odegrał tu papieski nuncjusz Pietro Vidoni. Ostatecznego sformułowania programu dokonał prymas polski, arcybiskup i metropolita gnieźnieński Andrzej Leszczyński.*¹

MIASTO „SEMPER FIDELIS”

Te tragiczne doświadczenia narodu, usilne dążenie do zrzucenia jarzma narzuconego przez obce wojska i przemożna potrzeba oparcia o wartości nadrzędne i nieprzemijające, wsparta na przeświadczeniu o szczególnej opiece Bogarodzicy nad narodem polskim, legły u podstaw królewskich ślubów w mieście, które już wówczas, ale i w wiekach następnych, określane będzie jako *semper fidelis* – zawsze wiernie Rzeczypospolitej, w tamtejszej katedrze łacińskiej. Zakładano: *dzień, w którym Najświętsza Dziewica zapewni zwycięstwo nad wojskami szwedzkimi, niech będzie obchodzony przez Polaków i Litwinów jako najuroczystsze święto Matki Bożej Królowej Polski i Litwy, połączone z postem ścisłym i wszelką*

*abstynencją (...) wojsku należy zakomunikować, ażeby również w podobnym ślubowaniu obrało Najświętszą Królową. I ujrzymy w najkrótszym czasie Jej pomoc, a imię Dziewicy Maryi Królowej Polski i Litwy stanie się przesławne*².

Przedstawiony przez prymasa Leszczyńskiego zamysł Jan Kazimierz przedstawił radzie królewskiej, nadano mu szerszy, społeczny wymiar, dotyczący zapowiedzi poprawy warunków życia i statusu ludu wiejskiego – po czym potwierdzony został wybór miejsca ślubów – niezdo-

byty przez Szwedów Lwów. W stolicy województwa ruskiego, do której przybył król już 10 lutego 1656 r., witany entuzjastycznie przez mieszczan, świątyni wspaniałych, godnych wielkich wydarzeń o znaczeniu historycznym było co najmniej kilka.

Był wszak Lwów siedzibą trzech biskupów: katolickiego arcybiskupa metropolity, arcybiskupa katolicko-ormiańskiego oraz biskupa prawosławnego, a w tamtejszych kościołach czczonych było kilka wizerunków Matki Bożej, uznawanych za łaskami słynące. Słynęły z takich,

cieszących się znacznym i żywym kultem oba katolickie kościoły katedralne, kościół oo. Dominikanów oraz kościół oo. Jezuitów. Trzy z nich zwłaszcza cieszyły się starożytną kościelną proweniencją: sławny dominikański wizerunek Matki Bożej z Dzieciątkiem, namalowany wg prastarej tradycji przez św. Łukasza Ewangelistę, w tym samym kościele nie miałym kultem cieszyła się alabastrowa figura Madonny „Jackowej”, którą z płonącego kijowskiego kościoła przyniósł do Lwowa pierwszy polski dominikanin, św. Jacek Odrowąż, a w pobliskim, monumentalnym świeżo ukończonym kościele oo. Jezuitów słynął łaskami obraz Matki Bożej Śnieżnej – piękna kopia wizerunku z papieskiej bazyliki patriarchalnej, Santa Maria Maggiore, czczonego przez rzymian jako Salus Populi Romani – Wybawicielka Ludu Rzymskiego.



MOŻNA PANI Z LWOWSKIEJ ARCHIKATEDRY

Ale wybór padł – ponoć z osobistego wskazania monarchy – na wizerunek, któremu nie towarzyszyła ani odwieczna sława, starożytne pochodzenie czy nadzwyczajne walory artystyczne, ale niewielki rozmiarami wizerunek, który do niedawna wisiał na zewnętrznej ścianie lwowskiej archikatedry, ale już wówczas cieszący się wielką sławą, bo powszechnie uznawany jako cudowny, i choć namalowany zaledwie przed półwieczem, mocno związany z tragicznymi doświadczeniami Rzeczypospolitej i samego Lwowa ostatnich dziesięcioleci.

Malowidło wykonane na desce farbami temperowymi, obraz przedstawia Matkę Bożą Łaskawą, siedzącą na tronie, wśród obłoków i aniołów, trzymającą Dzieciątko błogosławiące mieszkańcom Ziemi oraz przedstawioną w dolnej części obrazu rodzinę malarza. Obraz namalowany został w 1598 r. przez lwowskiego mieszczanina, Józefa Szolca-Wolfowicza dla upamiętnienia jego zmarłej wnuczki, Katarzyny Domagalewiczówny. Dziewczynkę pochowano na okalającym katedrę łącińską cmentarzu, a niewielki rozmiarami obraz (44x61 cm) rodzina umieściła na zewnętrznej ścianie katedry, od strony ulicy Halickiej, w pobliżu grobu. Rychło zaczął się on cieszyć coraz szerszym kultem, przeto Domagalewiczowie wybudowali własnym kosztem niewielką kaplicę, połączoną z katedrą, w której wizerunek ten został umieszczony w 1645 r., za specjalnym pozwoleniem arcybiskupa Stanisława Grochowskiego.

Józef Szolc-Wolfowicz pochodził z zamożnej patrycjuszowskiej rodziny, której protoplasta lwowski Wolfgang Szolc (zm. 1574) przybył tu ze Świdnicy, dając początek świetnym dokonaniom na rzecz miasta. Z zawodu był mierniczym, pełnił nawet szaszczytny i dobrze płatny urząd geodety miejskiego, a malarzem był z zamiłowania oraz z racji niemałych uzdolnień w tym względzie. Był członkiem bractwa malarzy katolickich, co poświadczają zachowane dokumenty, m.in. przywilej arcybiskupa lwowskiego Jana Dymitra Solikowskiego z 1596 r. wydany dla tegoż bractwa oraz uchwała rady miejskiej z 1597 r., także dotycząca tego bractwa. Wizerunek Matki Bożej Łaskawej jest jedynym znanym obecnie jego dziełem, ale z racji przynależności do owego bractwa wnosić można, że pod jego pędzlem musiało powstać więcej obrazów.

W rzeczywistości rodzinie Domagali-czów zmarło dwoje dzieci – wspomniana kilkuletnia Katarzyna, a wcześniej nieznany z imienia jej brat – i właśnie dwójka wnucząt klęczących zanosi modły do Matki Bożej trzymającej na kolanach stojące Dzieciątko, przedstawione majestatycznie, na tle tęczy, wśród chmur i aniołów. W dolnej części obrazu, z tyłu za postaciami klęczących dzieci, rozciąga się pagórkowaty krajobraz z zabudowaniami miasteczka i drogą, po której podążają jacyś podróżni.

Ten widok – stwierdza Jerzy T. Petrus – został z czasem błędnie uznany za przedstawienie Lwowa. Kompozycja obrazu nie była oryginalnym pomysłem polskiego artysty. Szolc-Wolfowicz w swojej pracy wykorzystywał niderlandzkie ryciny Philippa Gale z roku 1578 oraz Johannesa Wierixa z roku 1584. Manierystyczny wizerunek przedstawia Matkę Bożą jako delikatną, elegancką damę, ubraną i uczesaną zgodnie z najnowszą ówczesną modą. Kontrastuje z tym postać Dzieciątka, o krępej posturze antycznego bohatera. Obraz, odznaczający się bogatą paletą kolorystyczną, należy uznać za jedno z najwybitniejszych dzieł malarskich powstałych we Lwowie na przełomie XVI i XVII stulecia, znakomite świadectwo wysokiego poziomu artystycznego i technologicznego tamtejszego warsztatu cechowego mistrza³.

O rozmiarach kultu zaświadczały zarówno liczne kosztowne wota, spisane w inwentarzach katedralnych, opisy nadzwyczajnych zdarzeń, przypisywanych orędownictwu Matki Bożej przez przybywające do katedralnej kaplicy tłumy wiernych. Obraz Matki Bożej Łaskawej uznano za palladium miasta. Służyły temu przeświadczeniu ważne wypadki dziejowe.

W 1648 r., po bezskutecznym oblężeniu Lwowa przez Bohdana Chmielnickiego, mieszkańcy miasta w podzięcie za okazaną pomoc ofiarowali Matce Boskiej votum dziękczynne – kosztowną tablicę z napisem: *Maryję straszną, jak zastęp wojsk uszykowany, poczuli Tatarzy i kozacy zbuntowani, a senat i lud lwowski uznaje i kornie wielbi w oswobodzeniu miasta od oblężenia. Roku Pańskiego 1648...*

Sława wizerunku, uznawanego coraz powszechniej za cudowny, przybierała coraz szerszy zasięg. Król Jan Kazimierz dzięki-

wał przed nim za zwycięstwo nad wojskami Chmielnickiego pod Beresteczkiem w 1651 roku. W kaplicy Matki Bożej Łaskawej zawiesił dwa sztandary zdobyte na wojskach kozackich. W 1655 roku zapędzili się znów kozacy pod Lwów, ale po bezskutecznym oblężeniu miasta odступili. Lwowianie i tym razem ocalenie przypisywali Matce Bożej, przed której wizerunkami, zwłaszcza zaś Madonny Łaskawej, zanosili podczas oblężenia błagalne modlitwy. Czy można się dziwić, że właśnie przed tym obrazem pragnął złożyć królewskie ślubowanie Jan Kazimierz wraz z senatorami i przedstawicielami szlachty?

KRÓLEWSKIE ŚLUBY

Król osobiście przeniósł na tę uroczystość wizerunek Matki Bożej Łaskawej z kaplicy i umieścił go na ołtarzu głównym archikatedry. Podczas uroczystego ślubowania, przedpołudniową porą 1 kwietnia 1656 r., Jan Kazimierz wypowiedział historyczne słowa, które w dziejach Rzeczypospolitej i narodu polskiego miały fundamentalne znaczenie:

Wielka Boga – Człowieka Matko i Pan-no Najświętsza! Ja, Jan Kazimierz, z łaski Twojej król – rzucając się pod Twoje święte stopy, Ciebie za Patronkę moją i państw moich Królową obieram. Siebie i moje Królestwo Polskie, Wielkie Księstwo Litewskie, Ruskie, Pruskie, Mazowieckie, Żmudzkie, Inflanckie, Czernichowskie etc. etc. wojska obojga narodów i lud cały – Twojej szczególnej opiece i obronie poruczam...

Wieczorem tego samego dnia, z udziałem Jana Kazimierza, dworu oraz rzeszy wiernych, w pobliskim kościele oo. Jezuitów, przed łaskami słynącym obrazem Matki Bożej Śnieżnej odbyły się uroczyste nieszpory, podczas których nuncjusz papieski Vidoni odmówił litanie loretańską. Na zakończenie tej litanii wzniósł po raz pierwszy, powtórzone przezeń trzykrotnie zawołanie: *Regina Regni Poloniae*. W dwa i pół wieku później arcybiskup tego właśnie miasta Józef Bilczewski wyjednał u papieża oficjalną zgodę dołączenia do litanii loretańskiej wezwania: *Królowo Polski, módl się za nami*.

W kilka dni po królewskich ślubach w katedrze lwowskiej Stefan Czarniecki odniósł pierwsze znaczące zwycięstwo nad Szwedami pod Warką, które zapoczątkowało przełom na bitewnych polach, w otwartych

Zaduma o Lwowie

Poniższy wzruszający wiersz nadesłał do naszej redakcji Pan Edward Gil, lwowianin, zamieszkały dziś w Chełmie. Przysłano mu go z Kanady, jednak autorstwo utworu jest nieznane. Może trafi się ktoś, kto miałby na ten temat informacje? Zapewne i Pan Edward, i my byłibyśmy za to bardzo wdzięczni.

Panu Edwardowi serdecznie dziękujemy za wiersz, za obrazek i za noworoczne życzenia. Teraz my Panu składamy najlepsze życzenia z okazji Święta Zmartwychwstania Pańskiego – niestety trafią one do Pana z wielkim opóźnieniem, bo najpóźniej w czerwcu. Ale nadal będą ważne!

W cichym zakątku serca mego jak w kasecie wideo
Mam zamknięte wspomnienia.

Było, przeszło, minęło...

Kiedy zasnąć nie mogę, co dość często się zdarza,

To wówczas w mej pamięci tę kasetę odtwarzam.

I wracam oczami duszy do lat, gdy byłem młody,

Do miasta, które kiedyś nazwano „Lwim Grodem”,

Którego panoramę dokładnie pamiętam,

A które kojarzy się z dumnym słowem „Orleńa”.

I słyszę sygnaturkę, tę z kościoła Marcina,

I basowy dźwięk dzwonów ojców Bernardynów,

W uszach brzmią mi kuranty starych lwowskich zegarów

Oraz znajomy bałak naszych lwowskich batiarów

I skikam do balonu na rogu Balonowej,

Aby się nie spóźnić do ciotki Bańdziuchowej,

I nucę sobie piosenkę; prosta, niewinna taka...

Jestem lwowski chłopaka i po lwowsku bałakam.

Piękny lwowski bałaku! Moja lwowska mowo,

Soczysta, dźwięczna, śpiewna, w której każde słowo

Ma swoistą melodię...

Z niej właśnie wyrasta

Miłość do tego uroczego miasta.

By tę mowę zrozumieć, należy się zgodzić,

Że najpierw lwowiakiem trzeba się urodzić.

Bo co to znaczy *kinol*, albo też *przylepka*,

Co to takiego *meszty*, co dla dziecka *pypka*,

Kto to jest *Pindula*, kto *hojda Maryna*,

Co to *Łyta*, *łachmyta*, a co *kataryna*?

Co to znaczy *si łachować*, co znaczy *katulać*,

Co to *dać komuś facki*, co to *wymagulać*?

Co to *furdygarnia*? Co to *mantelepa*

Co to *kołotuszka*, co to jest *fepeta*?

I już naprawdę z rzędem podaruję konia

Temu, co mi wyjaśni, co to *kacamonia*.

Wszystko to nagle mi we śnie ożywa,

W ustach czuję smak *kwargli* i lwowskiego piwa, ►

walkach z wojskami najeźdźców. Na wieść o lwowskich ślubach i tych pierwszych zwycięstwach militarnych papież Aleksander VII odprawił w Rzymie, w tamtejszym polskim kościele Świętego Stanisława, uroczyste nabożeństwo dziękczynne.

Nie znaleziono dotąd żadnej relacji ani pamiątkarskiego zapisu, zawierającego szczegółowy opis ślubów króla Jana Kazimierza w archikatedrze lwowskiej 1 kwietnia 1656 r. Nie wiemy, kto poza dostojnikami kościelnymi, w tym także nuncjuszem papieskim, towarzyszył w tej uroczystości królowi, czy monarcha ubrany był w strój dostosowany do charakteru uroczystości, czy wreszcie był to strój polski, czy też, jak to było często w jego zwyczaju, francuski. Zachował się wszakże, i to jest najważniejsze, pełny tekst ślubowania królewskiego, wiemy też, jak już wspomniano – że składał je król przed przyniesionym specjalnie z kaplicy, osobiście mu znanym i przezeń osobiście wskazanym, uchodzącym już wówczas za cudowny, obrazem Matki Bożej Łaskawej.

Sława lwowskiego obrazu i ranga Kazimierzowskich ślubów, których przytoczyłem tylko fragment, ale o zasadniczym znaczeniu, była nadzwyczajna i dalekosiężna. Już niebawem, bo w 1657 r., jasnogórski przeor, ojciec Augustyn Kordecki, wydając w Krakowie własny, autorski opis oblężenia Jasnej Góry przez Szwedów, uznał za stosowne na stronie tytułowej swojego dzieła *Nowa Gigantomachia* zamieścić właśnie wizerunek Matki Bożej Łaskawej, jako obrończyni klasztoru. Lwowskie śluby królewskie już w XVII wieku stały się inspiracją dla znanych literatów, a i w wiekach następnych tematyka ta w kulturze, sztukach plastycznych, muzyce, historii wreszcie była ważką i wykraczała poza artystyczne ramy. Pod piórem Wespazjana Kochowskiego (*Annalium Poloniae*), licznych historyków i literatów (z Sienkiewiczowskim *Potopem* na czele), tematyka ta zachwycała Jana Matejkę, który pozostawił artystyczny wyraz tej fascynacji. Nie inaczej było z jego krakowskimi uczniami. Jeden z nich, Stanisław Wyspiański, zaproszony do konkursu na projekt nowego witraża do odnowionej wówczas archikatedry lwowskiej, stworzył równolegle dwa dzieła: projekt witraża przedstawiającego śluby Jana Kazimierza i dramat *Królowa Korony Polskiej* – dzieła wielce przenikające i wzajemnie się przenikające.

MATKA I KRÓLOWA

Żadna wszelako z tych i licznych innych, nie wspomnianych tu nawet dzieł, poświęconych Matce Bożej Łaskawej, nie może dorównać popularności pieśni anonimowego autora, który w XVII wieku zawarł, w sposób możliwie lapidarny nieomal, kanon myśli i tytułów:

*Śliczna Gwiazda Miasta Lwowa Maryja
Matko nasza i Królowa Maryja,
Nieba i Ziemi Królowa, Maryja
Opiekunko Miasta Lwowa, Maryja...*

Modlili się przed obliczem „Ślicznej Gwiazdy” i następni polscy monarchowie. A czasy nadchodziły ciężkie. W związku z zagrożeniem ze strony wojsk tureckich arcybiskup Wojciech Koryciński (1670–1677) wywiózł obraz Matki Bożej Łaskawej do stołecznego Krakowa, aby w tych niespokojnych czasach zapewnić mu bezpieczeństwo. Podobnie uczynił dwadzieścia lat wcześniej ojciec Augustyn Kordecki, który właśnie w Krakowie zapewnił bezpieczeństwo obrazowi Matki Boskiej Częstochowskiej, uwożąc go na krótko przed oblężeniem Jasnej Góry przez Szwedów.

Wówczas to – pisze Inga Platowska-Sapetowa – *przed uroczystym powrotem obrazu do Lwowa, po zwycięskiej bitwie Jana Sobieskiego z Turkami pod Chocimiem, został on po raz pierwszy obity srebrną, połączoną blachą, która na 250 lat zakryła wdzięczne malowidło Józefa Wolfowicza. Były to czasy baroku i taki panował obyczaj (...). Obraz powrócił do Kaplicy Domagaliczowskiej i tu, jak pisze o. Nowakowski, modliła się przed nim gorąco w czasie wyprawy pod Wiedeń królowa Maria Kazimiera Sobieska⁴.*

Wspomniany o. Wacław z Sulogoszowa Nowakowski w monografii obrazu napisze smutne, ale – niestety – prawdziwe i pełne żalu słowa, że oto w półwiecze zaledwie od królewskich ślubów, niespełnionych w ich sferze społecznej wobec chłopów, Lwów, który nie poddał się wojskom Chmielnickiego ani potężnej armii Mahometa IV, w 1704 r. został zdobyty i bezlitośnie obrabowany przez szczupłe wojska króla szwedzkiego Karola XII.

W 1775 r. cieszący się wielkim kultem obraz, powszechnie uznawany za cudowny, umieszczony został w nowym ołtarzu głównym, a w roku następnym 12 maja uro-

czyście koronowany papieskimi diademami przez arcybiskupa lwowskiego Wacława Sierakowskiego, w obecności wielotysięcznych tłumów – przedstawicieli wszystkich stanów. Na pamiątkę tej uroczystości magistrat lwowski umieścił u stóp obrazu srebrną, wyłazlaną tablicę z napisem:

Wielka Boża Rodzicielko, rzymskimi ozdobiona koronami, wieńczy Twą głowę diademem Głowa wiecznego grodu i świata, a miasto pobożne i Tobie oddane ściele pod Twe stopy swe serce. Spójrz na Lwa ukorzonego i wysłuchaj nas, strzeż i zbaw litościwie, Bogarodzico Dziewico.

Decyzja arcybiskupa Sierakowskiego o przeniesieniu cudownego obrazu z ciasnej kaplicy Domagaliczów do wielkiego ołtarza w katedrze wzbudziła liczne sprzeciwy mieszkańców Lwowa oraz jego rady miejskiej. Papież, do którego odwoływali się rajcy miejscy, utrzymał jednak w mocy decyzję arcybiskupa. Arcybiskup, z właściwą sobie dbałością o wystrój świątyni katedralnej, dokonał w jej wnętrzu wiele zmian, m.in. jego staraniem ściany katedry ozdobione zostały wspaniałą rokokową polichromią, wykonaną pod kierunkiem Stanisława Stroińskiego. Staraniem arcybiskupa Sierakowskiego do katedry, która miała stać się głównym sanktuarium maryjnym rozległej archidiecezji, zlecił przygotować nowy wystrój, barokowo-rokokowy, zasadniczo według jednolitego zamysłu artystycznego. Wprowadzono do naw nowe piękne wysokiej klasy ołtarze, stalle, konfesjonały – dzieła znakomitych lwowskich artystów i rzemieślników. Tylko w kilku kaplicach pozostawiono wcześniejsze wyposażenie.

Obraz Matki Bożej Łaskawej umieszczono w monumentalnym ołtarzu głównym, wykonanym w latach 1768–1769 wg projektu Macieja Polejowskiego, który był autorem czterech dominujących w majestatycznej architekturze ołtarza figur ojców Kościoła: świętych Augustyna, Grzegorza, Ambrożego i Hieronima. W ołtarzowej wnęce niewielki rozmiarami obraz Matki Bożej Łaskawej umieszczony został w niezwykle efektownej srebrnej oprawie, realizującej ideę siedmiokolumnowego Domu Mądrości (*Domus Sapientiae*), którego ideowe treści rozwinięte zostały przez Stanisława Stroińskiego na freskach zamieszczonych na sklepieniu. Jako zasłonę cudownego obrazu umieszczono

I smak *ćmągi* zwyczajnej – tej od Baczewskiego
I smak kulikowskiego chlebusia – świeżego.
Przed oczyma mam place, znajome ulice,
Kolumnę z Mickiewiczem, Szprechera kamienicę,
Cerkiew świętego Jura, kaplicę Boimów,
Kościół świętej Elżbiety, Kościół Bernardynów,
Rynek z graniastą ratuszową wieżą
I lwy, co w podcieniach kamienne kły szczerzą.
Tuż za Mickiewiczem, biała, z alabastru
Smukła postać Madonny królowała miastu.
Uwieńczona gwiazdami, oświetlona mocą...
Kiedy o tym myślę... oczy mi się pocą.
„Wesoła Lwowska fala”, gazeta „Wiek Nowy”,
Kopiec Unii Lubelskiej na wzgórzu zamkowym,
Na Wysokim Zamku kwitnące kasztany
I wróble ćwierkające na wałach nad ranem.
Ciastka od Zaleskiego, wino u Atlasa,
Flaczki u Teliczkowej, chałwa Kawurasa,
Koszerny *gęsi pipek* u Jojny na rynku,
I szczupak po żydowsku w każdym lwowskim szynku.
I te lwowskie binie – to znaczy dziewczęta –
Wesołe i zalotne. Każda uśmiechnięta,
A nogi? Nogi długie aż po samą szyję –
Takich nóg nie widziałem, tak jak długo żyję.
Ślepa Mińcia na stołku koło Sobieskiego
Szpiłala na harmonii marsza Radeckiego,
A obok Mińci w policyjnym czuku
Lolu – wariat wymyślał ludziom od „Żydaków”.
Jakaś *krasna małanka* w cieniu pod kasztanem
Kręci *na koromyśle* romans ze swym ułanem.
Baba z koszykiem w rękę, a na tym koszyku
Precle nanizane na gładkim „patyku”.
No i powietrze czyste. Takie *mahoniowe*,
Woniejące, pachnące. Czyż? – po prostu Lwowem.
Wszyscy mieszkańcy miasta czuli się związani
Z tym miastem, zwyczajni, z jego tradycjami.
Polacy, Żydzi, Niemcy, Rusini, Ormianie,
Cała ta mieszanina – to byli lwowianie.
Rusinów było mało, za to Żydów wielu,
Dziś nie ma takich Żydów... może w Izraelu?
Lisie lub kunie czapki, pejsate, brodate,
Białe *szkarpetki*, mycki, kłotowe chałaty,
A w szabas lub w żydowskie święta
Połowa wszystkich sklepów była zamknięta.
Położony w kotlinie, na niewielkich wzgórzach
Lwów wśród zielonych lasów po prostu się nurzał...
Tylko rzeki nie było. Była Pełtew mała,
Lecz niestety, ta rzeczka fatalnie *waniała*.
Za to był Kajzerwald i Czartowska Skala,
Białohorskie lasy, były Lesienice,
I ze swą Gorgonową słynne Brzuchowice.



w tym ołtarzu obraz Wniebowzięcia Maryi, pędzla Marcina Stroińskiego, który wkrótce wymieniony został na inny, ale o tej samej tematyce, pędzla włoskiego artysty Antonia Tavellego, a w XIX wieku zastąpiono go obrazem Marcina Jabłońskiego.

Wraz z koronacją wizerunku złotymi papiorskimi diademami, ozdobiony on został bogatą, wysadzaną klejnotami złotą sukienką oraz efektowną srebrną rokokową ramą. Owo wspaniałe dzieło miejscowych złotników przesłoniło jednak sam obraz, odsłonięte pozostały zasadniczo tylko twarze Madonny i Dzieciątka.

Sama zaś kaplica Daniłowiczowska, dobudowana do zewnętrznej ściany absydy prezbiterium, w której przez 180 lat wstawiony cudami obraz cieszył się ogromnym kultem, została teraz rozebrana. Z inicjatywy rady miejskiej na wschodniej ścianie prezbiterium, do której ona przylegała, wymalowany został obraz przedstawiający Matkę Bożą Łaskawą, a później portret fundatora kaplicy Jana Domagalicza oraz napis odnoszący się do okoliczności powstania kaplicy.

Szczególne znaczenie ikonograficzne nadano wykonanej w latach 1769–1770 polichromii prezbiterium, która nawiązywała do wydarzeń historycznych, związanych z obrazem Matki Bożej Łaskawej i łaskami, które przed tym obrazem wypraszały wierni. Na przełomie XIX i XX wieku podczas gruntownych prac remontowo-konserwatorskich katedralnemu prezbiterium nadano znacznie odmienny charakter. Zachowano wprawdzie piękny, monumentalny rokokowy ołtarz główny, ale wprowadzono nowe, neogotyckie portale, mały chór muzyczny, nowe witraże, a ściany i sklepienia pokryto ornamentálnymi malowidłami, wzorowanymi na matejkowskiej polichromii krakowskiego kościoła Mariackiego. Z dawnej polichromii Stroińskiego pozostawiono tylko fragment nad stallami, przedstawiający scenę nadania przywileju Bractwu Najświętszej Panny Maryi przez arcybiskupa Jana Dymitra Solikowskiego (w gronie osób artysta przedstawił siebie samego w kontuszu i syna w stroju francuskim). Bractwo to, zwane po jego odnowieniu Bractwem Najświętszej Panny Łaskawej, odegrało w czasach zaborów, zwłaszcza w okresie dotkliwej germanizacji Lwowa i zacierania jego polskiego charakteru, niezwykle ważną rolę, pielęgnując

narodowe tradycje, w tym także ideę królewskich ślubów.

Nowe witraże w prezbiterium także nawiązywały do tych tradycji. Wykonane w Krakowie, a częściowo także w Monachium, przedstawiają m.in. *Założenie katedry* (proj. J. Mehoffer), *Obronę Lwowa* (proj. Batowski), wreszcie patronów polskich wg szkiców Jana Matejki, a nad cudownym wizerunkiem w ołtarzowym retabulum znalazł się witraż *Matka Boska Królowa Korony Polskiej*, przedstawiający Matkę Bożą Łaskawą, zwany także *Ślubami Jana Kazimierza*, wykonany w 1902 r. wg projektu Edwarda Ignacego Lepskiego.

Znaczne ożywienie kultu zarówno wizerunku Matki Bożej Łaskawej, jak i tradycji królewskich ślubów narodowych nastąpiło za rządów arcybiskupa Józefa Bilczewskiego (1900–1923). Ideę ślubów przypomniał on i podjął w nowej rzeczywistości w 1904 r. w liście pasterskim zatytułowanym

KRÓLOWA KORONY POLSKIEJ

Szczególnie zabiegał o kult Maryi jako Królowej Polski. To on doprowadził do zaistnienia pod tym wezwaniem święta w polskim kalendarzu liturgicznym. On też przypomniał i odnowił Śluby Jana Kazimierza, do których po latach powrócił Prymas Polski Sługa Boży kard. Stefan Wyszyński. Z jego też inicjatywy odbył się we Lwowie w 1904 r. pierwszy Polski Kongres Maryjny. W czasie tego kongresu, w obecności biskupów, przedstawicieli władz świeckich i tysięcy wiernych, abp Bilczewski dokonał odnowienia ślubów kazimierzowskich. To on wystąpił też u Stolicy Apostolskiej w 1909 r. o święto Maryi jako Królowej Polski, które po raz pierwszy w 1909 r. w archidiecezji lwowskiej obchodzono bardzo uroczyście, a rok później Maryja została ogłoszona patronką archidiecezji lwowskiej⁵.

Staraniem arcybiskupa Józefa Bilczewskiego⁶ papież Pius X włączył oficjalnie do litanii loretańskiej, do odmawiania na ziemiach polskich, wezwania *Królowo Korony Polskiej*, a w 1923 r., w wolnej już Polsce, papież Pius XI przeniósł święto Królowej Polski na dzień 3 maja.

W POJAŁTAŃSKIEJ POLSCE

Wizerunek Matki Bożej Łaskawej odbierał cześć w lwowskiej archikatedrze i w następnych dziesięcioleciach krzepił wiarę w lepsze czasy w ciężkich wojennych latach

obu okupacji. 26 kwietnia 1946 r., zmuszony przez władze sowieckie do wyjazdu ze Lwowa, arcybiskup metropolita Eugeniusz Baziak, w obawie o los sławnego, tak historycznego dla narodu wizerunku, przewiózł go w ukryciu na stronę polską. W granicach pojałtańskiej Polski znalazł się skrawek archidiecezji lwowskiej, tam też kościółowi parafialnemu w Lubaczowie nadany został status prokatedry. Przez kilka dziesięcioleci miał się ów skrawek lwowskiego Kościoła, składający się z kilku dekanatów, nazywać „archidiecezją w Lubaczowie”. Wszyscy wiedzieli, że była to – do czasu kanonicznych postanowień Stolicy Apostolskiej – archidiecezja lwowska z siedzibą w Lubaczowie, a jej pasterze są duchowymi zwierzchnikami całej archidiecezji, ze stolicą we Lwowie, do którego naówczas nie mieli prawa wstępu.

Wkrótce po zakończeniu wojny we Lwowie, skąd zmuszono do repatriacji ogromną większość Polaków, odebrano katolikom-lacinnikom wszystkie kościoły, pozostawiając czynną tylko katedrę, funkcjonującą z ogromnymi ograniczeniami, pod stałą obserwacją tamtejszych służb bezpieczeństwa (po latach otwarty został dodatkowo niewielki pofranciszkański kościół św. Antoniego). Katedra – wobec odebrania w 1946 r. uniom wszystkim cerkwi, wymuszonej przez władze sowieckie kasacji unii brzeskiej i pozakanonicznej jej delegalizacji – stała się dla wielu grekokatolików także ich świątynią. Śliczna Gwiazda Miasta Lwowa dla rozbitków obu tak doświadczonych Kościołów: łacińskiego i greckiego, jako obrządków jednego Kościoła katolickiego, była Panią, szarfarką nadziei i trudnego pojednania.

Wizerunek Łaskawej Matki zastąpiono kopią, sporządzoną w pośpiechu przez Marię Pokiziak, w latach 80. ubiegłego wieku zastąpioną przez znakomitej klasy artystycznej, wierną kopię sporządzoną w 1982 r. przez profesora krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych Józefa Nykła. Wielki wygnaniec – abp Eugeniusz Baziak uwiózł ten obraz jako narodową relikwię do Kalwarii Zebrzydowskiej, gdzie przez kilka lat w gościnnych progach tamtejszego klasztoru oo. Bernardynów funkcjonowało lwowskie arcybiskupie seminarium duchowne. Obraz dzielił los jego tułaczki. Od lipca 1951 r., kiedy zachowując dotychczasowy urząd, został po śmierci arcybiskupa metropolity krakowskiego, kar-

A woda? *Kalabania*, Stawki za Zamarstynowem
I bardzo duże stawy, ale pod Janowem.
I tak się we śnie przez cały czas łudzę
Aż do momentu, w którym wreszcie się obudzę,
By uświadomić sobie, że tam Ukraina,
Że miast białoczerwonej – flaga żółto-sina...
I kiedy o tym myślę: łaża się w oku kręci.
Bo nigdy nie wykreślę Lwowa z mej pamięci.
Gdzie te lwowskie batiary – gdzie lwowskie dzieci?
Ich kości rozrzucone są po całym świecie.
Na Kołymie, Sybirze, w stepach Kazachstanu,
Na bezdrożach Iranu, wśród cedrów Libanu,
Pod Narwikiem, w Tobruku, pod Monte Casino,
Pod Arnheim, pod Berlinem i pod wsią Lenino.
Za Lwów płacili życiem. Taka była cena,
A na ich grobie często krzyża nie ma...
Katyń, Twer i Miednoje – ta droga krzyżowa
Tych najlepszych z najlepszych, także tych ze Lwowa.
A Żydzi? Wszystkich Żydów lwowskich
Wymordowali Niemcy w Lasach Podjanowskich.
Resztę mieszkańców Lwowa, którzy pozostali
Ruscy z ich rodzinnego miasta po prostu wygnali.
Pardon. Nie wygnali, lecz repatriowali.
Myślę, że kiedy umrę, wówczas moja dusza
Jak gołąb przycupnie na gzymsie ratusza
I na Lwów z góry będzie spoglądała
I będzie czekała, czekała, czekała...
Aż do momentu, w którym byśmy chcieli.
By Lwów znów był polski, znów *Semper Fidelis*.
I wyobrażam sobie, że wtedy w *try miga*
W mej duszy się odezwie lwowski *batiaryga*.
I może wtedy moja dusza biedna
U Pana Boga to sobie wyjedna,
I że dobra Bozia, być może się zgodzi,
Żebym lwowiakiem znowu się urodził.

Archiwum

Lwów jest jeden...

Są na świecie grody, miasta i... mieściska,
Są tych miast tysiące, jest ich całe mrowie.
Ale Lwów jest jeden i tylko we Lwowie –
Czy go widzisz w zimie, na wiosnę czy w lecie,
Pamiętaj, że jeden tylko Lwów na świecie!

Wierszyk zachował się w papierach po
śp. dr. T. Krzyżewskim, który przypisał
ten utworek prof. Piotrowi Hausvaterowi
(Lwów, 1967?)

dynała Adama Stefana Sapiehy, administratorem apostolskim archidiecezji krakowskiej, przywiózł wizerunek do Krakowa. W okresie internowania abpa Baziaka przez władze PRL w Tranowie, poza terytorium obu archidiecezji, obraz Matki Bożej Łaskawej znalazł schronienie najpierw w mieszkaniu prywatnym siostry arcybiskupa w Tarnowie przy ulicy Limanowskiego, a następnie w tamtejszym klasztorze sióstr Józefitek. Do Lubaczowa przywieziony został za rządów biskupa Mariana Rechowicza w 1974 r., w dwanaście lat po śmierci arcybiskupa Eugeniusza Baziaka.

Jej sanktuarium – pisze Inga Platowska-Sapetowa – stał się dawny neogotycki kościół parafialny w Lubaczowie (...), od 1946 r. prokatedra przy siedzibie metropolitów lwowskich. Kościół ten pozostał Jej sanktuarium także po wzniesieniu obok w latach 70. z inicjatywy bpa Rechowicza połączonej z nim nowej monumentalnej prokatedry, zrealizowanej wg projektu architekta B. Orlewskiego z Rzeszowa.

Tutaj spoczęły też relikwie pierwszego arcybiskupa metropolity halickiego bł. Jakuba Strepy (Strzeмиę) zm. w r. 1412⁷.

TRZY WIZERUNKI

W latach 1981–82 prof. Józef Nykiel przeprowadził w Krakowie konserwatorskie prace cudownego obrazu, przywracając mu pierwotny wygląd i wartość estetyczną oraz zabezpieczając przed zębem czasu. Właśnie wówczas powstały, pod jego pędzlem, dwie kopie. Jedna – jak już wspomniano – do archikatedry lwowskiej, a druga pozostać miała w Lubaczowie. 19 czerwca 1983 r. Ojciec Święty Jan Paweł II dokonał na Jasnej Górze

rekoronacji wizerunku Matki Bożej Łaskawej, a 23 czerwca w roku następnym wystawiono go na widok publiczny podczas uroczystej sakry biskupiej ks. Mariana Jaworskiego, administratora apostolskiego archidiecezji lwowskiej z siedzibą w Lubaczowie, a po odnowieniu struktur kościelnych na Ukrainie – arcybiskupa metropolity lwowskiego. Lwowska kopia obrazu Matki Bożej Domagaliczowskiej zyskała kanonicznie tożsamy wymiar z jej oryginałem, gdy podczas pielgrzymki Jana Pawła II na Ukrainę został

przezeń koronowana 26 czerwca 2001 r. Ojciec Święty nadto obdarował lwowski wizerunek papieską Złotą Różą, a swoje przesłanie, skierowane do tamtejszych katolików i pielgrzymów, zawarł w słowach: *Śliczna Gwiazda Miasta Lwowa niech będzie dla was oparciem i niech przyniesie wam pełnię łask.*

W 350 rocznicę Lwowskich Ślubów Jana Kazimierza w tamtejszej archikatedrze odbyły się uroczystości o historycznym wymiarze. W uroczystej liturgii, odprawionej przez kardynała Ma-

riana Jaworskiego, arcybiskupa metropolitę lwowskiego, i biskupów rzymskokatolickich Ukrainy uczestniczył prezydent Rzeczypospolitej Polskiej oraz licznie zgromadzeni wierni z państwa ukraińskiego i Polski. Uroczystości stały się wymownym świadectwem trwałych i żywych wciąż związków duchowych łączących nasze ziemie i wielkie historyczne przesłania oraz tradycje.

Wiedzano powszechnie w Polsce, że w szczególnie ciężkich dla narodu chwilach, w czasach stalinowskich konfrontacji i walki ideologicznej, internowany prymas Polski kard. Stefan Wyszyński przygotował wielki zamysł Jasnogórskich Ślubów Naro-



Widok głównego ołtarza Katedry z obrazem MB Łaskawej

du Polskiego, w nawiązaniu do idei lwowskich Ślubów Jana Kazimierza. Opracowany w Komańczy w maju 1956 r. tekst Ślubów Jasnogórskich, wyrażnie w treści i intencjach nawiązujący do Ślubów Jana Kazimierza, został uroczystie odczytany przez kard. Stefana Wyszyńskiego w obecności kilkuset tysięcy wiernych zgromadzonych 26 sierpnia 1956 r. na Jasnej Górze, po jego powrocie z miejsca internowania i objęciu urzędów kościelnych. Stały się te śluby ważnym probierzem w okresie dziewięcioletniej nowenny przygotowań narodu polskiego do uroczystości milenijnych chrztu Polski.

Do wielkiej tradycji tej nawiązał w czerwcu 1979 r. papież Jan Paweł II, gdy przed obrazem Pani Jasnogórskiej z udziałem wielotysięcznych tłumów pielgrzymów dokonał aktu zawierzenia Matce Kościoła siebie i naród.

Historyczny wymiar zyskała Uchwała Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 23 marca 2006 r. w sprawie uczczenia 350 rocznicy Ślubów Lwowskich króla Jana Kazimierza, w której parlamentarzyści podzielili opinię, że akt ten stał się *jednym z najważniejszych wydarzeń w dramatycznych dziejach narodu polskiego*. I *złożyli hołd polskiemu królowi i kolejnym pokoleniom obrońców niezawisłości i wolności naszej Ojczyzny*⁸.

W MIEJSCU NAJPRZEDNIEJSZYM

Od 1998 r. wizerunek Matki Bożej Łaskawej przechowywany jest jako wielka relikwia narodowa w skarbcu katedry wawelskiej, wśród szczególnie cennych pamiątek narodowych.

W dniu 15 sierpnia 2008 r., podczas pierwszej organizowanej przez Miasto Kraków edycji „Cracovia Sacra”, do wawelskiej królewskiej katedry wraz z prezydentem Krakowa prof. Jackiem Majchrowskim przybyli tłumnie krakowianie i pielgrzymi z różnych regionów Polski i z zagranicy, by oddać hołd wizerunkowi Matki Bożej Łaskawej wystawionemu na specjalnym pulpicie-tronie przy ołtarzu koronacyjnym królów polskich. Pierwotnie zakładano, że wawelskie uroczystości przy dźwiękach fanfar zainaugurowane zostaną procesją, podczas której ze skarbcza katedralnego do prezbiterium przyniesiony zostanie cudowny obraz, ale na usilne prośby licznych krakowian i gości, w tym także

lwowiaków, proboszcz katedry ks. prałat Zdzisław Sochacki zdecydował o wcześniejszym ustawieniu obrazu w prezbiterium, by umożliwić wszystkim bardziej indywidualne i intymne spotkanie z Matką Łaskawą. W wypełnionej po brzegi katedrze podczas tych niezwykłych uroczystości, sprawowanych przez ks. prałata Z. Sochackiego, było wiele chwil przejmujących i głęboko wzruszających. Oprawę artystyczną zapewnił Zespół Kameralny Chóru Organum pod dyrekcją prof. Bogusława Grzybka, zespół trąb i puzonów oraz organista wawelski. Stanowiły ją *Pieśni kalwaryjskie* w opracowaniu Jacka Targosza, *Bogurodzica* tzw. lwowska z 1630 r. w opracowaniu lwowskiego kompozytora Mieczysława Sołtysa i – oczywiście – hymn *Śliczna Gwiazda Miasta Lwowa* w opracowaniu Jacka Targosza. Wielu uczestników tych uroczystości, zwłaszcza urodzonych na Kresach, w tym także specjalnie przybyłych na ten niezwykły wieczór do Krakowa ze Lwowa i okolic, śpiewało ten hymn na stojąco, z nieskrywanym wzruszeniem. To wzruszenie i świadomość historycznego wymiaru krakowskiej uroczystości na Wawelu towarzyszyło ogółowi zgromadzonych w królewskiej katedrze. Bo oto przed nimi zajaśniała w królewskim majestacie *Śliczna Gwiazda Miasta Lwowa*. I Krakowa. I Polski całej. Jak dawniej.

PRZYPISY

1. Jerzy T. Petrus: *Matka Boska Domagaliczowska – Królowa Korony Polskiej* [w:] *Królowa Korony Polskiej*, red. Janusz Pulnar, Wacław Walecki, Warszawa–Kraków 2006, s. 49
2. Op. cit., s. 49–51
3. Op. cit., s. 56
4. Inga Platowska-Sapetowa: *Cudowny Obraz Najświętszej Maryi Panny Łaskawej*, Rzeszów 1991, s. 12
5. Stefan Koperek CR: *Pasterz i liturg* [w:] *Biłgostawiony Józef Bilczewski arcybiskup metropolita lwowski obrządku łacińskiego*, pod red. Adama Kubisia i zesp., Kraków 2003, s. 84
6. Szerzej: Stanisław Dziedzic, *Józef Bilczewski – pasterz i włodarz* [w:] *Lwów. Miasto, społeczeństwo, kultura*, tom VI: Instytucje, urzędy, urzędnicy, red. Kazimierz Karolczak, Łukasz Tomasz Sroka, Kraków 2009
7. Inga Platowska-Sapetowa: *Cudowny...*, op. cit., s. 30
8. Cyt. za: *Królowa Korony Polskiej...*, op. cit., s. 85

TARNOPOL MA NOWY KOŚCIÓŁ

KONSEKRACJA PO LATACH OCZEKIWANIA

18 października 2008 roku odbyła się piękna uroczystość konsekracji nowego kościoła parafialnego w Tarnopolu. Po wielu latach Polacy tam obecnie mieszkający wreszcie mają swoją nową, dużą świątynię. Kościół powstały na rdzennej ziemi ojców i praocjów, gdzie od pokoleń nasi przodkowie rodzili się, żyli i umierali, byli chrzczeni, żenili się i w zgodzie współżyli z sąsiadami. Uprawiali żyzną ziemię, z której plony żywiły wielką część mieszkańców Polski. Ojczyźnie naszej z honorem i wielką miłością przykładnie służyli, nie szczędząc krwi, a często i życia. Tam budowali własne domy, szkoły, teatry i kościoły. W wielkim trudzie pracowali i weselili się, pomnażając chwałę narodu polskiego.

Niestety w 1945 roku, po zakończeniu II wojny światowej, Polacy z Podola i Wołynia z własnych domów, ojcowizn, zostali wygnani, a w ich domach zamieszkali i przywłaszczyli sobie pozostawione mienie ci, którzy w znacznym stopniu przyczynili się do naszego wygnania. Banderowcy – nacjonalści ukraińscy spod znaku *tryzuba*, zgromadzeni w nielegalnej wówczas organizacji UPA, przeprowadzili – szczególnie w latach 1943 i 44 – krwawą eksterminację narodu polskiego na Kresach Południowo-Wschodnich. Przeprowadzali ciągłe napady na wsie i osiedla, które zamieszkałe były w większości przez Polaków. Podpalali domy, rabowali mienie oraz mordowali w okrutny sposób całe rodziny, w tym dzieci i ludzi starych. Toteż działalność tej organizacji określona została mianem ludobójstwa.

W Tarnopolu, podobnie jak i na całym zachodnim Podolu, w rezultacie licznych dziejowych zawieruch wiele cennych zabytków nie dotrwało do dzisiaj. Wpierw wiele zniszczeń spowodowały trwające przez pięć stuleci najazdy tatarskie, następnie wręcz kataklizmy przynosiły wojny z Kozakami i Turcją. Dotkliwe straty spowodował zabór

austriacki, kiedy wiele kościołów i klasztorów uległo likwidacji, a liczne świątynie obrabowano lub całkowicie zniszczono. Jednak największe zniszczenia przyniósł wiek XX w czasie obu wojen światowych. Zacięte walki na tych terenach spowodowały zniszczenia lub uszkodzenia wielu zabytkowych obiektów. Niepowetowane straty w tych latach były głównie wynikiem antypolskiej akcji UPA, w czasie której z premedytacją niszczone pamiątki kultury polskiej – zabytkowe pomniki, dwory i pałace, a także obiekty kultu religijnego. Wreszcie końcowy cios w okresie powojennym zadała zabytkom władza sowiecka. Obiekty uznane za relikty „pańskiej Polski” były burzone i do fundamentów rozbierane, inne w sposób barbarzyński i świętokradzko dewastowane lub przebudowywane na potrzeby nowych użytkowników. Około 200 kościołów i kaplic rzymskokatolickich z województwa tarnopolskiego zostało w czasie rządów komunistycznych wysadzonych w powietrze, zdewastowanych lub w inny sposób całkowicie zniszczonych. Proces ten został zahamowany dopiero po uzyskaniu przez Ukrainę niepodległości w 1991 roku.

Od początku XX wieku w Tarnopolu czynne były trzy kościoły:

Parafialny, wielki, potężny neogotycki kościół, który wybudowany został staraniem tarnopolskiego proboszcza ks. Bolesława Twardowskiego, późniejszego arcybiskupa metropolity lwowskiego. Budowa tej świątyni trwała – jak na ówczesne czasy – niezwykle krótko. W 1903 roku projekt wykonał profesor Politechniki Lwowskiej Teodor Talowski. Ogólne koszty oszacowano na sumę 300 tys. koron. Nadzór techniczny nad budową objął bezinteresownie inż. Stefan Neuhoff. W listopadzie 1904 roku arcybiskup Józef Bilczewski poświęcił kamień węgielny, położony na parceli ofiarowanej przez magistrat Tarnopola.

Budowę kościoła ukończono w 1908 roku i w dniu 11 października metropolita lwowski celebrował uroczystość poświęcenia koś-

ciola pw. Matki Bożej Nieustającej Pomocy, której cudowny obraz w wielotysięcznej procesji przeniesiony został z kościoła oo. Dominikanów. Okolicznościowe kazanie wygłosił przybyły ze Lwowa jezuita ks. Sopuch, a na zewnątrz kościoła kazanie wygłosił ks. Lehman. Wyposażanie wnętrza świątyni trwało bardzo długo, w tym czasie wstawiono piękne witraże wykonane przez Feliksa Wyrzywalskiego oraz wielki ołtarz zaprojektowany przez inż. Wawrzyńca Dayczaka. Wspaniałe rzeźby głównego ołtarza wykonała artystka-rzeźbiarka Janina Reichertówna, zaś polichromię artysta-malarz prof. Paweł Gajewski. W okresie wyposażania wnętrza kościoła, w celu zebrania odpowiednich funduszy na projekt, wykonanie i montaż ołtarza w nawie głównej, rozprowadzane były tzw. „cegiełki”.

W 1933 roku, 23 kwietnia, wpiers jej budowniczy, a wówczas już arcybiskup metropolita lwowski ks. Bolesław Twardowski konsekrował całkowicie ukończony Dom Boży.

Kościół Dominikański. Najcenniejszym zabytkiem Tarnopola jest poddominikański kościół pod wezwaniem trzech świętych: Dominika, Wincentego i Jacka. Kościół ten jest jednym z najwybitniejszych dzieł późnego baroku w Małopolsce Wschodniej. Ojcowie Dominikanie sprowadzeni zostali do Tarnopola przez hetmana wielkiego koronnego Józefa Potockiego, który w 1749 roku ufundował im klasztor. Kościół przyklasztorny wybudowany został w latach 1773–78 według projektu Augusta Moszczyńskiego, dzięki fundacji hetmana. Wkrótce po

wybudowaniu kościół ten stał się tarnopolską świątynią parafialną. W latach 1820–1901 opiekowali się nim Jezuiti, a od 1903 roku ponownie przejęli go Dominikanie. W 1945 roku został zamknięty i przez 14 lat niszczał oraz popadał w ruinę. Dopiero w 1959 roku został wyremontowany i zamieniony na magazyn dekoracji teatralnych,

w latach 1978–86 był zaś używany jako galeria obrazów. Mimo że liczni miejscowi wierni wyznania rzymskokatolickiego podjęli starania o odzyskanie świątyni, w 1989 r. przekazano ją prawosławnym, a później grekokatolikom. Obecnie jest to katedralny sobór pw. Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny. Wewnątrz kościoła sklepienie pokrywały cenne malowidła pędzla lwowskiego malarza Stanisława Stroińskiego. Głównym ich tematem była historia zakonu dominikańskiego oraz żywot jednego z patronów kościoła – św. Wincentego z Ferrary. Niegdyś w nawie głównej kościoła mieścił się nagrobek fundatora, Józefa Potockiego, w prawej nawie znajdował się zaś wizerunek Matki Bożej Różańcowej o wysokiej artystycznej wartości i otoczony wielkim kultem, nazywanej *Panią Tarnopolską*. Obraz ten w 1945 roku został przez wiernych po kryjomu wywieziony do Polski i obecnie znajduje się w kościele Dominikanów w Poznaniu.

Kościół Jezuicki – kościół i klasztor z przełomu XIX/XX wieku. Budowę kościoła, według projektu architekta Dionizego Krzyczkowskiego, rozpoczęto w 1898 roku, a po trzech latach wybudowaną świątynię pw. Matki Boskiej Niepokalanie Poczętej konsekrowano. Do tak szybkiej budowy w znacznym stopniu przyczynił się hr. Wacław Baworowski z Kołtowa. Powstanie i budowa tego kościoła ściśle związane są z historią zaistnienia w Tarnopolu oo. Jezuitów, którzy w 1820 r. na mocy *ukazu* cara wypędzeni z Rosji, znaleźli tu schronienie w klasztorze Dominikanów i rozpoczęli wspaniałą oraz wielce przydatną działalność dla miasta. Otworzyli niższe i średnie szkoły, a w 1823 r. Wyższą Szkołę Przygotowawczą, z prawem publiczności, której celem było przygotowanie do nauki przyszłych studentów uniwersyteckich na kierunkach teologicznym, prawniczym i medycznym. Naukę pobierali tu uczniowie nie tylko z Tarnopola, ale też z okolicznych miast. Urzędowym językiem nauczania, jak w całej wówczas Galicji, był język niemiecki, ale w szkołach tarnopolskich uczono języka polskiego i polskiej literatury. Wychowawcą i opiekunem młodzieży w kolegium jezuickim był między innymi ks. Jan Beyzym SJ (1830–1912), później misjonarz („posługacz trędowatych” na Madagaskarze), wyniesiony jako błogosła-



wiony na ołtarze Kościoła Powszechnego. Wśród grona rektorów tarnopolskiego kolegium był wybitny teolog, filozof uniwersytecki, profesor i wykładowca na Uniwersytecie Jagiellońskim hr. Marian Ignacy Morawski. Około 1840 roku szkoły jezuickie przeżywały wielki rozkwit. Wykształcenie zdobywało tu ponad 500 ludzi z terenów całej Polski, a także z zagranicy, głównie z Austrii. W czasie II wojny światowej kościół został mocno uszkodzony, a po wojnie przebudowany na *szwalnię* fabryki włókienniczej. Dziś trudno rozpoznać w nim jego dawne sakralne przeznaczenie.

W okresie międzywojennym tarnopolski Kościół „rósł w siłę”, stale przybywało wiernych dzięki wspaniałym kapłanom, wielce zaangażowanym w dzieło krzewienia wiary katolickiej i niesieniu wszechstronnej posługi duszpasterskiej. Ze środowiska tarnopolskiego wywodzą się znane postacie Kościoła w Polsce, a wśród nich arcybiskup Eugeniusz Baziak, kardynał Władysław Rubin, arcybiskup Ignacy Tokarczuk, biskup Antoni Adamiuk i wielu, wielu innych wybitnych księży, doktorów Kościoła Powszechnego.

Podczas II wojny światowej, tak jak wszystkie rzymskokatolickie kościoły na Podolu, Pokuciu i Wołyniu, represjonowany był również tarnopolski Kościół, skupiający wiernych w swoich trzech świątyniach. Przeżywał ciężkie czasy okupacji: w pierwszych latach okupacji sowieckiej w latach 1939–41, z pamiętnymi aresztowaniami – ofiarami ich byli przede wszystkim oficerowie wojska polskiego, funkcjonariusze policji, pracownicy urzędów państwowych, których często bez rozpraw sądowych skazywano na wieloletnie pobyty w łagrach, a ich rodziny wywożone były na Sybir.

Następny okres to okupacja niemiecka, w czasie której, obok eksterminacji narodu żydowskiego w gettach, przeprowadzane były ciągle uliczne łapanki, natychmiastowe rozstrzeliwania, wywozy do Reichu „na roboty” albo do obozów koncentracyjnych na śmierć w komorach gazowych. Życie w tym okresie wypełnione było ciągłą niepewnością jutra oraz strachem o życie swoje i najbliższych.

Jednak najcięższe czasy dla Kościołów Podola, Pokucia i Wołynia zaczęły się po ponownym wkroczeniu na te tereny Armii Czerwonej, kiedy rozpoczął się okres dru-

giej okupacji sowieckiej. Wszystkie budynki świątyni tarnopolskich w wystarczający sposób wytrzymały ciężary przewalających się trzech wojennych nawałnic frontowych, a w szczególności okres tzw. „kotła tarnopolskiego”. Niewielkie uszkodzenia powstałe wskutek bombardowań i ostrzału artyleryjskiego szybko usunięto i po załatwieniu doraźnych dziur w dachu i ścianach wznowiono w nich odprawy mszalne oraz normalną posługę duszpasterską. Ostatnim proboszczem w kościele parafialnym był ksiądz dziekan Apolinary Wałęga (1888–1958), bratanek lwowskiego biskupa Leona Wałęgi (1853–1933). Ksiądz proboszcz wraz z dwoma wikariuszami do ostatniej chwili pobytu w Tarnopolu, tj. do dnia ekspatriacji (23 maja 1946), sprawowali posługę duszpasterską. Kościół tarnopolski istniał, w pełni funkcjonował oraz stanowił ostoję dla zastraszonych i niepewnych jutra ludzi. Wikariuszami w parafialnym kościele w tym czasie byli: ks. Stanisław Mataczyński (1943–46), który po ekspatriacji dość krótko pracował w archidiecezji wrocławskiej. Następnie wstąpił do zakonu oo. Benedyktynów w Tyńcu, przyjmując imię zakonne Franciszek; drugim był ks. Adolf Iwańczyk, który w styczniu 1945 r. został przez NKWD aresztowany i zesłany do łagrów w Peczorze na Syberii, a potem do Krasnojarskiego Kraju. Do Polski powrócił w 1949 roku i duszpasterską posługę nadal kontynuował na Śląsku w parafii w Wałbrzychu.

Jego miejsce w Tarnopolu od marca 1945 r. zajął ks. Józef Anczarski, który ze względu na dobrą znajomość języka rosyjskiego był wielką pomocą dla księdza proboszcza, a szczególnie w bardzo trudnych kontaktach z przedstawicielami komunistycznej władzy oraz w opędzaniu się od ich szykan. W sprawie niezamknięcia na stałe kościoła, dzięki twardej postawie wobec *naczelnika obłasti*, udało się wymusić pisemną zgodę na prowadzenie w dalszym ciągu praktyk religijnych. Opiekę nad świątynią powierzono księdzu Marianowi Urbie, byłemu długoletniemu katechecie w gimnazjum tarnopolskim.. Był on już starym człowiekiem i prawie nieczynnym w duszpasterstwie parafialnym. Jednak postanowił pozostać i służyć w miarę swoich możliwości wszystkim tym parafianom, którzy postanowili pozostać w Tarnopolu. W liście do arcy-

biskupa Eugeniusza Baziaka pisał: *Pozostanę tu i chyba ostateczność musi mnie do wyjazdu*. Niestety ostateczność ujawniła się niedługo po wyjeździe księdza proboszcza i obu wikariuszy. Pod groźbą aresztowania ksiądz Marian Urba został zmuszony do opuszczenia Tarnopola.

Te najcięższe czasy dla ludności Podola, Pokucia i Wołynia sprowadziły się głównie do traumy wywoływanej mordowaniem Polaków przez nacjonalistów ukraińskich, wszelkiego rodzaju szykan władzy sowieckiej na polskiej ludności i zmuszanie do ekspatriacji pod groźbą zesłania na Sybir. Polacy z tych terenów, w tym konsekrowani duchowni, księża, siostry i bracia zakonnici, musieli opuścić swoje domy, parafie, klasztory i gospodarstwa. Pozostawione mienie zostało przede wszystkim zrabowane, to zaś, czego nie udało się ukraść, a pozostawione bez należytej opieki, podległo procesowi skutecznego niszczenia i upadku. W tym czasie większość budynków sakralnych i klasztornych zamieniono na teatry, sale koncertowe, budynki użyteczności publicznej, różnego rodzaju magazyny, fabryczne hale produkcyjne lub „szwalnie”, jak uczyniono to z tarnopolskim kościołem jezuitskim.

Jak wcześniej wspomniałem, w 1991 roku po uzyskaniu niepodległości na Ukrainie, można było budować i restaurować obiekty sakralne, zarówno greko-, jak i rzymskokatolickie. Świątynie, które dotychczas były zamknięte, pozwolono przywracać do sprawowania funkcji kultu religijnego. Pozwolono też na budowę nowych obiektów sakralnych. W tym czasie pierwszym powojennym duszpasterzem został ks. Ludwik Rutyna. Następnie wierni z tarnopolskiej wspólnoty rzymskokatolickiej podjęli starania o odzyskanie kościoła poddominikańskiego. Niestety kościół ten przez miejscowe władze przekazany został wspólnocie grekokatolickiej. Spelzły na niczym również starania o odzyskanie dawnego kościoła oo. Jezuitów, zamienionego na „szwalnię” – zakład krawiecki. Dopiero starania o udostępnienie cmentarnej kaplicy przy ulicy Mikulinieckiej zakończyły się powodzeniem. W kaplicy tej, po przeprowadzeniu gruntownego remontu, rozpoczęto odprawianie mszy świętych i sprawowanie normalnej posługi duszpasterskiej. Jednak w miarę wzrostu liczby wiernych (obecnie

parafia liczy około 700 wiernych) cmentarna kaplica okazała się świątynią zbyt ciasną. Dlatego też proboszcz tej nowej parafii tarnopolskiej ks. Alfons Górowski podjął starania o uzyskanie przydziału lokalizacyjnego, oraz pozwolenia na budowę nowej świątyni. Po wielu trudnościach i wieloletnich staraniach, w 1998 roku Rada Miasta Tarnopola przyznała lokalizację i działkę pod budowę kościoła w nowej dzielnicy miasta. W następnym roku Papież Jan Paweł II, podczas kolejnej pielgrzymki do Polski, będąc w Starym Sączu, błogosławił przedsięwzięcie i poświęcił kamień węgielny pod budowę kościoła w Tarnopolu. Obecny proboszcz i budowniczy kościoła ksiądz Andrzej Malig mówił: *Jestem przekonany, że Jego błogosławieństwo wspierało i towarzyszyło nam w budowie kościoła i budynku plebanii, która zlokalizowana jest na działce obok kościoła. Boża Opatrzność działała także dzięki wstawiennictwu św. Józefa Bilczewskiego, arcybiskupa lwowskiego, o beatyfikację którego odprawialiśmy nowenny. Dziś z radością Jego relikwie umieścimy w ołtarzu z przekonaniem, że dalsze Jego wstawiennictwo będzie nam towarzyszyć.*

Nowo powstały kościół pod wezwaniem Bożego Miłosierdzia i Matki Bożej Nieustającej Pomocy został wybudowany w nowej, wschodniej dzielnicy Tarnopola i stoi przy skrzyżowaniu ulic Jewhena Konowalca (przywódca OUN – Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów) i Stepana Bandery (przywódca OUN-B frakcja banderowców). Kościół w terenie jest zorientowany północ-południe, z prezbiterium od strony północnej. Ksiądz biskup Wiktor Skworc stwierdził, że *lokalizacja wzniesionego kościoła jest bardzo dobra, jest on przy drodze i skierowany ku przechodniom, zaprasza wiernych i otwarty jest dla ludzi.*



Nowy kościół parafialny w Tarnopolu (fot. H. Kleinrok)

Zaprojektowany został przez tarnopolskich architektów pod kierunkiem arch. Igora Czuliła, pracownika lwowskiej filii Biura Projektowego „Ars Projekt”. Działka, na której stoi kościół, ma 3000 m². Długość zewnętrzna kościoła wynosi 39 m, a szerokość 14,80 m. Nawa środkowa i nawy boczne mają 292 m². Natomiast całkowita wewnętrzna powierzchnia kościoła wynosi prawie 353 m². Jest też duży chór i dwie dwupoziomowe zakrystie. Ołtarz soborowy i mała ambona wykonane są z jasnego marmuru. Fundatorem ich jest ksiądz Józef Marfiany, tamopolanin, od wielu lat uznany za kapelana Koła Miłośników Tarnopola w Polsce. Obecnie jest proboszczem parafii w Reńskiej Wsi na Opolszczyźnie. Wyróżniają go ściany prezbiterium zaprojektował Wasyl Kozłowski z Tarnopola, zaś wykonawcą była pani Olga Wasylyszyn. Tabernakulum jest darem z parafii Świniarsko koło Nowego Sącza. Obraz Pana Jezusa Miłosiernego z prezbiterium wykonał tarnopolski artysta malarz Piotr Demiańczuk (ma on jeszcze namalować obrazy Matki Boskiej Nieustającej Pomocy i świętej Faustyny, które zawieszane będą w prezbiterium, po obu stronach obrazu Pana Jezusa Miłosiernego). Wizerunek Pana Jezusa Ukrzyżowanego i rzeźby Stacji Drogi Krzyżowej dłuta artysty Antoniego (brak nazwiska) z Załęża koło Jasła. Nagłośnienie jest „kombinowane”: wzmacniacz i mikrofony z firmy Rduch (na Śląsku), a tajwańskie głośniki sprowadził pan Sakowski z Tarnowa. Fundatorem kosztownych głównych drzwi wejściowych, wykonanych w Strzelczyskach koło Mościsk, jest tarnopolskie małżeństwo Luba i Wasyl Humeniukowie. Elektryczne oświetlenie stanowią 4 wielożarówkowe pająki (lampiony) oraz kinkiety zawieszone na ścianach bocznych, stanowiące oświetlenie stacji Drogi Krzyżowej. Pająk środkowy w nawie głównej jest darem ks. Józefa Marfianego. Pozostałe pająki zakupione zostały we Lwowie, natomiast kinkiety (16 podwójnych i 12 potrójnych) stanowią dar tarnopolan obecnie mieszkających w Krakowie.

Uroczystej mszy św. przewodniczył i konsekracji dokonał ksiądz biskup Wiktor Skworc, ordynariusz diecezji tarnowskiej. Koncelebransami byli: metropolita lwowski J.E. kardynał Marian Jaworski oraz koadiutor ks. kardynała, arcybiskup Mieczysław Mokrzycki, obecnie już metropolita lwowski. We mszy św. uczestniczyli też ks. biskup charkowsko-zaporoski Stanisław Padewski, tarnopolsko-zborowski biskup grekokatolicki Wasilij Semeniuk oraz około czterdziestu księży z okolicznych parafii rzymskokatolickich i przyjezdnych z Polski. Również w uroczystości tej uczestniczyli hierarchowie prawosławni. Natomiast uczestniczący

tłum wiernych był tak wielki, że przysłowiowej szpilki nie było gdzie wetknąć. W czasie mszy świętej śpiewał archidiecezalny chór „Magnificat” z Przemyśla oraz miejscowy parafialny chór „Schola”, grała też góralska kapela z Grywałdu. Na zakończenie uroczystości ks. biskup Skworc powiedział: *Jest to wydarzenie historyczne, czekaliście na ten kościół, wymodliliście i wyplakaliście go sobie. Cieszę się, że kapłan tarnowski ks. Andrzej Malig razem z Wami budował ten kościół.* Ogłosił też, że mianuje księdza Andrzeja kanonikiem honorowym kapituły kolegiackiej w Bochni.

I ja tam byłem i dziękowałem Bogu za łaskę mojej obecności w tej tak bardzo podnoszącej na duchu, uroczystej konsekracyjnej mszy świętej. Z wielką dumą, weselem serca i radością duszy modliłem się o „wieczne odpoczywanie” dla wszystkich moich przodków, których groby są tam – na Ziemi Tarnopolskiej.

DO OPRACOWANIA WYKORZYSTANO:

- J. Anczarski, *Kronikarskie zapisy z lat cierpień, grozy, zbrodni i ludobójstwa narodu w Małopolsce Wschodniej w latach 1939–1946*, Kraków 1996
- C. Blicharski, *Tarnopol w latach 1809–1945, od epopei napoleońskiej do wypędzenia*, Biskupice 1993
- L. Bojczun, *Ternopil u płyni lit*, Tarnopol 2003
- T. Chrzanowski, *Kresy czyli obszary tęsknot*, Kraków 2001
- K. Czawaga, *Nowe świątynie rzymskokatolickie na Ukrainie Zachodniej*, „Kurier Galicyjski” nr 20 (75), Lwów 2008
- T. Isakowicz-Zaleski, *Przemilczane ludobójstwo na Kresach*, Kraków 2008
- W. Kubów, *Terroryzm na Podolu Zachodnim*, Warszawa 2008
- J. Stopa, *Tarnopol – rys historyczny*, Warszawa 1996
- L. Wawryszyn, *Województwo tarnopolskie i jego zabytki do 1939 roku*, Opole 2000
- J. Wołczański, *Eksterminacja narodu polskiego i kościoła rzymskokatolickiego przez ukraińskich nacjonalistów w Małopolsce Wschodniej w latach 1939–1945*, Kraków 2006
- J. Wołczański, *W 50. rocznicę śmierci – Arcybiskup Metropolita lwowski Bolesław Twardowski*, „Gazeta Lwowska” nr 10, s. 3, Lwów 1995
- A. Żarnowski, *Tarnopol*, Kraków 1996
- Kwartalnik „Cracovia-Leopolis” nr 37 (wybrane artykuły), Kraków 2004.

Janusz Hodyr

O Kazimierzu Sichulskim, myśliwych i kościele św. Elżbiety (1)

... Życie jest jak ten liść na drzewie. Wyrasta, rośnie, dojrzewa, a potem więdnie i spada do ziemi...

Był piątek – 6 dzień listopada 1942 r., gdy w przepięknie położonej willi na Zofiówce – w południowej dzielnicy Lwowa, przy ul. św. Zofii 63, w otoczeniu najbliższej rodziny odszedł z grona żyjących znany, ceniony artysta malarz Kazimierz Sichulski. Twórca wielu bezpowrotnie utraconych w wojennej zawierusze dzieł sztuki – w tym kaplicy św. Huberta, dzieła zamówionego przez myśliwych zrzeszonych w Małopolskim Towarzystwie Łowieckim.

Poprzez swój artystyczny talent – w epoce, w której tworzył – stał się bardzo popularny. Zwrócił na siebie uwagę tworząc niepowtarzalne obrazy, karykatury i witraże.

W 1910 r. Artur Schroeder w „Gazecie Lwowskiej” zamieścił o nim dwie recenzje, w których m.in. czytamy:

Karykatura Sichulskiego nie jest ani złośliwa, ani szydercza. Nie wyciąga ułomności i złych przywar zdeprawowanej natury ludzkiej, jest to raczej swobodne, beztroskie pełne humoru „naciąganie”, wydobywanie pewnych najbardziej typowych rysów fizjonomicznych i przerysowań, jednakże przy zupełnie ścisłym trzymaniu się rzeczywistych form i podobieństwa. Jest to właśnie ta charakterystyka „a outrance” w sposób tak precyzyjny, że kartony Sichulskiego to rzetelne dzieła sztuki, które karykaturę naszą stawiają w rzędzie pierwszorzędných dzieł europejskich w tym kierunku. Pyszna pod względem artystycznym teka Sichulskiego nasuwa pytanie, dlaczego dotychczas nie skorzystano z talentu artysty, który w piśmie humorystycznym byłby pierwszorzędną siłą i podporą wydawnictwa! To pewne, że za granicą dobijano by się o jego rysunki.

Sichulski w latach 1899–1901 studiował prawo na Uniwersytecie Lwowskim (najwyżej trzy semestry) i odbył służbę wojskową w armii austro-węgierskiej. W lutym 1901

osiadł na dłużej w Krakowie, wstąpił do ASP, gdzie kształcił się u Józefa Mehoffera, Stanisława Wyspiańskiego i Leona Wyczółkowskiego. Studia uzupełniał w wiedeńskiej Kunstgewerbeschule des Österreichischen Museums für Kunst und Industrie u A. von Kenera.

Zimę 1904 spędził na Huculszczynie wraz z Władysławem Jarockim i inicjatorem wyprawy Fryderykiem Pautschem (jego ojciec był tam nadleśniczym).

W 1905 r. znalazł się w gronie twórców krakowskiego kabaretu „Zielony Balonik”. W grudniu 1907 r. po powrocie z Paryża przeniósł się do Lwowa, gdzie miasto ofiarowało mu atelier w Pałacu Sztuki. W okresie tym powstało wiele dzieł – m.in. *Zmartwychwstanie*, *Zwiastowanie* (1909) *Dies irae* (1909), *Pochód weselny Huculów*, *Brzoza* (1909), *Wniebowzięcie*, *Pejzaż z Tatr* (1910), *Królowa Korony Polskiej* (1911) oraz *Chaty* (1914). Kartony te zostały zaprezentowane m.in. na Powszechnej Wystawie Sztuki Polskiej (1910), gdzie wywołały pochlebne recenzje – *dają smak arcydzieł w wielkim stylu*, jak i zarzuty o wprowadzeniu ruskich motywów do tematów religijnych.

Zaproszony do ścisłego konkursu, otrzymał drugą nagrodę za projekt malowideł do sali Sejmu w Warszawie (1929) i fryz z postaciami Kazimierza Sprawiedliwego i Józefa Piłsudskiego. W 1930 r. został mianowany profesorem nadzwyczajnym rysunków wieczorowych w krakowskiej ASP. Zamieszkał w gmachu uczelni, ale wolny czas spędzał we Lwowie, gdzie pozostała rodzina. Od października 1935 do 1937 prowadził katedrę malarstwa, zastępując Teodora Axentowicza. W 1937 został mianowany profesorem zwyczajnym.

W okresie krakowskim uprawiał malarstwo portretowe, rodzajowe i religijne. Dużo uwagi poświęcał malarstwu historycznemu. Uczestniczył w wielu międzynarodowych wystawach, m.in. w Monachium (1905), Wenecji (1907, 1910, 1914, 1932), Rzymie

(1911, 1934), Berlinie (1914, 1937), Paryżu (1923, 1930, 1931), Budapeszcie (1926), Helsinkach i Sztokholmie (1927).

Sichulski na zamówienie malował także obrazy i grafiki o tematyce myśliwskiej (m.in. *Huculski myśliwy*, *Portret myśliwskiego Leona Starkiewicza*, *Szczwacz na Ukrainie*, *Hejnał*), ilustrował książki o tematyce łowieckiej, przyrodniczej i etnograficznej (m.in. Stanisława Orskiego i Ferdynanda Ossendowskiego). W 1928 r. wykonał *Tekę myśliwską* z kilkunastoma autolitografiami poświęconymi Kazimierzowi Przybysławskiemu. Za swoją twórczość otrzymał wiele nagród i wyróżnień, m.in. złoty medal na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu w 1929 r.

MOJE SPOTKANIE ZE LWOWEM

Miało miejsce w 2000 r. i zapadło mi głęboko w pamięci. Udając się na zwiedzanie tego wyjątkowego ze wszech miar miasta, nie planowałem ani też nie przypuszczałem, że pobyt tam będzie się odbywać także po zapomnianych ścieżkach łowieckiej kultury. Po tych ścieżkach stąпам po dzień dzisiejszy i z tą samą pasją tropię jej zacierające się ślady. Dystans 200 km dzielący mój dom od centrum dawnej stolicy galicyjskiej krainy – od tamtego pamiętnego roku pokonałem jeszcze dziesiątki razy. Spacerując po ulicach miasta, zawsze z jednakową fascynacją przenoszę się w odległe lata, wypatrując zachowanych śladów łowieckiej przeszłości.

Myśliwi z Małopolski – dawniej Galicji – swoją obecność na kartach historii zawsze wiernego miasta zapoczątkowali w 1862 r., kiedy to założone zostało *Miejskie Towarzystwo Myśliwskie* we Lwowie (wg innych źródeł w 1838 r. – „Łowiec Polski” nr 1/1981). W 1871 roku w okolicach Lwowa powstało znane we wszystkich zaborach *Towarzystwo Lisowickie*, a w 1876 – *Towarzystwo Myśliwskie im. św. Huberta* we Lwowie. Powstanie tych towarzystw myśliwskich dało podwaliny pod nowoczesne, zorganizowane łowiectwo w Polsce. Od 1876 roku, propagowanie kultury i gospodarki łowieckiej zapoczątkowało na dużym obszarze kraju *Galicyjskie Towarzystwo Łowieckie* we Lwowie – pierwsza w zniewolonej Polsce organizacja zrzeszająca koła, towarzystwa łowieckie i myśliwych z autonomicznej Galicji. Stojący do dziś na

placu Mariackim pomnik Adama Mickiewicza to niemy świadek wielu wydarzeń historycznych przeżywanych przez lwowian. W 1898 roku, w setną rocznicę urodzin wielkiego poety, uczestnicy II Zjazdu Łowieckiego (do wybuchu II wojny światowej zwoływane były we Lwowie), złożyli wieńce, oddając wielkiemu wiesz-

czowi należny hołd. Z tego miejsca wszędzie jest blisko, także do wielu miejsc szczególnych dla historii i kultury łowieckiej. A to na dawną ulicę Rutowskiego, gdzie pod nr 18 mieściło się Muzeum Przyrodnicze, stworzone przez pierwszego prezesa Galicyjskiego Towarzystwa Łowieckiego hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego. I na ulicę Kopernika, gdzie znajduje się rezydencja Potockich, a tu 12 kwietnia 1908 r. został zastrzelony po powrocie z polowania w Perehińsku, oddany sprawom łowieckim, namiestnik hr. Andrzej Potocki, a dalej pod nr 42 pałac hr. Juliusza Bielskiego (wieloletniego prezesa MTŁ we Lwowie, wiceprezesa Międzynarodowej Rady Łowieckiej – CIC, prezesa Centralnego Związku Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie – współtwórcy obecnych struktur PZŁ, posiadacza słynnego na cały świat oręza dzika z Rychcic, wystawionego po raz pierwszy na berlińskiej wystawie łowieckiej w 1937 r. – wycenionego tam na 151 pkt. CIC).

Blisko jest też na dawną ul. Ossolińskich. Tu pod nr 11 na III piętrze zabytkowej kamienicy do wybuchu wojny mieściła się – przeniesiona wcześniej z ul. Mickiewicza, siedziba MTŁ we Lwowie wraz z redakcją „Łowca”. Idąc w górę ul. Kopernika, dojdziemy do ul. Nabelaka, gdzie pod nr 49 mieszkał członek lwowskiego koła łowieckiego – znany myśliwy Włodzimierz Puchalski (ceniony mistrz kamery i bezkrwawych łowów), dalej do ul. Sapiehy, przy której stoi kościół św. Elżbiety. Wnętrze tej reprezentacyjnej lwowskiej świątyni zdobiła – wykonana staraniem myśliwskiej braci – kaplica św. Huberta. Ilekroć jest mi dane przebywać





w murach św. Elżbiety, tyle razy zadając sobie pytanie: jakie są losy obrazu św. Huberta z tej kaplicy. Jeżeli został uratowany – jak słyszałem, to gdzie obecnie się znajduje? Jakie były jego dzieje w latach wojny? Już wiele lat trwają moje poszukiwania odpowiedzi dotyczącej tego obrazu.

SALON KRESOWY

W moim tropieniu losów obrazu św. Huberta z kościoła św. Elżbiety przypadek sprawił, że w sposób dla siebie nieoczekiwany poznałem dwie przedwojenne lwowianki – Panią Krystynę i Kamillę – córki autora obrazu *Wizja św. Huberta*. Ta znajomość z żyjącymi przedstawicielkami lwowskiego grodu i kresów pozostawiła w moim sercu niezapomniane doświadczenie. Te dwie bardzo sympatyczne Panie, o nieskażonej przedwojennej lwowskiej mentalności, poznałem dzięki telewizyjnemu programowi Jerzego Janickiego – *Salon Kresowy*.

W jednym z jego wydań gościem Pana Janickiego była Pani Kamilla Sichulska. Po zakończonej emisji odcinka nawiązałem kontakt z autorem tego lubianego programu. Telefon odbiera Pan Jerzy – przedstawiam się, kim jestem, co robię i w krótkich słowach charakteryzuję swoje zainteresowanie Lwowem. Sam przedmiot moich lwowskich zainteresowań powoduje wyczuwalne jego ożywienie. Wysłuchał cierpliwie przygotowanej prezentacji, po czym powiedział swym charakterystycznym zachrypniętym głosem: *... ta nie ma sprawy. Sam w kwestii lwowskich myśliwych to Panu nie pomogę, bo nie mam o nich wiedzy – nigdy się tym tematem nie interesowałem. Ale Pani Kamilla to na pewno panu pomoże. Ma wiele pamiątek po ojcu. Teraz wychodzę do lekarza – proszę zadzwonić do mnie za dwie godziny – jak wrócę to poszukam w notatkach do niej telefonu.*

Telefon do tego wyjątkowego kresowianka – na przestrzeni tygodnia – wykonam jeszcze trzykrotnie, czerpiąc nieopisaną przy-

jemność z krótkich i formalnych – aczkolwiek podbudowujących rozmów. Dzięki jego pomocy niebawem udałem się do Wrocławia. Tam w swoim mieszkaniu oczekuje mnie Pani Kamilla (z domu Sichulska).

Rozmowę zaczynam od poinformowania pani domu, że jestem myśliwym i... tu została przerwana moja autoprezentacja stwierdzeniem Pani Kamilli: *... Pamiętam, jak mój dziadziu Leon Starkiewicz w domu ciągle powiadał, że myśliwi to ludzie nieprzeciętni.*

Tym stwierdzeniem została otworzona droga do naszej dalszej rozmowy. Uważnie wsłuchuję się w opowiadanie córki wielkiego malarza o tamtych dawnych latach. Tym wspomnieniom towarzyszy wyjątkowa aura spotkania. Przyglądam się wiszącym na ścianach nielicznym już obrazom Kazimierza Sichulskiego. W tej wyjątkowej scenografii w sposób autentyczny przeżywam swoją wizytę w niepowtarzalnym *Salonie Kresowym*.

Po kilku miesiącach od tego spotkania historię o lwowskim okresie życia rodziny Sichulskich będę miał okazję i przyjemność poznać również od starszej córki malarza – Pani Krystyny, mieszkanki Jeleniej Góry. Obie Panie niestety nie mają wiadomości o losach obrazu ojca – *Wizja św. Huberta* z kaplicy Hubertowskiej lwowskiego kościoła. Za to poznałem losy śp. Kazimierza Sichulskiego oraz wielu innych jego obrazów.

RODZINA

Kazimierz Sichulski urodził się 17 stycznia 1879 r. we Lwowie w domu przy ul. Staszica 6, w bliskim sąsiedztwie domu Aleksandra Fredry na ul. Chorażczyzny – współzałożyciela Galicyjskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie. Rodzicami Kazimierza byli: Antoni – inżynier kolejowy, oraz nauczycielka Kamilla Langner – siostra gen. Władysława Langnera (byłego dowódcy obrony Lwowa). Jako student, za jej portret – rysunek ołówkiem, K. Sichulski otrzymał złoty medal ASP w Krakowie w klasie prof. Stanisława Wyspiańskiego.

Kazimierz Sichulski, po rozwodzie z aktorką Bronisławą Rudlicką (był to związek bezdzietny), ożenił się ponownie w 1916 r. z Mieczysławą Starkiewicz – córką Leona Starkiewicza, szlachcica, syna proboszcza

grekokatolickiego. Teść malarza był dzierżawcą dóbr ziemskich w Trościańcu Wielkim, Litiatynie na Podolu i majątku Jägermana w miejscowości Łuka nad Dniestrem, posiadał gruntowne wykształcenie rolnicze. Był również wieloletnim współpracownikiem „Łowca Polskiego”, autorem licznych artykułów o wędkarstwie i łowiectwie. Podróże w poszukiwaniu wciąż nowych łowieckich przygód stanowiły sens jego życia. Po 17 września 1939 r. od wywózki na Sybir uchronił L. Starkiewicza wiek i mocno zaawansowana choroba. Gdy żołnierze NKWD przyszedli do domu go aresztować, leżał półprzytomny w łóżku. Jego nogi, mocno opuchnięte o siwym zabarwieniu, ograniczały samodzielne poruszanie. Dowódca nieproszonych gości jego stan zdrowia ocenił na tyle krytycznie, by stwierdzić: *zostawcie go, bo nam umrze w drodze*. On sam nie bał się aresztowania. Mimo zaawansowanego wieku i złego stanu zdrowia w zsyłce upatrywał szansę na nieskrępowaną możliwość polowania w syberyjskiej tajdze. Zmarł w 1941 r. we Lwowie w domu wnuczki Krystyny – córki K. Sichulskiego. Jego żoną była Maria Niecielska, urodzona w Polkowskiej miejscowości Biłka.

Przypuszczalnie w latach 1916–17 Kazimierz Sichulski, znany i ceniony już artysta malarz, dokonał zakupu na przedmieściach Lwowa, od niejakiego Obtułowicza – willi Potockich. Tu przyszła na świat trójka jego dzieci: córka Krystyna (ur. w 1917 r.), syn Jerzy (ur. w 1919 r. – zm. w Londynie), córka Kamilla (ur. w 1921 r.). Dom ten składał się z 5 dużych pokoi o eleganckim wystroju. Pokoje posiadały duże dwuskrzydłowe drzwi, sufity zdobione były w supraporty, podłogi parkietowe. Ogrzewane były przez 2 piece na koks, tzw. *douerbranty* – paliły się nieprzerwanie w salonie i sypialni.

Na piętrze była wspaniała pracownia ze szklanym dachem i trzy małe, ciepłe pokoiki. W domu nie było łazienki ani *nyży* dla służącej, która spała w kuchni. Dom od ulicy zdobiły piękne rabaty kwiatowe, o które dbała żona malarza. Natomiast za domem był duży wspaniały sad. Gospodarz tego domu sad wynajmował sadownikowi, który za tzw. *odsyp* – były to setki kilogramów jabłek i gruszek – opiekował się ogrodem. Dzieci profesora od wczesnych lat każdy wolny czas spędzali na turystyce i wypo-

czynku po malowniczych zakątkach Karpat. Gdy dorosną, zaczęli uprawiać narciarstwo w górach, a latem spływy kajakiem po uroczych, malowniczych rzekach Polesia. Zamiłowanie do czynnego wypoczynku, którego doświadczali z rodzicami i dziadkiem na łonie przyrody, sprawi, że lata swej młodości spędzą również na wspólnych wyprawach po różnych malowniczych miejscach kraju z braćmi Puchalskimi – starszym Romkiem i młodszym Włodkiem. Po wielu latach Pani Kamilla ten okres znajomości z Romanem Puchalskim podsumuje krótko: *... już niewiele brakowało – mieliśmy się pobrać. Wyślalibyśmy za Romka... gdyby nie wojna!*

Starszy brat Włodzimierza, również pasjonat kamery fotograficznej i sportu, w pierwszych dniach wojny próbował wraz z falą emigrantów przedostać się do Rumunii. Niestety – podobno z uwagi na schludny ubiór wydał się sowietom podejrzany. Nowy aparat fotograficzny *Leica*, który miał przy sobie, obciążał go dodatkowo. Uznany za polskiego oficera, został aresztowany koło Nadwórnej, a następnie w październiku 1939 wywieziony na wschód, skąd już nie powrócił. Syn malarza, Jerzy Sichulski, który również przedzierał się do Rumunii w ubraniu odmiennym, bo nie wywołującym podejrzeń, szczęśliwie dotarł do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i wraz z brygadą gen. Maczka przeszedł cały jej szlak bojowy.

KOŚCIÓŁ ŚW. ELŻBIETY

Został wybudowany w latach 1908–11 u zbiegu ulic Gródeckiej i Leona Sapiehy, na dawnym placu Solarni (później pl.

Arcybiskupa Józefa Bilczewskiego)

– koszt jego budowy wynosił około 1 550 000 koron. Ciągły brak środków finansowych na wyposażanie i dekorowanie wnętrza spowodował, że prace wykończeniowe kościoła trwały do wybuchu II wojny światowej. Był jedną z największych lwowskich świątyń, miał 12 wielkich ł-



Kościół św. Elżbiety we Lwowie (od frontu)

kowych neogotyckich okien w nawie głównej, ogromną rozetę nad wejściem, dwa duże okna z rozetami po obu stronach transeptu i więcej niż 30 mniejszych okien w prezbiterium, kaplicach i zakrystiach. Każdy, komu dane było uczestniczyć przy budowie, a następnie wykańczaniu kościoła, poczytywał to sobie za duże wyróżnienie i zaszczyt.

3 czerwca 1911 roku we Lwowie odbył się XXXV Walny Zjazd Galicyjskiego Towarzystwa Łowieckiego. Na tym corocznym spotkaniu myśliwych został przyjęty jednogłośnie wniosek dra Józefa Ekielskiego, by dla św. *Elżbiety* ufundować kaplicę św. Huberta, w której będą mogli spotykać się myśliwi ze swoim patronem, kultywując i propagując w ten sposób Hubertowską tradycję. Zbiórka funduszy na ten cel – przez wojny i recesje gospodarcze – trwała długich 17 lat. Poświęcenia nowego kościoła św. Elżbiety dokonał w piątek 3 listopada 1911 r. arcybiskup Józef Bilczewski. Był to przypadek – czy piękny i wymowny gest pod adresem małopolskich myśliwych, że na dzień tych uroczystości zostało wybrane święto św. Huberta?

W 1924 roku – na dwa lata przed Złotym Jubileuszem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego (wcześniej GTŁ) – działacze tego towarzystwa postanawiają zlecić wykonanie kaplicy uznawanemu i popularnemu wówczas artyście, lwowskiemu malarzowi Kazimierzowi Sichulskiemu. Myślą przewodnią myśliwych z Małopolski było zmanifestowanie tą kaplicą przywiązania do tradycji i kultury łowieckiej oraz godne upamiętnienie jubileuszu 50 lecia powstania pierwszej w Polsce organizacji łowieckiej.

Według zamysłu artysty malarza wykonano ornamentacyjną polichromię ścian, ołtarz wraz z mensą i tabernakulum, obraz ołtarzowy *Wizja św. Huberta*, sześć lichtarzy, kratę mosiężną, kilim i witraż. Witraż wstawiono w ostrołukowe okno i podzielono na dwie części wertykalne. Maswerki w części górnej okna ozdobił wielobarwny geometryzowany ornament. W części dolnej usytuowano dwa medaliony z napisami wykonanymi stylizowanym gotykiem: *Małopolskie Towarzystwo Łowieckie* i *Całość kaplicy projekt. K. Sichulski + Witraż wykonał S.G. Żeleński w Krakowie oraz daty 1876–1926*. Nad nimi w dwóch górnych medalionach Sichulski umieścił dwie jednakowe postacie

jeleni z wizji św. Huberta. Projekt ozdobienia kaplicy św. Huberta najpierw nie uzyskał akceptacji komitetu artystycznego Towarzystwa Łowieckiego. Tylko pełne aprobaty opinie pisemne lwowskiego konserwatora wojewódzkiego dr. J. Piotrowskiego, dr. W. Kozickiego i prof. W. Podluchy miały decydujący wpływ na pozytywne rozstrzygnięcie kwestii jego realizacji. Temu dziełu jednak nadal nie sprzyjały recenzje części duchowieństwa, której wyobrażenia o postaci św. Huberta znacznie różniły się od wizerunku świętego spod pędzla mistrza. Do tej krytyki dołączyli parafianie św. Elżbiety, którzy o Hubertowskim przesłaniu zdaje się mieli niepełne pojęcie, bowiem zgodnie oświadczała: *do ogona sarny modlić się nie będziemy*.

Kazimierz Sichulski w tym czasie przyjął również zamówienie od znanego działacza MTŁ we Lwowie S.W. Orskiego – na wykonanie ilustracji do jego książki pt. *A było to wczas rano*. Wydawnictwo to z powodzeniem przyczyniło się również do zaakcentowania jubileuszu.

Kościół św. Elżbiety od samego początku jego powstania objęli swym patronatem lwowscy kolejarze. Myśliwi, zrzeszeni pod sztandarem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, w jego dostojnych murach organizowali coroczne *Hubertusy*.

Tak było aż do 4 czerwca 1946 r., gdy nowe władze okaleczone działaniami wojennymi kościół postanowiły zamienić na magazyn. W czasie ostatniej, pożegnalnej mszy odprawionej w jego murach słysząc było głośnie szloch, a po podniesieniu niektórych kobiety mdlały lub dostawały histerycznych ataków. Pani Zofia Sokolnicka-Izdebska (mieszkanka Brzuchowic k. Lwowa) w swym pamiętniku ten dzień m.in. tak wspomina:

... Oto po mszy św. młody wikary od-
czytał litanię do Najświętszego Serca Pana



Jezusa. Gdy doszedł do wezwania *Serce Jezusa, miłości i dobroci pełne*, głos się księdzu załamał, rozplakał się i uciekł do zakrystii. W tym momencie rozległ się ogólny szloch, aż proboszcz wyszedł na ambonę i prosił, żeby się w tej chwili uspokoić, bo on jest odpowiedzialny za porządek w kościele. Następnie jeszcze jeden przykry incydent – gdy po skończonym nabożeństwie ludzie rzucili się na ołtarze by na pamiątkę zabrać ich wystroje... Potem nowa władza przeprowadziła planową dewastację wszystkiego, co w ogromnym trudzie przez lata było zbudowane. Kapli-

ca św. Huberta przestała istnieć, chociaż sam obraz mistrza Sichulskiego z tej kaplicy rzekomo został uratowany. Po odzyskaniu przez Ukrainę niepodległości kościół został przemianowany na cerkiew grekokatolicką. 24 lipca 1991 r. odprawiono w nim pierwsze nabożeństwo w obrządku wschodnim i kościół powtórnie poświęcono św. Oldze i Jelizawiecie. Chociaż konserwatorzy ukraińscy nie przywiązują wagi do neogotyckiego wystroju świątyni, nadal urzeka ona swym dostojeństwem i pięknem.

Dokończenie w następnym numerze

Fot. i reprodukcje autora

W nawiązaniu do rozmowy z Kadetami II Rzeczypospolitej, zamieszczonej w CL 1/09, przedstawiamy przekazany nam ostatnio przez p. Zenona Malika wiersz, napisany przez Zbigniewa Kabatę, niegdyś (do 1939 r.) kadeta z 4 kompanii KK1 we Lwowie.

Przy okazji przypominamy, że w CL S/99 drukowaliśmy artykuł p. Z. Malika pt. „Kadeci II Rzeczypospolitej”.

Zbigniew Kabata

K A D E C I

Kadeckie półsłońce zachodzi...

Chodziliśmy, młodzi,
kolumną drelichem zieloną,
czwórkami na odtrąbiono,
z piosenką, co ku niebu leci.
Z nami szli wszyscy kadeci:
kadet Kościuszko, słynny naczelnik powstania,
kadet Sowiński, co Wołę piersią osłaniał,
kadet Jasiński (litewskim wojskiem dowodził),
kadet Kniaziwicz (w kampaniach z cesarzem
chodził).

Szli kadeci-generalowie,
szli historię piszący wodzowie,
a z nimi szli młodszy kadeci,
młode zuchy, jeszcze prawie dzieci,
którzy Śląska w potrzebie bronili
do ostatniej swego życia chwili.
Szedł Zaszczyński, Pszczołkowski i Kuczyński,
Chodkiewicz, Toczyłowski, Czekaliński,
wszyscy inni, którzy nas wołali
z portretów w honorowej sali.
Kolumną szliśmy zieloną,
czwórkami, na odtrąbiono,
z piosenką, co ku niebu leci.
Bacność, czuwajcie kadeci...
dumą i męstwem szaleni,
do śmierci wierni i karni,
pójdziemy we krwi czerwieni,

jak szli ojcowie ofiarni...!

I tak poszliśmy...

Przez wrześniowe pola
powiodła nas nasza dola,
przez dalekie horyzonty
wiodła nas na wszystkie fronty.
Kosiła nas śmierci kosa,
wyjadała oczy rosa
nam idącym drogą żmudną,
którą dziś odnaleźć trudno.
do krwi ostatniej kropli z żył...
wszędzie kadet o wolność się bił.
Topniał, niknął orszak dumny,
nie ma kadeckiej kolumny.
Zostały tylko krwawe stóp ślady
i młodzieżcej pieśni echo blade.
Nikt nas nie żegnał, nikt nie doliczył
do Kościuszki, Kuczyńskiego, Chodkiewicza
nazwisk, których nikt nie pamięta.
Złota Księga Kadetów zamknięta.
Nas, pozostałych gorzki smutek dąży,
bo naszym szlakiem dzisiaj już nie dąży
czwórkami kolumna drelichowa
ze srebrnym półsłońcem nad głową.
Kadet zrobił swoje, kadet odejść może.
Pobłogosław kadetów, Wszechmogący Boże.
Spraw, by mimo ich słońca srebrnego zachodu
ślad po nich został w pamięci narodu.

Jan Ernst

LWOWSKA SZKOŁA GEOGRAFII

Silną niewątpliwie komórką naukową na Uniwersytecie Jana Kazimierza był Instytut Geografii. Można określić działalność jego jako szkołę, przyjmując w uproszczeniu, że szkoła to:

- zespół pracowników naukowych, którzy pod kierunkiem wybitnego uczonego mają szczególne osiągnięcia naukowe, metodyczne, a nawet dydaktyczne,
- nie mieści się w żadnym schemacie organizacyjnym,
- oceniana jest właściwie ex post i przez ogólną opinię naukowców danej dyscypliny.

Twórcą tej szkoły był wybitny uczonek, o dużej sile oddziaływania na swoich uczniów i najbliższe otoczenie – Eugeniusz Romer.

Do wypowiedzenia tych kilku słów o Szkole Romerowskiej czuję się upoważniony, ponieważ jestem już tylko jednym z bardzo nielicznych, którego łączyły serdeczne więzy naukowe, a nawet przyjacielskie zarówno z Eugeniuszem Romerem, jak i z dużym gronem jego najbliższych współpracowników, a więc z tymi, po których została już dzisiaj tylko najserdeczniejsza pamięć.

Aby ocenić rolę Romera i jego Szkoły, trzeba uświadomić sobie czasy, w jakich ona powstawała, działała i rozwijała się. Po pierwszym – w czasie zaborów – okresie silnej germanizacji Galicja otrzymała autonomię w roku 1867, a w r. 1871 obowiązywał już polski język wykładowy na obu Uniwersytetach w Galicji: Jagiellońskim i Jana Kazimierza we Lwowie.

Był to okres tworzenia się w nauce światowej geografii, dyscypliny o ściśle okre-

ślonych problemach i własnych metodach. Za granicą działali wówczas Davis, Panek, Kirchoff, Richthofen i wielu innych. Ich zainteresowania dotyczyły przede wszystkim geomorfologii.

Ciekawe więc jest w tej sytuacji, że pierwszymi profesorami geografii na obu ówczesnych polskich uniwersytetach nie byli geografowie. W Krakowie profesorem geografii był poeta, miłośnik polskiej ziemi – Wincenty Pol, a we Lwowie – podróżnik, przyrodnik, geobotanik Antoni Rehman.

Romerowi więc przypadło w udziale tworzenie i organizowanie geografii w Polsce, ale traktował ją szerzej i dokumentował to licznymi swoimi pracami. Oprócz geomorfologii, gdzie interesowały go głównie problemy zlodowacenia Tatr, zajmował się klimatologią, geografą gospodarczą, a przede wszystkim kartografią.

Romer, urodzony we Lwowie, wrócił do tego miasta po studiach w Krakowie i za granicą w 1899 r. Wykładał w Akademii Handlowej. Biograf Romera Julian Czyżewski doszukuje się początków Instytutu Geografii w roku 1911, kiedy Romer jako profesor zwyczajny obejmuje katedrę po Rehmanie i rozpoczyna intensywną działalność. Pięknie i właściwie przedstawia osobowość naukową Romera prof. Józef Szaflarski:

Nazwisko Romera było przez długie lata symbolem polskiej geografii – symbolem o światowym znaczeniu i rozgłosie. Zawdzięcza je niezwykłemu dorobkowi naukowemu i obejmującemu w ciągu 60 lat blisko 500 pozycji ze wszystkich dziedzin geografii oraz wyjątkowemu bogactwu myśli, jakie daje się śledzić w każdej z jego prac naukowych. W swych publikacjach wybiegał on też wielokrotnie poza ramy geografii, szereg z nich zajmuje się sprawami gospodarczymi i społecznymi, a także organizacją nauki – zawsze w serdecznej trosce o dobro państwa i społeczeństwa.

Szybko rosła liczba jego uczniów, korzystająca z jego wiedzy, ale i ulegająca wyjątkowej osobowości Romera. Oprócz normalnych zajęć uniwersyteckich organizował on liczne wycieczki, które zbliżały, i słynne herbatki codzienne, w czasie których Romer z przejęciem i sugestywnie poruszał najrozmaitsze naukowe tematy.



Instytut Geografii we Lwowie mieścił się początkowo w niedużym lokalu w mieszkaniu czynszowym przy ulicy Długosza 27, a później w posej-mowym gmachu uniwersyteckim od ulicy Kościuszki 9, gdzie na trzecim piętrze zajmował szereg dużych i funkcjonalnych pomieszczeń.

Romer, idąc wcześniej na emeryturę w roku 1930, kiedy zajął się głównie Wydawnictwem Kartograficznym Książnica-Atlas, pozostawił 6 docentów, z których 4 było jego uczniami. Najstarszym z nich był Stanisław Pawłowski, bardzo wszechstronny: napisał w roku 1917 *Geografię Polski*. Od roku 1919 był kierownikiem katedry w Poznaniu i tam działał do śmierci w r. 1939. Zamordowany został przez Niemców wkrótce po ich wkroczeniu do Poznania. W instytucie pozostawił Romer trzech docentów: Augusta Zierhoffer, Juliana Czyżewskiego i Józefa Wąsowicza. Kierownikiem został Zierhoffer, najwszechstronniejszy z nich, chociaż wszyscy byli w pierwszym rzędzie geomorfologami. Zierhoffer w dużym stopniu interesował się również geografą ekonomiczną. Początkowo badania dotyczyły przede wszystkim osadnictwa wiejskiego, ze szczególnym uwzględnieniem strony genetycznej i formalnej, ale o większym zainteresowaniu problematyką geograficzno-ekonomiczną świadczyć może, że tam właśnie, w Instytucie, zastosowano po raz pierwszy tak popularne dzisiaj w badaniach geograficzno-ekonomicznych metody taksonomiczne.

Oprócz wymienionych trzech docentów drugą grupę naukowców stanowiła młodsza generacja, która – jeśli nie całkowicie, to częściowo odbyła studia pod kierunkiem Romera: Adam Malicki, Franciszek Uhorczak, Michał Orlicz i niżej podpisany.

Na duży rozwój klimatologii wpłynęło we lwowskim Instytucie utworzenie Katedry, której kierownikiem został, sprowadzony do Lwowa przez Romera, znany badacz polarny Henryk Arctowski. Katedry te w dużym stopniu ze sobą współdziałały, a pracowników

łączyły serdeczne więzi. Wśród klimatologów wymienić należy Włodzimierza Zinkiewicza, Stanisława Zychę, Henryka Orkisz i Jana Moniaka.

Lwowska Szkoła Geograficzna, najsilniejszy ośrodek tej dyscypliny w Polsce, odegrała bardzo istotną rolę w trudnym okresie po II wojnie światowej, kiedy kadry naukowców polskich zostały niemal zdziesiątkowane. Jej członkowie, po opuszczeniu Lwowa, zasilili wszystkie niemal polskie uniwersytety, ale w pierwszym rzędzie skierowali się do Wrocławia i do Lublina. Profesor Zierhoffer objął kierownictwo Katedry Geografii w Poznaniu, profesorowie Czyżewski i Wąsowicz we Wrocławiu, Malicki, Uhorczak i Ernst działali przez wiele lat jako profesorowie UMCS w Lublinie, a Orlicz przez dziesiątki lat był, jako profesor, kierownikiem Obserwatorium Meteorologicznego na Kasprowym Wierchu. Z grona tych, którzy wcześniej opuścili Lwów, Chałubińska i Janiszewski, byli profesorami na UMCS w Lublinie, a Barbag i Staszewski działali w Warszawie – na Uniwersytecie i w Akademii Nauk.

Mówiąc o Lwowskiej Szkole nie można nie zwrócić uwagi na dwie wielkie publikacje geograficzne, które ukazały się na początku lat sześćdziesiątych [XX w.]. Obie wykonane zostały w ogromnej większości przez geografów Lwowskiej Szkoły. Jedną z nich to 5-tomowa *Geografia Powszechna*. Redaktorem całości był August Zierhoffer, a redaktorami czterech tomów i autorami wielu rozdziałów byli geografowie lwowscy. Oryginalną stronę kartograficzną dzieła opracował Franciszek Uhorczak. Drugą pozycją wydawniczą był 4-tomowy *Wybór prac* Eugeniusza Romera. I w tym przypadku redaktorem całości był August Zierhoffer; życiorys Romera opracował Julian Czyżewski, a bibliografię jego dzieł wykonali Józef Wąsowicz i Franciszek Uhorczak. Inicjatorem obu tych publikacji było Państwowe Wydawnictwo Naukowe, w którym kierownikiem Redakcji Geografii był w owych czasach geograf lwowskiej Szkoły Jan Ernst.

Losy wojenne Romera były niezmiernie ciekawe, a działalność pierwszych lat powojennych bardzo korzystna dla tworzenia nowych kadr naukowych. Romer został profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego,

wykładał i do swojej śmierci brał czynny udział w życiu naukowym i organizacyjnym uczelni. Habilitował w tym okresie młodych wówczas naukowców: Adama Malickiego, Jana Dylaka, Stanisława Leszczyckiego i Marię Kielcewską-Zalewską.

Podsumowując znaczenie Szkoły Lwowskiej dla polskiej geografii, podkreślić szczególnie należy rolę, jaką odegrał w utrzymaniu integracji geografii wówczas, gdy zbyt silne tendencje do specjalizacji groziły nawet rozbiciem nauki. Równocześnie szkoła ta rozszerzała znacznie zakres badań naukowych czy to w kierunku klimatologii, geografii ekonomicznej czy kartografii. Romer i jego najbliższe otoczenie, rozwijając stopniowo zainteresowanie geografii ekonomiczną, przestrzegali jej geograficznej definicji, że jest to nauka o krajobrazie przekształconym działalnością człowieka.

Myśląc dzisiaj o Szkole Lwowskiej, o losach ludzi, którzy ją tworzyli, musimy zdawać sobie sprawę, w jakim stopniu byli oni ofiarami zawieruchy wojennej. Terror okupacji niemieckiej, a potem zmiana granic państwowych zburzyły całkowicie dotychczasowe warunki ich życia, pracy i zmusiły do szukania nowych podstaw egzystencji, a dalej i ich stabilizacji. U wszystkich niemal wymienionych karta życia jest już zamknięta, możemy więc próbować nakreślić pełne ich sylwetki jako uczonych i ludzi i wówczas podsumować bardzo poważne wspólne ich dzieło.

Szczególnie warto podkreślenia jest jeszcze to, że ludzie reprezentujący Lwowską Szkołę Geografii pozostawili po sobie opinię wartościowych naukowców i nauczycieli, a także ludzi szlachetnych i życzliwych dla otoczenia.

APEL DO WSZYSTKICH STROŃSKICH

Nazwisko Strońskich związane jest z całą Małopolską Wschodnią od kilku stuleci – ze Lwowem co najmniej od wieku XVIII. Przedstawiciele tej rodziny reprezentowali ziemiaństwo i inteligencję, byli wśród nich powstańcy i żołnierze, politycy i działacze, uczeni i artyści. Już kiedyś zwracaliśmy się o podjęcie opracowania monografii tej rodziny, do dziś szeroko rozrodzonej w Polsce i za granicą. Nie wiemy jednak, czy ktoś się tym zajął.

Na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie istnieje dotąd piękny grobowiec jednej z gałęzi rodziny Strońskich, niestety w krytycznym stanie technicznym – zdjęcie załączamy. W ramach naszych starań o ratowanie zabytkowej substancji łyczakowskiej nekropolii (coroczne kwesty na cmentarzach krakowskich w dniach 1–2 listopada), chcielibyśmy również zle-

cić prace w celu powstrzymania dalszej destrukcji tego grobowca. Jednak nasze możliwości finansowe są ograniczone, ze względu na ogrom potrzeb.

Apelujemy więc do wszystkich osób, które noszą to nazwisko i poczuwają się do rodzinnej wspólnoty oraz lwowskiej tradycji – o dołożenie się do ratowania tego architektonicznego reliktu znakomitej rodziny.

W przypadku zainteresowania – bezpośrednich informacji w kwestii organizacji i wykonania odpowiednich prac na cmentarzu może udzielić

Krakowski Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów PW. Proponujemy kontakt listowny lub mailowy:

**Towarzystwo Miłośników Lwowa i KPW,
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27
e-mail: info@cracovia-leopolis.pl**



ZAMKI, LOCHY I GROTY

Tekst audycji „Radia Lwów” z lat 1930. pt. „Tajemnice zamków podolskich”. Nowy tytuł nadany przez redakcję.

Nie wszystkie zamki podolskie były tak potężne i obronne, jak zamek księcia Jaremy Wiśniowieckiego w Zbarażu, nie wszystkie dysponowały w krytycznej chwili dostatecznym zapasem prochu i żywności, nie wszędzie stacjonowane były dość liczne oddziały wojska – cóż się wtedy działo z tymi, co się w nich schronili? Potworne rzezie, potoki krwi, pożary, których tunę na wiele mil wokoło widziano, jasyr często gorszy niż śmierć – oto, co czekało nieszczęsnych.

Jakże się działo, że kraj, spustoszony nieraz rok po roku, w którym gospodarowały czasem tatarskie czambuły i rządzili tureccy baszowie jak u siebie w domu, mordując i porwijąc w jasyr, niszcząc i grabiąc, nie wyludnił się zupełnie, że było komu poprowadzić pług i zboże siać? Nie wytłumaczy tego zjawiska to, że pewna część wracała znów z jasyru, odbita lub wykupiona, że żyzna, bogata ziemia zaludniała się szybko nowymi kolonistami z zachodu, ani nawet gorące przywiązanie rolników do ziemi. Sprawa ta owiana jest pewną legendarną tajemniczością. Matka żywicielka we wnętrzu swym kryła i chroniła swe dzieci. Istniały mianowicie na całym terenie Podola liczne jaskinie naturalne oraz głębokie i rozległe podziemia w zamkach. Tam chroniono się, gdy już znikąd nie było ratunku. Były one troskliwie zamaskowane, a wejścia otaczane pilnie strzeżoną tajemnicą. Tu chroniono się z dobytkiem, czekając cierpliwie, aż się nieprzyjaciół oddali. Podziemia takie, owiane legendą i tajemniczością, posiadały wszystkie zamki. Niektóre z nich są dziś jeszcze dostępne, jakkolwiek w niedużej tylko części. I tak z legendy tylko znamy olbrzymie ponoć sklepy podziemne w pięciu kondygnacjach pod zamkiem w Trembowli, kute w skale, na której gród zbudowano. Wejście do nich znał podobno tylko wojski, urzędnik, które-

go opiece pozostawiano ludność rolniczą, kobiety, dzieci i starców, gdy rycerstwo na wojnę ruszało.

O tym, jak rozległe były chodniki podziemne w Zbarażu, świadczy fakt, że często w mieście napotyka się przy robotach ziemnych zapomniane przejścia i sklepienia. Twierdza ta zawdzięczała swą obronność w równej mierze potężnym szkarpom, belardom, jak podziemnym przejściom i schronom. Wszystkie baszty i kazamaty w wałach obronnych połączone były podziemnymi przejściami z pałacem, zajmującym środek obwałowań, a skośnie opadający długi chodnik wiodł z piwnic jego do studni. Prócz tego istniało ponoć przejście podziemne z zamku do klasztoru bernardyńskiego, położonego po drugiej stronie rzeczki Gniezny.

W Radziechowie znajdują się pieczary i rozległe tunele, w których wedle tradycji chroniła się ludność przed Tatarami. Nie zbadano ich dotychczas bliżej, lecz o ich rzeczywistym istnieniu świadczy zapadanie się ziemi w wielu miejscach. Niedaleko stąd, w Łopatynie, zachowały się podziemia po nieistniejącym już zamku książąt litewskich. Podobnie pozostały już tylko podziemia po jakimś zamku koło Kułakowiec nad Seretem. Lud okoliczny nazywa te ruiny Mogiłą – dlaczego? Może dlatego, że zaginęli w nim wszyscy jego obrońcy i ci, co się w nim schronili? Nawet nazwa zaginęła i nie wiemy o nim nic prócz tego, że stał się mogiłą...

Wymieniłem tylko drobną część podziemnych lochów, o których wiele legend opowiada lud Podola. Są one już dziś prawie zupełnie niedostępne, czy to dlatego, że pradawne ich sklepienia uległy niszczącej działalności wód i czasu, czy też, że je dla bezpieczeństwa zamurowano, czy wreszcie z tego powodu, że nie możemy już dziś do nich trafić. Zbadanie ich byłoby niewątpliwie bardzo ciekawe, lecz wymagałoby wielkich nakładów pieniężnych i prócz tego jest bardzo niebezpieczne, więc zapewne nieprędko objawią nam podziemia swe mroczne tajemnice.



Mapka zamków na Podolu i Wołyniu. Wg A. Bujak, Zamki – kresowe strażnice Rzeczypospolitej

Prócz sztucznych podziemi posiada Podole szczególnie wiele grot naturalnych, zwłaszcza w części południowo-wschodniej. Sprzyjał ich powstawaniu charakterystyczny układ geologiczny – znajdują się tu mianowicie ogromne jakby bryły gipsu w jednolitym zresztą pokładzie wapiennym. Gips rozpuszcza się w wodzie krążącej w szczelinach podziemnych i w ten sposób w ciągu tysięcy lat wytworzyły się całe kompleksy fantastycznych jaskiń naturalnych. I spośród nich znamy oczywiście tylko drobną część. O istnieniu innych świadczą głębokie leje, tworzące się na powierzchni ziemi, zwane tu wertebami, oraz powtarzające się czasem gwałtowne wstrząsy o sile trzęsień ziemi w chwili walenia się sklepień potężnych jaskiń podziemnych. Ostatnio zanotowały taki wstrząs nawet sejsmografy krakowskie. Grot takich najwięcej jest w powiecie borszczowskim, sporo ich także zauważyć można, jadąc łodzią w pionowych niemal ścianach skalistych jaru Dniestru i jego dopływów. Dostęp do nich przeważnie jest bardzo utrudniony. Wiadomo, że służyły człowiekowi za schronienie od bardzo już dawnych czasów, w wielu znaleziono sporo śladów, lecz dotąd nie zbadano ich należycie. Są takie jaskinie w Burku, w Sepohowie i Kołodróbce nad Dniestrem, w Holihradach w jarze Seretu, a koło Lesiecznik pokazują „Roszową Jamę”. Prócz tego znaleźć można w ścianach jaru Dniestru charakterystyczne monastery skal-

ne – koło Deremian i Mśniecza. Są to niezbyt głębokie groty, sztucznie wykute. Najciekawsze są jednak groty krystaliczne w Bilczu Złotym i w Krzywczu. Groty bilczańskie znane są już od przeszło stu lat, badało je kilku uczonych, lecz w sposób chaotyczny i rabunkowy. Groty w Krzywczu nie mają sobie równych w całej Polsce. Podziemna rzeka stworzyła tu fantastyczną płataninę chodników i wysokich sal, ginących w tajemniczej ciemności kominów, kształtując dziwnie ich ściany. Kroczymy ciasnym chodnikiem, by nagle znaleźć się w obszernej hali, drgające światło naszych lamp odbija się i mieni tysiącem refleksów w kryształach, okrywających ściany błyskami drogich kamieni, rozsrebrza się na śnieżystych białych, niepokalanach, krystalicznych nalotach, igra figlarnie, iskrzy się w kropelkach wody, ściekającej po długich palcach zwieszających się ze sklepień stalaktytów, odkrywa niespodzianie fantastyczne postacie i dziwotwory kamienne. Groty te nie były nigdy zamieszkane przez człowieka, odkryto je niedawno i udostępniono przez rozszerzenie wejścia i pogłębienie chodników. Stanowią one własność Podolskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, są należycie utrzymane, a dostępne są od stacji kolejowej w Germakówce na linii Tarnopol–Iwano-Frankiwsk. Mniejsza grotka tego typu, przystosowana również przez PTTK do masowego zwiedzania, znajduje się w Uhryniu koło Czortkowa.

Danuta Nespiaik

JAK RATOWAĆ POLSKIE DOBRA KULTURY

(WEDŁUG JANA NOWAKA JEZIORAŃSKIEGO)

Dla Polski, która w II wojnie światowej straciła połowę swego terytorium, otrzymując mniejszą obszarowo rekompensatę – Ziemie Zachodnie – pytanie, czy dobra kultury należą do narodu czy do państwa, w którym się znalazły po zmianie granic – powinno być pytaniem zasadniczym. Odpowiedzi na nie społeczeństwo winno oczekiwać nie tylko od prawników i polityków, ale również od twórców kultury i tzw. autorytetów moralnych.

Klasycznym przykładem węzła gordyjskiego tego problemu jest Zakład Narodowy im. Ossolińskich (dar dla narodu polskiego!), którego znaczna część zbiorów pozostała we Lwowie, m.in. zbiory muzyczne i cała prasa lwowska i wileńska, a którego Polska nie rozwiązała. Ukraińcy nie chcą niczego oddać. Upominają się nawet o 25 rysunków Dürera, zrabowanych przez Niemców w 1941 roku we Lwowie z Muzeum Lubomirskich, tj. oddziału Ossolineum. Właścicielem tej cennej kolekcji czuje się Biblioteka im. Stefanyka lwowskiej filii Ukraińskiej Akademii Nauk we Lwowie, której dyrekcja wysłała w tej sprawie pisma do amerykańskich muzeów, gdzie dziś znajduje się ta rozproszona kolekcja dürerowska.

Ogromne straty polskiego dziedzictwa kulturalnego na Kresach w czasie II wojny światowej spowodowane były przez zniszczenia i grabieże dwóch okupantów. Niemcy byli do tej grabieży lepiej przygotowani organizacyjnie niż sowiety, bo w rabunku uczestniczyli profesjonaliści, m.in. Dagobert Frey, historyk sztuki, profesor Uniwersytetu we Wrocławiu, który znał polskie muzea i zbiory II RP.

II wojna światowa przyniosła, rzecz oczywista, również dotkliwe straty w zasobie niemieckich dóbr kultury. Rozmowy polsko-niemieckie dotyczące zwrotu dóbr kultury rozpoczęły się w 1992 r. i z przerwami są prowadzone nadal, nie przynosząc jednak konkretnych rozwiązań. Niemcom chodzi zwłaszcza o zwrot tzw. „Berlinki”, tj. zbiorów

z Biblioteki Pruskiej z Berlina, z cennymi muzykaliami i dziełami Bacha, Mozarta, Beethovena, Haydna oraz rękopisami i starodrukami z XVI–XVIII w. By uratować Berlinkę przed bombardowaniem alianckim, Niemcy wysłali ją w 1943 r. na Dolny

Śląsk i ukryta została w klasztorze Cystersów w Krzeszowie, skąd po wojnie przekazano ją do Biblioteki Jagiellońskiej.

Niemcy żądają zwrotu Berlinki argumentując, że dobra kultury z mocy prawa międzynarodowego winny być oddane prawowitemu właścicielowi. Strona polska natomiast uważa, że dobra, które znalazły się na polskich Ziemiach Zachodnich, są własnością Polski i formą restytucji zastępczej, koniecznej z uwagi na moralną wyższość Polski z powodu jej ogromnych i niepowetowanych strat kulturalnych spowodowanych przez Niemcy.

Wydawało by się, że racje polskie w tym sporze są dla wszystkich Polaków oczywiste. Otóż nie. Znany polski kolekcjoner Tomasz Niewodniczański, od lat mieszkający w Niemczech, w 2000 roku oświadczył, że podaruje Polsce swój cenny zbiór map i poloników (ma m.in. kresowe archiwa magnackie) pod warunkiem, iż Polska odda Berlinkę Fundacji Pruskiego Dziedzictwa Kulturalnego w Berlinie. W Polsce Niewodniczański został za to ostro skrytykowany, w Niemczech zyskał pochwały.

Natomiast to, co zaproponował Jan Nowak Jeziorański, ujawnia nie tylko jego powierzchowną wiedzę, a może jej brak – o dziedzictwie kulturalnym Polski za wschodnią granicą, ale i usługę ukrainofilstwo jednego z najbardziej liczących się tzw. autorytetów moralnych i politycznych III RP. Jego koncepcja rozwiązania sprawy Berlinki i sposobów ratowania polskich i ukraińskich zabytków kultury jest następująca:

Ta moja koncepcja polega na tym, żeby oddać Niemcom to, co jest w Polsce i stanowi serce ich spuścizny. My mamy Bibliotekę Pruską, rękopisy Goethego, nuty Beethovena, Schuberta, Mozarta: to naprawdę dziedzictwo Niemców, które powinno być im oddane. Pod warunkiem: skoro nie mogą oddać

dokończenie na s. 72

Z ks. prof.

Józefem Wołczańskim,

**historykiem Kościoła na Kresach,
rozmawia Janusz M. Paluch**



Księżę Profesorze, nawiązując do naszych poprzednich rozmów, które odbyły się w czasach, kiedy był ksiądz dyrektorem Archiwum Archidiecezji Lwowskiej w Krakowie, a druga tuż przed wizytą Ojca Świętego Jana Pawła II w państwie ukraińskim, muszę zapytać, co u księdza słychać?

Sytuacja zmieniła się o tyle, że pozo-
stawiłem archiwum już dziewięć lat temu,
a poświęciłem się badaniom dziejów kultury
i Kościoła na postsowieckim wschodzie, na
Ukrainie, Białorusi, Rosji i w krajach nadbał-
tyckich: Litwie, Łotwie i Estonii. Prowadzę
wykłady na Wydziale Historii i Dziedzictwa
Kulturowego Papieskiej Akademii Teologicz-
nej oraz publikuję książki, które są efektem
wyjazdów i kwerend, jakie prowadzę w archi-
wach na wschodzie. Kieruję także Katedrą
Historii Kościoła XIX i XX w. Na tym okresie
skupiają się moje zainteresowania. Głównie
interesuje mnie wiek XX, który obfituje w wy-
darzenia historyczne o podłożu kościelnym
i narodowym. Moje badania wymagają nie-
ustającej kwerendy na wschodzie, a zatem
ciągłych wyjazdów. Dlatego często można

mnie spotkać na Ukrainie, najczęściej we
Lwowie, gdzie pracuję nad starymi polskimi
archiwaliami. We Lwowie jest kilka archiwów
niezwykle bogatych w materiały: m.in. Cen-
tralne Archiwum Historyczne (materiały do
wieku XX) oraz Archiwum Obwodowe, które
obejmuje okres międzywojenny. Bywam też
w Żytomierzu, gdzie znajduje się mało eks-
plorowane przez badaczy archiwum kościel-
ne diecezji żytomierskiej, a także w diecezji
kamieniecko-podolskiej, której archiwum ma
siedzibę w Płoskirowie, obecnie to miasto
nazywa się Chmielnicki. Oczywiście nie po-
mijam także Kijowa, gdzie są zgromadzone
materiały najnowsze, a więc NKWD i innych
tajnych służb sowieckich. Te wyjazdy obfitu-
ją w bardzo ciekawe odkrycia. Nie zawsze
bowiem zdobywa się to, co się chciało. Nie-
kiedy odkrywa się dokumenty, o jakich nig-
dy się nie myślało, nie marzyło. Po prostu,
przez zwykły przypadek wpadają w ręce
materiały niezwykle ciekawe i cenne. Naj-
większą trudność sprawia obecnie postawa
tamtejszych służb archiwalnych. Mając do
czynienia z badaczami z Polski, próbują na
nich zarabiać, żądając wysokich kwot z tytułu
towarzyszących przeprowadzanej kweren-
dzie usług, jak skanowanie, kopiowanie czy
wykonywanie fotokopii. Dla nas sprawa po-
zyskania materiałów jest tak ważna, że nie
zważamy na nic, tylko pracujemy. Na tych
sprawach w obecnej sytuacji nie wolno, nie
należy oszczędzać pieniędzy.

**Powiedział Ksiądz Profesor, że zajmuje się
teraz dziejami Kościoła – na całych kresach
– Litwy i państw przybałtyckich, Białorusi
i Ukrainy. To bardzo szeroki obszar.**

Tak, próbuję ogarnąć ten obszar. Z tym,
że trudniej jest bywać na Łotwie czy Litwie, bo
tam jest daleko i wymaga to wielkich nakła-
dów finansowych. Poza tym tamten Kościół
ma całkiem inną specyfikę. Kościołem na
Litwie zajmują się głównie ośrodki olsztyński
i białostocki. My ciężymy ku południowemu
wschodowi, a więc bliższe są nam diece-
zje łucka, żytomierska, kamieniecko-podol-
ska i lwowska. Moje wyjazdy na ten szerszy
wschód bywają często wymuszone sytuacją.
Kilka lat temu zmarł w Łucku ks. Mednis. To
był Łotysz, który w latach 60. XX w. przybył
do Lwowa i tak się zachwycił polską kulturą,
że został na stałe. Pod koniec życia przeniósł
się do Łucka, gdzie pracuje bp Trofimiak. Ks.

Mednis był człowiekiem wielkiej kultury – koneser sztuki, znawca literatury polskiej, erudyta i polski Sarmata. Kiedy umarł, powstała myśl poświęcenia mu księgi pamiątkowej. Trzeba było jechać do Rygi i poszukać śladów jego przeszłości. Wybrałem się tam, do Seminarium Duchownego, gdzie studiował, na parafię, gdzie był wikarym, aby pozbiierać wiadomości do książki, którą wydaliśmy razem z pracownikami naukowymi UJ. Takie wyjazdy zazwyczaj są bardzo, bardzo ciekawe, ale też i czasochłonne. Trzeba przerwać zajęcia ze studentami i jechać na wschód, nie mając pewności, że cokolwiek się znajdzie w archiwach. Ale trzeba to robić, to jest moja misja i moja pasja. Robię to z przyjemnością i bez żadnego zmęczenia.

Rozumiem, że archiwa o których Książd mówi są oceanami nieodkrytych jeszcze dla dziejów Polski dokumentów. Śmiem podejrzewać, że jest Książd jednym z nielicznych historyków docierających do tego rodzaju dokumentów.

Jeżdżę na wschód od dwudziestu pięciu lat i cały czas zajmuję się kwerendą. W czasach sowieckich dostęp do archiwów był bardzo utrudniony. Ale, z drugiej strony, o wiele łatwiejszy, kiedy otrzymało się zgodę na kwerendę od władz sowieckich. Teraz wydaje się, że dostęp jest łatwy, bez mała całkowicie jawny, ale pojawiły się inne trudności, natury technicznej bądź finansowej. Oczywiście, te archiwa są niezwykle bogate, ponieważ sowietzi mieli wielki kult dla papieru, dla „bumagi”, jak u nich mówiono. Te „bumagi”, jak twierdzili, były zazwyczaj świadectwem winy człowieka. Tak więc wszystkie te papiery, które przejęli tytułem zawłaszczenia przez wojnę, zostały skrzętnie zachowane, zinwentaryzowane i do tej pory są znakomicie chronione. Inaczej sytuacja wygląda z archiwami kościelnymi, które były jeszcze w czasie II wojny światowej we władaniu Kościoła. We Lwowie, kiedy wkroczyła armia sowiecka, arcybiskup Bolesław Twardowski wpadł w tak wielki popłoch, że nakazał spalić wszystkie materiały personalne księży. Bano się – całkowicie słusznie, że sowietzi, mając w ręku akta personalne księży, dotrą do nich, do ich rodzin i zniszczą ich. Przerażenie było tak olbrzymie, że nie robiono selekcji materiałów księży żyjących, tylko palono wszystko,

co dotyczyło księży na przestrzeni sześciu wieków. Dlatego spłonęły wszystkie dokumenty dotyczące księży, życia duchowego w archidiecezji lwowskiej. Palono je przez trzy doby w piecu pałacu biskupiego i Seminarium Duchownego we Lwowie. Inne materiały ocalały, ponieważ – zabrzmi to paradoksalnie – wpadły kilkakrotnie w ręce sowietów i za każdym razem udało się je odzyskać, choć z pewnymi ubytkami. Lwowskie archiwum kurialne pod koniec wojny wywieziono do Lubaczowa. Obecnie znajduje się ono w Krakowie przy ul. Kanoniczej 13 i nosi nazwę Archiwum im. abp. Baziaka. Spora część została przejęta przez władze sowieckie, pozostała na wschodzie i do tej pory czeka na swoich odkrywców. Ludzi zajmujących się kwerendami w archiwach jest stosunkowo niewiele. Najczęściej spotyka się tam Polaków, którzy parają się genealogią. To jest obecnie główny motyw wyjazdu Polaków na wschód do tamtejszych instytucji archiwalnych. Najchętniej bywają we Lwowie, bo tam jest najbliżej i w związku z tym najtaniej. Gorzej jest już z Łuckiem i Żytomierzem, bo to odległe miasta i wyjazdy stają się kosztowne.

Dwutomowa książka autorstwa Książda „Eksterminacja narodu polskiego i Kościoła Rzymskokatolickiego przez ukraińskich nacjonalistów w Małopolsce Wschodniej w latach 1939–1945. Materiały źródłowe. Tom I i II” powstawała już w czasie naszej pierwszej rozmowy.

Prawdopodobnie tak, ale wówczas myślałem o wydaniu monografii poświęconej ludobójstwu na Polakach przez ukraińskich nacjonalistów. Uznałem wtedy, że monografia w takim kształcie byłaby przedwczesna, ponieważ nie były jeszcze znane źródła ani kościelnej, ale przede wszystkim państwowej proveniencji. Dlatego też doszedłem do przekonania, że najpierw trzeba wydać materiały źródłowe, potem postarać się o szerszą, czy też syntetyczną monografię. Te dwa tomy przedstawiają wydarzenia dotychczas całkiem nieznanne. Pierwszy tom zawiera raporty księży łacińskich z lwowskiej archidiecezji pisanych do kurii lwowskiej. Fala eksterminacji na Polakach przetaczała się już przez te ziemie w początkach września 1939 r. Wtedy były pierwsze mordy dokonywane na Polakach przez ukraińskich

nacjonalistów. Ale kulminacja ich nastąpiła w latach 1942–1944, a nawet w 1945 czy w 1946 r. Księża, widząc co się dzieje, rozpoczęli masową akcję opisywania tych wydarzeń i informowania Kurii Metropolitalnej we Lwowie. Uznali, że nie można o tym milczeć. Trzeba temu dać wyraz w formie raportów, sprawozdań i relacji kierowanych do kurii. Udało się odnaleźć kilkaset dokumentów. Pewnie nie wszystkie dotarły do adresata, może nie wszystkie się zachowały, ale ta olbrzymia liczba raportów poświęconych napaściom na wsie, paleniu domostw, masowym mordowaniu polskiej ludności katolickiej, w tym również kapłanów, jest bezprzykładnym dowodem ludobójstwa, którego do tej pory nie udało się do końca opisać. Drugi tom wspomnianej edycji zawiera fragmenty kronik kościelnych, albo też relacji osób świeckich o tej samej tematyce. Te kroniki są zgromadzone w archiwum w Krakowie albo w archiwach zakonnych w całej Polsce. Jest to bardzo cenne i bogate źródło, bo pisane na gorąco, tuż po dramatycznych wydarzeniach.

W jednym z pierwszych numerów naszego pisma opublikował Ksiądz relację pani Zofii Sokolnickiej-Izdebskiej na temat dziejów kapłanów lwowskich.

To było coś innego, To był szkic, w którym autorka opisywała likwidację Kościoła Rzymskokatolickiego we Lwowie. Problem likwidowania przez sowietów struktur organizacyjnych Kościoła i wyjazd arcybiskupa Baziaka wiosną 1946 r. oraz zamykanie świątyni. Natomiast to, co zamieściłem we wspomnianych dwóch tomach, jest zjawiskiem wcześniejszym, opisującym ludobójstwo na ludności polskiej dokonane w czasie II wojny światowej. Oczywiście, te dwa obrazy się przenikają, a trzeci, wynikający również z tych źródeł, eksterminacja dokonywana przez niemieckich faszystów i przez niemieckie władze okupacyjne na Polakach, nadal czeka na osobne opracowanie.

Proszę powiedzieć, jeśli to nie tajemnica, nad czym Ksiądz Profesor pracuje obecnie?

Kończąc książkę poświęconą wojnie ukraińsko-polskiej 1918–1919. To jest okres obfitujący w bardzo dramatyczne wydarzenia. Jak wynika ze źródeł, były to pierwsze zakusy środowisk ukraińskich marzących

o zawładnięciu tymi ziemiami. Z tamtych czasów zachowało się również kilkaset raportów, relacji księży, spisanych zazwyczaj na gorąco. I rzecz zdumiewająca, zauważymy, że to, co działo się podczas II wojny światowej, miało swoje początki w latach 1918–1919! Te relacje często kończyła teza, że „gdyby Ukraińcy zostali na zawsze z nami na tej ziemi, to byłoby to na pewno dla nas, dla Polaków, końcem”. Ta teza zrealizowała się dwadzieścia lat później, kiedy to sowietci wyrzucili Polaków ze wschodu, najpierw wywożąc ich na Daleki Wschód, a potem wyrzucając za San, ale początek tej fali zła, fali nacisku, fali niszczenia Polaków miał miejsce już w roku 1918–1919. Jak się okazuje, archiwaliów dotyczących tego okresu jest bardzo dużo, m.in. zespół „Lwowskie Towarzystwo Naukowe do badań nad historią Obrony Lwowa i południowo-wschodnich województw 1918–1920” przechowywany jest w Archiwum Obwodowym we Lwowie. Jest to dla nas bardzo interesujące i bogate w materiały archiwum, ale zamknięte dla kwerendy. Jest objęte klauzulą tajności. Nie jest dostępne dla badaczy, głównie dla Polaków, bo pokazuje działania przeciwko Ukraińcom. Ten problem jest na Ukrainie, szczególnie w ostatnim czasie, bardzo drażliwie traktowany, choć od tamtych dramatycznych wydarzeń minęło ponad 90 lat. Jest językiem u wagi nastrojów polityczno-społecznych. Po upadku sowietów to archiwum było odtajnione i dostępne, obecnie znowu dostęp do niego jest utrudniony, a nawet wręcz niemożliwy. Dzięki różnym zabiegom udało mi się zdobyć tam sporo materiałów, raportów, relacji i wspomnień uczestników obrony Lwowa, z którymi i na kartach tej książki będzie się można zapoznać.

Co z kontynuacją prac dotyczących księży i kościołów lwowskich? Przecież i nad tym zagadnieniem musiał się Ksiądz zastanawiać.

Byłoby na pewno pożądane opracowanie przede wszystkim słownika biograficznego księży całej archidiecezji lwowskiej. Kościół lwowski ma przecież bardzo bogate dokonania na przestrzeni wieków. Problemem jest jednak brak archiwaliów, brak metryk, materiałów personalnych dotyczących życiorysów księży, o czym wcześniej opowiadałem. Trzeba odtwarzać ich drogi życiowe z pojedynczych dokumentów, raportów i schema-

tyzmów lwowskich, co wymaga ogromnej pracy i sztabu ludzi. Na razie z ludźmi jest kiepsko, niewiele osób zajmuje się tematyką Kościoła na wschodzie, nawet w Krakowie. Ten pomysł doczeka się realizacji, ale jeszcze nie teraz. Nasz Wydział Historii Kościoła i Dziedzictwa Kulturowego PAT w ostatnim czasie podjął projekt badawczy pod nazwą „Podkowa”. Za tą nazwą kryje się idea digitalizacji kresowych archiwaliów kościelnych i nie tylko. Mamy już zgodę kilku archiwów. Jedna z kopii umieszczona zostanie w tworzonym w Krakowie zbiorze archiwaliów wschodnich. Być może w taki sposób powstanie wielkie i wspaniałe archiwum kresowe, które bez wyjazdu, bez konieczności pobytu na wschodzie, umożliwi pracę wielu ludziom i całym zespołom badawczym.

Co się dzieje, że młodzi historycy nie bardzo mają ochotę podejmować tematy dotyczące problematyki kresowej? Przecież tylko tam niemal na każdym kroku można jeszcze odkryć dziewicze zbiory archiwalne dotyczące dziejów Polski!

Rzeczywiście, jest to zastanawiające zjawisko. Wiele osób zajmuje się tym miastem, Krakowem, który jest już doskonale przebadany. Źródła są w zasadzie wyeksplorowane. Właściwie nie ma już sposobu, by znaleźć nowe źródła dotyczące obiektów sakralnych czy zabytków ruchomych i nieruchomych. Natomiast Kresy są w dużej mierze nietknięte. Tyle lat po wojnie nie wolno było nic pisać ani publikować na temat Kresów. A poza tym brakowało dostępu do tamtejszych bardzo bogatych archiwów. Kiedy teraz jest taka możliwość, to nie ma chętnych do pracy nad tymi tematami. Prawdopodobnie wiąże się to z trudnościami lokomocyjnymi, bo trzeba tam pojechać, mieszkać miesiąc lub dwa, bo poszukując materiałów najlepiej być dłużej na miejscu. A to wymaga kosztów i poświęcenia. Nie ma co ukrywać, że życie archiwisty jest żmudne. Musi siedzieć godzinami w archiwum, tkwić i poszukiwać wiadomości, które niby są, ale nie tak łatwe w eksploracji. Druga trudność to pragmatyka tamtych służb archiwalnych. Są one niezwykle opieszale i trudno wejść z nimi w żywszy kontakt. To znaczy, zamawiając materiały, dostaje się na dzień kilka fascykułów i właściwie, jeśli ktoś opowiada,

że będzie tam przebywał dłużej, to ta ich powolność się jeszcze zwalnia, bo przecież mamy czas na kwerendę i nie trzeba się spieszyć. Jest to denerwujące, bo jeśli ktoś szybko pracuje, to szybko upora się z tym, co dostał do przejrzania i ma wolny czas, w którym coś ze sobą trzeba zrobić. W końcu – trzeci punkt – to utarte przekonanie wśród młodych ludzi o tym, że na wschodzie nie może być nic dobrego, tylko powszechna bylejakość. Potwierdza się fakt, iż młode pokolenie nie ma wiedzy na temat historycznych dziejów tamtych ziem i wspaniałych dokonań kulturowych Polaków, stąd owo lekceważenie wschodu, tematów kresowych przez młodych, którzy nie znając historii wzruszają ramionami i zajmują się tematyką polską albo zachodnią czy południową. Poza tym są też trudności w uzyskaniu grantów badawczych skierowanych na wschód. Wielokrotnie się o takie starałem i nigdy nie otrzymałem pomocy ani z polskich instytucji czy fundacji (nawet Fundacja Lanckorońskich nie zainteresowała się tymi zagadnieniami), ani innych funduszy europejskich, które mogłyby takie kwerendy finansować. Nie wiem, czym to jest spowodowane, ale taka blokada środków finansowych na badania naukowe na Kresach też nie zachęca do wyjeżdżania tam.

Pocieszające w tym wszystkim jest chyba tylko to, o czym Książd mówił, że materiały archiwalne są jednak zachowane i uporządkowane, a nie tkwią w wielkim bałaganie, o jakim zazwyczaj się mówi.

Tak, ale zjawiskiem bardziej druzgocącym jest kradzież archiwaliów przez różnych hochsztaplerów – mówiąc delikatnie. Sam spotykałem w Krakowie jednego człowieka, który przyjeżdżał chyba z Żytomierza. Przywoził i oferował materiały poświęcone przeróżnym polskim kresowym familiom magnackim czy dotyczące zakonów, fundacji klasztorów, kościołów i sprzedawał je jako swoje osobom wtajemniczonym, ale i pewnie przypadkowym. Oczywiście, te dokumenty nie posiadały żadnych pieczętów, ale ewidentnie stamtąd pochodziły. Te rzeczy wciąż są słabo tam strzeżone przed dostępem do nich osób przypadkowych.

Księżę profesorze, co się dzieje w Kościele rzymskokatolickim na Kresach? Ostatnio za-

szy tam dość istotne zmiany personalne. Jak w tym wszystkim czują się tamtejsi Polacy? Na emeryturę odszedł arcybiskup kardynał Marian Jaworski, nowym arcybiskupem lwowskim został abp Mieczysław Mokrzycki. Ale nadal pozostały ogniska zapalne: katedra rzymskokatolicka, broniąca się przed wpływem języka ukraińskiego – ostatnio w Internecie pojawiły się informacje, że wprowadzone zostały czytania w języku ukraińskim, przeciwko czemu protestują wierni, cały czas zaogniona jest sytuacja w kościele Marii Magdaleny – bp Mały, który był także proboszczem tego kościoła i opoką dla tamtejszych, walczących o kościół parafian, otrzymał inne zadania. Jak książd profesor spogląda na te problemy, ja je ocenia, jak powinno się podejść do nich, żeby nie rozjrzeć, bo to nikomu na dobre nie wyjdzie, ale też żeby nie przegrać polskości na Kresach?

Kościół na dawnych Kresach obecnie jest w sytuacji strukturalnie dość korzystnej. Istnieją diecezje charkowsko-zaporoska na głębokim wschodzie, odesk-symferopolska na południu i zakarpaska oraz archidiecezja lwowska, diecezje: łucka, kamieniecko-podolska i kijowsko-żytomierska. Jest ich zatem sporo, jest też wielu biskupów. Tak więc problem struktury Kościoła jest zabezpieczony. Natomiast problemem są zabezpieczenie napięcia wewnętrzne. Przez stulecia funkcjonował stereotyp Kościoła na wschodzie jako Kościoła polskiego, bo taka też była rzeczywistość...

W końcu mówiło się i do tej pory powtarza, że Polska jest przedmurzem chrześcijaństwa!

To doświadczenie wielu wieków historii! Trzon tego Kościoła stanowili Polacy, katolicy obrządku łacińskiego. Rzadziej spotykało się w tej wspólnocie Ukraińców, Rosjan czy Żydów. Było trochę Niemców z kolonii niemieckich. Po wojnie, kiedy nastąpiły dramatyczne przesunięcia ludności, na Kresach została garstka katolików łacińskiego obrządku, prawie wyłącznie polskiej narodowości, oczywiście poddana intensywnej sowietyzacji, potem rutenizacji. Ci ludzie stracili ojczyznę, ale pozostał im język i wiara, które stały się dla nich ojczyzną, świętynią przechowywania najskrytszych uczuć i tego, co jest najwyższą wartością: polskiej tożsamości narodowej i katolickiej. Tylko

dzięki temu drzemie w nich świadomość polskości, bardzo czystej i ostrej. Kościół stał się dla nich ostoją kultury polskiej i języka polskiego. Oni natomiast stali się ostoją Kościoła rzymskokatolickiego. Takie same oczekiwania mają dzisiaj. Na całej Ukrainie funkcjonuje zaledwie kilka szkół polskich. We Lwowie są dwie, w Drohobyczu jedna oraz po jednej w Mościskach i Strzelczyskach. Na wschodzie jest zupełnie źle. Tam, gdzie są olbrzymie skupiska ludności polskiej na Podolu, nie ma żadnych szkół polskich. Dlatego też Polacy sądzili i mieli taką nadzieję, że po upadku komunizmu będą mogli odnaleźć się w państwie ukraińskim w takim znaczeniu, że Kościół będzie uczył ich języka polskiego, a także ten język chronił, broniąc ich przed wynarodowieniem. Stało się inaczej. Przybyło na Kresy sporo księży z Polski nieorientowanych w historii, w specyfice tego terenu, kresów wschodnich. Przyjęli stereotyp, że skoro są na Ukrainie, to Kościół jest związany z Ukraińcami i powinien w nim być język ukraiński, a nie polski. Bywały przypadki wymuszania na wiernych, np. na Podolu, postawy zerwania z językiem polskim i przejścia wyłącznie na język ukraiński. Wywoływało to potworne zamieszanie, ból, rozpacz ludzi i pewnego rodzaju oburzenie. Z drugiej strony Kościół wciąż cieszy się wielką atencją wśród wiernych, którzy nawet cierpiąc, często nie narzekają, bo rozumieją, że jest to jednak sytuacja wyjątkowa, a księża są dla nich darem Opatrzności, skoro przybyli i dla nich się poświęcają. Inną sprawą jest kwestia tożsamości Kościoła łacińskiego. Cerkiew unicka pyta, czy Kościół chce być polski dla Polaków, czy katolicki dla katolików. Na tej płaszczyźnie pojawia się jeszcze inny problem. Istniejąca obok Kościoła łacińskiego Cerkiew greckokatolicka jest dla Ukraińców Kościołem narodowym. Nasi duchowni często myślą, że wprowadzając język ukraiński do Kościoła pozyskują Ukraińców, co jest nieporozumieniem, ponieważ Ukraińcy mają swój Kościół, własną cerkiew narodową, co przecież mocno podkreślają na każdym kroku. Dlatego nie przyjdą do Kościoła łacińskiego, bo to jest dla nich odejście od tradycji ojców, wręcz zdrada narodowych interesów, narodowych wartości. Przez preferowanie języka ukraińskiego można stracić Polaków, ale nie zyskać

Ukraińców. W tym miejscu trzeba niezwykle wrażliwości i wyczucia, umiejętności wsłuchiwania się w głosy wiernych, którzy mówią wyrażście, kim są, kim chcą być, jak chcą być traktowani, jaką chcą mieć formę przekazu Słowa Bożego. Kilka lat temu zdarzył się przypadek, że z rekolekcjami do Lwowa przyjechał ksiądz pochodzący z diecezji przemyskiej, od kilkunastu lat pracujący na Ukrainie w okolicach Tarnopola. Zdumionym wiernym zaczął głosić nauki w języku ukraińskim! Kiedy po pierwszej nauce wierni poszli do niego z petycją, żeby nie mówić do nich po ukraińsku, bo oni są Polakami i świetnie rozumieją po polsku, zwłaszcza we Lwowie, ten nie ukrywając swego oburzenia odpowiedział: „No jak to, jesteśmy na Ukrainie i tu mówi się po ukraińsku, a nie po polsku”. Kiedy ludzie zagrozili bojkotem kazań, przeszedł oczywiście na język polski. Ale zaprezentował zupełnie irracjonalne podejście: Ukraina, Ukraińcy i ukraińskość. Ten problem nie jest do rozstrzygnięcia na drodze administracyjnej. W tym przypadku trzeba liczyć na dojrzałość księży, dojrzałość ludzi Kościoła, którzy zobaczą w wiernych osoby, a nie tylko tłum, i zaczną traktować ich podmiotowo, zaczną rozumieć ich potrzeby duchowe i narodowe.

Skąd bierze się taka postawa? Podejrzewam, że ci sami księża, gdyby pojechali do pracy w USA i mieli w swojej parafii przeróżne narodowości, to wtedy mieliby kilka mszy odprawianych w różnych językach i nie dziwiłoby to ich ani nie przeszkadzało. Dlaczego na Kresach nie potrafią dyplomatycznie podejść do tego problemu i odnosić się do Polaków po polsku, a potrzeby wiernych ukraińskich zaspokajać po ukraińsku. Po co wchodzić w konflikty?

Wydaje się, że jest to rozsądne wyjście. Ale nie zawsze możliwe do zrealizowania. Na przykład w katedrze lwowskiej w powszechnej świadomości ten wariant w ogóle nie wchodzi w rachubę. Wierni nie dopuszczają do świadomości, że język ukraiński może być tam używany w liturgii. Katedra jest dla nich wyjątkowym symbolem czystości, patriotyzmu, religijności, związków z Ojczyzną przez stulecia. Zresztą Katedra związana jest z wydarzeniami historycznymi, choćby ten najważniejszy moment, Ślub Jana Kazimierza. Katedra jest wyjątkowym

sanktuarium i wprowadzenie języka ukraińskiego do liturgii w środowisku polskim wywołuje ogromne protesty. Być może gdyby celebrowano tam msze św. w kilku językach, np. polskim, angielskim, niemieckim (to przecież stolica metropolii, miasto uniwersyteckie), wówczas obecność języka ukraińskiego nie byłaby tak rażąca.

I to jest chyba jak najbardziej zrozumiale...

Spójrzmy, jak to jest w pozostałych kościołach Lwowa. Np. u św. Antoniego we Lwowie odprawiane są msze święte po rosyjsku, po ukraińsku i oczywiście po polsku. I w tamtym miejscu taki podział zupełnie dobrze funkcjonuje, bo każdy wybierze sobie odpowiednią dla siebie liturgię. Jeśli dla kogoś łatwiejszy w odbiorze i duchowym zrozumieniu jest język rosyjski czy ukraiński, wybierze msze w takich językach. A jeśli komuś jest bliższy język polski albo zechce uczestniczyć we mszy świętej w języku swych rodziców czy dziadków – przyjdzie modlić się po polsku. Ale do kościoła św. Marii Magdaleny przychodzą także Ukraińcy, dlatego że tam jest odprawiana msza święta po polsku. Msze święte także w języku ukraińskim – obok polskiego – funkcjonują w parafiach lwowskich na Sichowie i Zboiskach. Gorzej jest na parafiach, gdzie jest tylko jeden ksiądz, a kilka mszy do odprawienia. Albo w terenie, w takich filiach, gdzie nie ma możliwości urządzenia dwóch mszy. Ksiądz wybiera wtedy opcję, jego zdaniem optymalną – msza św. po ukraińsku, co też nie zawsze jest właściwe, bo właśnie ci ludzie w tamtym miejscu zachowali język polski i oni się modlą w duszy po polsku, choć na co dzień mówią po ukraińsku. I ta msza święta jest do opanowania dla nich, nawet jeśli jej nie znają w formie współczesnej, w liturgii posoborowej. Wdrożenie i nauczanie ich liturgii w tej nowej formie to nic wielkiego. Język polski może się całkiem spokojnie rozwijać i funkcjonować. Niestety, takie podejście bywa utopią, gdyż często księża sądzą, że oni lepiej wiedzą, jaki model jest właściwy i lansują go wbrew logice i oczywistym faktom.

Przecież księża, wyjeżdżając na dawne Kresy do pracy, czy to za czasów sowieckich, czy nawet teraz, muszą wiedzieć, że

jadą przede wszystkim do Polaków... Obecnie kościołem na Ukrainie zarządzają młodzi duchowni – arcybiskup Mieczysław Mokrzycki. W Polsce przygotowywał się do pracy duszpasterskiej, w końcu został sekretarzem papieża Jana Pawła II i Benedykta XVI, pewnie już wtedy przygotowywany był na następcę kardynała Jaworskiego, a teraz stanął na czele archidiecezji lwowskiej. Zatem ma spojrzenie na sprawy Kościoła ze wszystkich możliwych stron, można rzec – europejskie. Jak ksiądz sądzi, czy uda mu się rozwiązać ten wciąż jednak nabrzmiewający problem? Wierni złożyli u niego prośbę o niewprowadzanie języka ukraińskiego w katedrze podpisaną przez 600 osób, nie doczekali jednak jak dotąd odpowiedzi...

Arcybiskup musi się najpierw przyjrzeć temu problemowi, co zresztą czyni. Stara zorientować się w sytuacji, rozpoznaje wszystkie znaki i symptomy. Proszę jednak spojrzeć na ten problem z innej strony. Arcybiskup ma świadomość, że zmienia się populacja ludzi. Starsi wymierają coraz intensywniej, a to jest ta grupa, która językiem polskim świetnie władała i była czytelnym znakiem obecności polskiej na tych ziemiach. Młodych ludzi z kolei też nie ma, bo z tej części lwowskiej archidiecezji większość wyjechała do Polski na studia i zostali w Polsce na stałe. Istnieje problem tych, którzy tam pozostali... Jest jeszcze młodzież, są też dzieci, które nie znają już języka polskiego na tyle dobrze, albo w ogóle go nie znają, bo się nie uczą w polskiej szkole, tylko w ukraińskiej. Panuje coraz powszechniejsze przekonanie, że trzeba do nich dotrzeć w ich języku. Uczenie języka polskiego zajmie za wiele czasu. Poza tym to nie jest funkcja Kościoła. Powinny to robić szkoły, a tych na Ukrainie nie ma. We Lwowie są dwie szkoły polskie, ale zdaje się one już nie spełniają takich funkcji, jakie powinny spełniać. Ponadto w tych szkołach też jest już niewiele polskich dzieci. Jest ich znacznie więcej na prowincji, gdzie szkół polskich nie ma. Przyjmując takie założenie łatwo dojść do przekonania, że język ukraiński jest skuteczniejszym nośnikiem przekazu Ewangelii niż język polski, którego trzeba dopiero uczyć. Tak więc dochodzimy do dość absurdałnego wniosku, że język polski jest językiem obcym dla młodych ludzi z polskimi korzeniami! Nie wiadomo jaką postawę ►

UROCZYSTOŚĆ W KAMIONCE STRUMIŁOWEJ

(obecnie zwanej Kamionką Buską)
koło Lwowa

W dniach 13–14 września '09

odbędą się uroczystości 20-lecia odzyskania kościoła oraz 100-lecia budowy świątyni w Kamionce Strumiłowej. Dziękczynna liturgia będzie sprawowana w intencjach Ludzi Dobrej Woli, którzy przyczynili się do odzyskania zniszczonego kościoła, który od 1996 r. stał się skarbnicą kultu

Pana Jezusa Milatyńskiego.



Pięknym gestem byłby przyjazd pielgrzymów z Krakowa, gdzie znajduje się dziś Cudowny Obraz – do miejsca odrodzonego kultu w Archidiecezji Lwowskiej, skąd Obraz pochodzi, przewieziony po II wojnie do Krakowa przez ks. Misjonarzy.

Budowa okazałej neogotyckiej świątyni w Kamionce Strumiłowej odbyła się w l. 1908–14 wg projektu arch. Teodora Talowskiego, profesora Politechniki Lwowskiej. Oryginał Obrazu znajduje się dziś w kościele ks. Misjonarzy przy ul. św. Filipa w Krakowie.

zajmie arcybiskup Mokrzycki wobec tych problemów. Ta decyzja zaważy na tym, jak Kościół na Ukrainie będzie wyglądać, jak zostanie zaprogramowany na przyszłość, jakimi metodami będzie się posługiwać, jakie wartości będą w nim promowane. Jeżeli ograniczy się tylko do języka ukraińskiego albo polskiego, to są dwie skrajności, wejdzie na drogę, która prowadzi donikąd. Wszystkie zainteresowane strony obserwują go uważnie. I obawiam się, że każda decyzja w tej sprawie, przez każdą z zainteresowanych stron, zostanie skrytykowana...

W końcu jest przecież stosunkowo młodym człowiekiem...

Tak, przed pięćdziesiątką. Jego atutem jest także fakt, że ma spojrzenie na sprawę Kościoła nieco szersze, uniwersalne. To może zaowocować rozwiązaniami, które nie zadowolą Polaków, choć będą one racjonalne i zgodne z duchem ewangelizacyjnej misji Kościoła.

Arcybiskup Mokrzycki będzie musiał stawić czoło innemu problemowi, który w ostatnim okresie objawił się oficjalnie i w zagrażającym nasileniu. Władze państwowe do niedawna jeszcze potrafiły utrzymać to zjawisko w ryzach, a teraz wymknęło się spod kontroli – aczkolwiek nie wierzę w przypadek. Mam na myśli potęgujący się w państwie ukraińskim nacjonalizm, niektórzy mówią wprost o odradzającym się neofaszyzmie. Jego egzemplifikacją są wielkie fety, przemarsze, zmiany nazw ulic, stawianie pomników przywódcom OUN-UPA. Tym, którzy Polakom stworzyli piekło na ziemi. Jak Kościół podejdzie do tego problemu, jak księża zmagają się z tym zagadnieniem?

Jest to niełatwy problem, szczególnie na prowincji, gdzie księża łąćscy, niemal wyłącznie polscy, są zapraszani przez władze gmin, władze miejscowych instytucji państwowych do uczestnictwa w patriotycznych ukraińskich uroczystościach, np. odsłonięcia pomnika Bandery. Z jednej strony trzeba mieć na względzie rację stanu, co jest dla Ukraińców symbolem, świętością, a z drugiej strony dla Polaka rzeczą jednoznaczną. Udział księdza łąćskiego w takiej uroczystości byłby fatalnie odbierany przez wiernych, jako apoteoza zbrodni, jako apoteoza tragedii, której oni i ich rodziny padali ofiarą. Z drugiej strony

unikanie udziału w takich uroczystościach spowoduje złe traktowanie księży przez miejscowe władze, jako osoby podejrzane, uchylające się od pełnego udziału w życiu ukraińskiej społeczności. Księża wymigują się od tego różnymi wymówkami sytuacyjnymi, np. koniecznością wyjazdu do innej parafii, uczestniczenia we wcześniej zaplanowanych uroczystościach kościelnych. Niekiedy są przyciskani do muru, bo ta uroczystość jest w tej chwili i na niej gromadzą się wszyscy, także różne Kościoły ukraińskie, to dlaczego nie Kościół łąćski. Jest to dla wielu dylemat, na szczęście księża próbują zachować apolityczną postawę, to znaczy nie biorą udziału w wiecach, manifestacjach – ani polskich, ani ukraińskich. Aczkolwiek polskich manifestacji na ogół tam nie ma, bo nie sposób je urządzać w obecnej konfiguracji politycznej. W ukraińskich także nie biorą udziału, nie chcąc się opowiadać za jedną ze stron. A w tym przypadku za stroną bardzo ryzykowną historycznie i moralnie. Władze Kościoła najprawdopodobniej nie będą też wydawać w tym kierunku dyrektyw i rozporządzeń, bo jego misją nie jest instruowanie wiernych i księży w sprawie działań i wyborów politycznych. Podkreślam wyraźnie, że Kościołowi przyświecają zupełnie inne cele – prowadzenie ludzi do Boga, a więc misja i praca apostołska. Trzeba wspomnieć o fakcie, że pomniki odsłaniane na Ukrainie, czczące bohaterów UPA, są również dla Ukraińców problemem spornym. Np. we Lwowie pomnik Bandery na placu przy kościele św. Elżbiety jest ochraniający od miesięcy przez policję. Powstaje zatem pytanie, jaki to jest bohater, skoro wymaga ochrony policyjnej przed publicznością, przed wybrykami ludności, chuliganów, jakichś ekstremalnych prądów? Są to całkiem nowe zjawiska, z którymi Kościół działający w społeczeństwie i państwie ukraińskim musi sobie poradzić. Myślę, że jedynym wyjściem jest postawa sterylnej apolityczności, czyli nauczania zasad wiary, moralności, a dystansowania się od narodowych opcji, opcji propatriotycznej, propaństwowej dominującej w państwie ukraińskim.

Czy uda się omijać te problemy? Przecież ten pomnik stoi, przechodzi się obok niego sto razy czując bunt, ale za sto pierwszym razem będzie już nawet nie bezsiła, a obojętność... Można

omijać pomniki, ale nie można omijać swych poglądów. Trudno jest ich też nie wyrażać. Wierni czekają na to, co powie ksiądz z amfony... Ja rozumiem, że powiedzenie prawdy z amfony to narażenie się miejscowym władzom...

O tak!

No, ale jeśli nie powiedzieć rzetelnej prawdy, to jaką?

Te tematy w kazaniach na Ukrainie w ogóle nie istnieją, bo są jednoznaczne w znaczeniu odbioru społecznego. Sam tego doświadczyłem. Przekazałem kilka egzemplarzy swej książki, wspominanych tomów o eksterminacji Polaków, Siostrze Niepokalankom do Szymanowa. One z kolei przesyłały egzemplarz do klasztoru w Jazłowie. Tam sytuacja jest bardzo napięta, ciągle trwają procesy sądowe z instytucjami świeckimi, które chcą Siostry Niepokalanki stamtąd wywłaszczyć i ponownie wyrzucić. Zresztą one cały czas są tam przybyszami, a nie właścicielkami klasztoru, z którego je kiedyś wypędzono. Siostra, która otrzymała tę książkę, po jednej dobie odesłała ją do Polski, bojąc się, że ktoś ją u niej znajdzie i będzie to następny powód do scysji i oskarżeń o działalność wyrotową, a może nawet szpiegowską, antyukraińską. Zabranie głosu na amfonie w tej sprawie też może mieć dalekosiężne skutki. Polacy będą zbulwersowani takimi tematami, a Ukraińcy obrażeni, czy też węszący mieszaninę do polityki. Polski ksiądz chyba nie powie nic pozytywnego o tych symbolach ukraińskich, o Banderze, o mordach, o wydarzeniach dramatycznych, bo cóż w tym przypadku można powiedzieć mądrego, dobrego i pozytywnego? Przecież to były rzezie, mordy i zabójstwa. A z kolei udawanie, że ich nie było, też jest dramatem. Na mniejszych parafiach, gdzie były przypadki mordów, urządza się niekiedy msze święte w rocznice tych dramatycznych pogromów ludności polskiej. I to jest w miarę do przyjęcia przez Ukraińców, bo uroczystości mają religijny wydźwięk. Nawet nie wymienia się ofiar z imienia, nie mówi się, kto kogo mordował, tylko modli się za ofiary mordów, za ofiary wojny. Taki eufemizm jest wyjściem salomonowym. Żeby nie pokazywać dosłownie winnych, bo w domyśle każdy wie, o kogo chodzi, a to milczenie jest swoistą umową społeczną przykrywającą te bolesne rany.

Jakie podejście ma do tego problemu Kościół greckokatolicki? Hierarchia tego Kościoła też musi się z tym problemem zmierzyć, choć im jest łatwiej, wszak mienia się Kościołem narodowym, nie ukrywają, iż mają ambicje być drugą siłą po prezydencie.

Tak. Ale to jest przesadzone z ich strony. Mniemanie, gdyż Kościół unicki mocny jest tylko w dawnej Małopolsce Wschodniej, a więc w dawnych województwach lwowskim, stanisławowskim i tarnopolskim. Natomiast cały wschód i cała północ są prawosławne. Tam unitów prawie nie ma. Nie ma tam prawie katolików. Kościół greckokatolicki jest kościołem dość mocnym liczebnie, także moralnie, przeszłością i historią, męczeństwem swoich wyznawców. Ale on nie reprezentuje całości narodu ukraińskiego. Jest tylko odpryskiem w całej konfiguracji wyznań na Ukrainie. Oczywiście on się ma za Kościół narodowy. W wielu cerkwiach manifestacyjnie obchodzi się rocznice narodowe, są fetowane święta narodowe, flagi, symbole, pomniki się tam poświęca. Kościół unicki lansuje ideę stereotypu: Ukrainiec – grekokatolik. Tam są właśnie wartości narodowe mocno eksponowane. Mało tego, całkowicie zdominowały misję i nauczanie Kościoła greckokatolickiego na Ukrainie Zachodniej. Inaczej jest na Wschodzie, gdzie jest prawosławie, zwłaszcza podległe Patriarchatowi Moskiewskiemu, i tam tych wartości narodowych, ukraińskich w znaczeniu patriotyzmu, a więc ukraińskiego nacjonalizmu nie ma.

Kardynał Huzar przeniósł swą siedzibę ze Lwowa do Kijowa. Intencje były nieukrywane – być bliżej władzy świeckiej. W jaki sposób odbiło się to na Lwowie? Czy ta decyzja była pomocna dla pracy duszpasterskiej Kościoła greckokatolickiego, czy była tylko symbolem, który szybko rozmył się wśród wydarzeń politycznych na Ukrainie?

Kardynał Huzar jest bardzo mocną osobowością, człowiekiem wykształconym i bardzo wyrobionym, ale nie krył też swej opcji narodowej. Kiedy np. nasze siostry karmelitanki prosiły świeckie miejscowe władze w sprawach odzyskania kościoła i klasztoru karmelitanek we Lwowie, otrzymały odpowiedź, że trzeba się w tej sprawie porozumieć z Cerkwią unicką. Siostry udały się do kardynała Huzara, a ten odparł obcesowo, że teraz są

inne proporcje ludności, teraz Ukraińcy mają potrzeby większe, głębsze, Polaków tu nie ma, a zatem kościół powinien być własnością unitów, i tak się stało. Tam, gdzie do tej pory w kościele była poczta, weszła grupa ukraińskich wiernych i powstała cerkiew św. Klemensa. Podobnie było w przypadku naszego kościoła seminaryjnego we Lwowie, obok rezydencji arcybiskupów łacińskich, gdzie po sowieckim okresie profanacji weszli wierni Kościoła unickiego zajmując świątynię na swoje potrzeby bez pytania i zgody arcybiskupa rzymskokatolickiego, a przecież on istniał i funkcjonował. Zgodzono się pod presją wiernych na wspólne współużytkowanie kościoła z łacinnikami, ale jest to postawa ubogich krewnych, jesteśmy tam traktowani jak zło konieczne. Obok funkcjonuje kościół św. Kazimierza i dawny klasztor sióstr szarytek, który również odzyskali unicy. Wówczas zaistniała taka sytuacja, że kardynał Jaworski prosił kardynała Huzara o oddanie kościoła seminaryjnego łacinnikom, a przeniesienie parafii unickiej do tamtej świątyni. Kardynał Huzar niby się na to zgodził, ale w efekcie okazało się, że oba kościoły są własnością unitów. I nic nie wskazuje na to, by cokolwiek miało się zmienić mimo innych obietnic kardynała Huzara. Z kolei czytałem w internecie o konsekracji kościoła św. Jana Chrzciciela, jednej z najstarszych świątyń we Lwowie, który pełnił po wojnie Muzeum Jednej Ikony. Miejscowy arcybiskup Woźniak, „podpolny”, czyli kształcony po wojnie w podziemiu, nie pytając o zgodę arcybiskupa łacińskiego, który przecież jest właścicielem tego kościoła jako spadkobierca lwowskich metropolitów, zajął ten kościół na swoje potrzeby. Uznając fakty za dokonane, uważa, że skoro tam jest Ukraina, to obiekty łacińskie są własnością państwa ukraińskiego i Cerkwi greckokatolickiej. Tak więc odejście kardynała Huzara nie spowodowało żadnych zmian na korzyść.

Księżo Profesorze, niejednokrotnie zetknąłem się z pretensją pod adresem naszego papieża Jana Pawła II, że ten wyświęcił na błogosławionych i świętych całą rzeszę grekokatolików, ukraińskich męczenników, natomiast niewiele w tej materii zrobił dla polskich wiernych i księży również męczenników, którzy ginęli z rąk ukraińskich oprawców. Też byli męczennikami, przecież ginęli także w palonych kościołach.

Myszę, że niewiele osób tak dogłębnie pasjonowało się losami Kościoła łacińskiego na Wschodzie jak Jan Paweł II. Nie wolno zatem żywić takich urazów względem Niego. Papież, Watykan odpowiadają na dezyderaty oddolne. Pierwsze kroki w kierunku beatyfikacji wykonuje Kościół lokalny. Jeżeli nie ma sygnału z dołu, to Watykan milczy. Przecież Watykan nie może powiedzieć: „pokażcie, kogo tam macie, może go beatyfikujemy”! Ale i tu problem jest skomplikowany, bo przecież sprawcami tych rzezi byli też katolicy, Ukraińcy obrządku greckokatolickiego mordujący również katolików choć innego rytu. Ponadto w sytuacji tej apoteozy sił nacjonalistyczno-ukraińskich pokazanie tych faktów wywołałoby potworne reperkusje polityczne. Oczywiście, należałoby w tym miejscu rozpoznać motywy tego męczeństwa. Dlaczego ci Polacy ginęli? Z powodów religijnych czy z powodów politycznych? Przecież beatyfikacja ma na celu pokazanie człowieka jako wzoru moralnego, który oddał życie za wiarę, za Kościół, za wartości etyczne. Natomiast jeśli oddał życie za Polskę, za Ojczyznę, za język, nie jest to walor wystarczający do podjęcia beatyfikacji. Oczywiście, na Wschodzie ciągle jest aktualny stereotyp: Polak-katolik. Jeśli mordowali Polaka, mordowali go jako katolika. Ale z jakiego powodu, czy dlatego, że był Polakiem katolikiem, czy dlatego że był Polakiem i przeszkadzał w realizacji opcji narodowych, ukraińskich, nacjonalistycznych. To jest problem niezwykle złożony i trzeba, by te wszystkie przypadki rozpatrywane były bardzo szczegółowo i drobiazgowo, bo inaczej będą wywoływać ostre reperkusje polityczne. Powiedzą: „Przecież teraz pokazujecie na ołtarzach Polaków którzy ginęli z rąk ukraińskich nacjonalistów, tych, którzy dziś są dla Ukraińców bohaterami?” Obecnie trwają procesy beatyfikacyjne osób, które zginęły czy umarły przed okresem II wojny światowej, np. siostra Wiecka, która w Śniatynie umarła na tyfus pielęgnując w szpitalu chorych. To są takie postacie neutralne, bardzo szlachetne, bardzo twórcze, ale nieco z epoki. Obecnie wiem, że jest wdrożony proces beatyfikacyjny męczenników z klasztoru dominikanów w Czortkowie, którzy ponieśli śmierć z rąk sowietów. Ten aspekt jest łagodniejszy – sowietów dzisiaj nie ma na Ukrainie. Ta formacja odeszła, nie ma państwa sowieckiego, nie ma Rosji so-

wieckiej więc można mówić o tym spokojnie i bez obaw. Natomiast mówienie o ofiarach nacjonalizmu ukraińskiego jest bardzo dramatyczne i bardzo problematyczne. Choć z drugiej strony trzeba takie zjawiska dokumentować i pokazywać. Przecież mordy na Polakach księżach zostały tylko dlatego dokonane, że byli księżmi łacińskimi, nie tylko dlatego, że byli Polakami. Choć z drugiej strony trzeba sobie zdawać sprawę, że wokół nich gromadzili się Polacy, których nacjonalizm ukraiński zwalczał. Dlatego oni ginęli jako katolicy, jako duchowni i jako Polacy. Czy obecna opcja polityczna na Ukrainie szybko się zmieni, aby te postaci można było w pełni pokazać? Obawiam się że nie nastąpi to przedko.

Jak to jest, że my – Polacy, zawsze tego typu problemy musimy przerabiać z pozycji strusia, głowa w piasek i gdzieś tam półgębkiem sygnalizować, że jest inaczej, niż się mówi. My zawsze musimy liczyć się z innymi, z nami nie liczy się nikt. Czy zawsze musimy być poprawni politycznie?

To jest oczywiście problem. Ale nie tylko nasz. Jak pan wie, kardynał Slipyj siedział w łagrach sowieckich, potem go stamtąd wydobyto i do końca życia mieszkał w Watykanie. Są jego pamiętniki zachowane w Watykanie, w których opisuje kilku biskupów i księży uwięzionych z nim w łagrach, którzy donosili na niego do komendantów łagrów. Oni nie przeżyli, zginęli i zostali beatyfikowani. Kardynał Slipyj przeżył, a proces beatyfikacyjny donoszących na niego się odbył. Donosicielstwo nie jest niczym chlubnym nawet w łagrach. Donosili na biskupa, żeby dostać kromkę chleba albo być lepiej traktowanym. A z drugiej strony nie wiadomo, czy Watykan znał jego pamiętniki, czy wiedzano o tym dokumencie, przechowywanym zresztą w jednym z rzymskich klasztorów unickich. Jest to problem o tyle nabrzmiały, że święci męczennicy muszą być nieskazitelni, bo pokazując ich postacie musi być pewność, że to są wzorce moralne w każdym calu bez zarzutu. A przecież to byli tylko ludzie. Mając na sumieniu takie grzechy, trzeba je wyjaśnić różnymi motywami, słabością ludzkiej natury, presją, okolicznościami. Unikanie tłumaczenia zrodzi podejrzenia, że ktoś chce coś utajnić, ukryć, przemycić.

Serdecznie dziękuję Księdzu za rozmowę.

Joanna Halaunbrener-Lisowska

MOJE LWOWSKIE DZIECIŃSTWO na Górze św. Jacka (1939–1945)

Ulica Tarnowskiego we Lwowie odchodzi od ul. Zielonej i wije się stromo w górę do rozwidlenia przed kamienicą o numerze 74. Tam się rozdziela. W lewo odchodzi ul. Krasińskiego, w prawo niewybrukowana droga biegnąca w dół na tzw. „dolną cegielnię”. Od tego miejsca nosiła ona potoczną nazwę Tarnowskiego górnej. Stały przy niej wille oraz jedno- i dwupiętrowe kamieniczki ze spadającymi w dół ogrodami. Tam upłynęło moje lwowskie dzieciństwo.

Rodzice: Michał i Jadwiga z Klonowieckich ukończyli studia matematyczno-fizyczne na Uniwersytecie Jana Kazimierza i następnie uczyli w lwowskich gimnazjach. Ojciec w VIII przy ul. Dwernickiego, matka u ss. Urszulanek przy ul. św. Jacka.

Urodziłam się w roku 1935 w lecznicy „Salus”. Rodzice wynajmowali wówczas mieszkanie w kamienicy p. Zofii Basdghen przy ul. Tarnowskiego 90. Z mieszkania tego zapamiętałam tylko wpadnięcie szrapnela do jadalni w 1939 r. Wylądował na kredensie, wynieśli go saperzy. Na samym początku wojny przenieśliśmy się do własnego, świeżo ukończonego domu przy ul. Tarnowskiego 76. Do specjalnie dla nas zbudowanego mieszkania na drugim piętrze, 4-pokojowego, z wielkim balkonem i widokiem na park Stryjski nie wprowadziliśmy się nigdy, choć wniesiono tam już meble jadalni z różnym fornirem. Zawsze zajmowali je okupanci. Pierwsze wspomnienia z nowego domu to pobyt w schronie (przed samą wojną był obowiązkiem ich budowania) oraz bombardowania. Córeczka znajomych z Tarnowskiego 98 Jasia Konopacka uczyła się chodzić pod stołem, bo dookoła byli stłoczeni ludzie.

Moje dzieciństwo do wyjazdu ze Lwowa w 1945 r. upłynęło właśnie w tym domu i mimo wojny wspominam je jako dobry okres

w moim życiu. Przede wszystkim dobrzy dla siebie byli ludzie, znali się i odwiedzali. Dzieci bawiły się razem, to w ogrodach i podwórkach, to na ulicy, na której samochody prawie się nie pojawiały, bo była bardzo stroma. Domy tonące w zieleni były zamieszkałe głównie przez inteligencję. Byli to profesorowie wyższych uczelni: Fryze, Bruchnalski, Fuliński, Chwistek, a w czasie wojny znany matematyk Hugo Steinhaus, a także inne osoby z wyższym wykształceniem. Moi mali przyjaciele z którymi się bawiłam to głównie: Jagusia Kozłowska, córka lekarza (spod nr. 105), Magda Heyda, córka inżyniera (nr 103), Jasia Konopacka, córka asystenta Politechniki (nr 98), Krzysia i Jaś Błoccy, dzieci lekarki (nr 102), sąsiad Jurek Pietrykiewicz, syn naczelnika Izby Skarbowej, oraz Marek Rećko z ul. Krasińskiego. W 1940 r. potrafiła mnie ciężarówka. Po powrocie ze szpitala chodziłam z obandażowaną głową. Co dzień przychodził mi robić opatrunki „lokator” z drugiego piętra, oficer radziecki, chirurg-laryngolog, dr Onupryjenko. Przesłano go do Lwowa z całą rodziną, z żoną lekarką i synami: 12-letnim Lonią i 17-letnim Wołodią. Gdy Wołodia skończył 18 lat, wcielono go do wojska i poległ na froncie. Za swe wizyty lekarskie dr Onupryjenko nie brał wynagrodzenia. Ponieważ przez pewien czas nie mogłam uczestniczyć w zabawach rówieśników, opiekowała się mną i bawiła w ogródku o 5 lat starsza Oleńka Koss – sierota wojenna przygarbiona przez mieszkających na parterze pp. Kryweńczyków. Po wkroczeniu Niemców do Lwowa odnalazł ją stryj z Krakowa i zabrał do siebie. Niemcy zajęli Lwów po kolejnych bombardowaniach w czerwcu 1941 r.



Kamienice przy ul. Tarnowskiego 78, 76, 74.

Przyszedł czas, gdy trzeba było zapisać mnie do szkoły. Szkoła rejonowa była daleko od naszego domu – przy Sakramentek. Dlatego gdy zorganizowano tajne nauczanie, już od II klasy chodziłam na „komplet” do ss. Urszulanek przy ul. św. Jacka. Rodzice też brali udział w tajnym nauczaniu, do mieszkania przychodzili uczniowie... W domu powodziło się trochę lepiej, bo przyjaciel ojca, filozof prof. Kazimierz Ajdukiewicz, załatwił mu posadę w rzeźni, gdzie sam pracował. Co miesiąc ojciec przynosił przydziałowe ochłapy, mama gotowała fasolkę po bretońsku i przychodzili goście na kolację oraz na rozmowy o polityce: prof. Stefan Banach – matematyk, prof. Kazimierz Ajdukiewicz – filozof, poeta Kazimierz Brończyk i inni. Okno było zasłonięte kocem, bo naprzeciw w willi „Herta” był sztab niemiecki.

Zaczęłam też chodzić na lekcje gry na fortepianie do zaprzyjaźnionej z rodzicami p. Marii Jędrzejewskiej. Była to córka gen. Władysława Jędrzejewskiego, dowódcy obrony Lwowa w 1920 r. i obrońcy cywilnej Lwowa w 1939 r., zamordowanego przez sowietów w 1939 r. Mieszkała ona w willi przy ul. Czereśniowej (tzw. Domki oficerskie) z matką, siostrą Walerią – śpiewaczką i ciotką. Trzecia siostra, Gabriela, była pianistką, żoną dyrektora Lwowskiego Konserwatorium Adama Sołtysa. Cała willa rozbrzmiewała muzyką, w każdym pokoju stał fortepian. Pani generałowa chodziła we wdowim czepku z czarnej koronki, zawsze ubrana na czarno, z czarnym ratlerkiem Miją. Czasem przez otwarte drzwi widziałam, jak gra na fortepianie. Razem ze mną chodził na lekcje gry do pani Jędrzejewskiej mój sąsiad z parteru, rówieśnik i kolega Jurek Przetrzekiewicz. O ile ja wymigiwałam się od ćwiczenia gam i palców, on robił to z całym oddaniem.

Jak mogłam, wyrывałam się z domu i z zaprzyjaźnionymi dziećmi wędrowaliśmy po okolicy. Biegająca na „dolną cegielnię” droga stanowiła wspaniały tor saneczkowy. W lecie chodziliśmy tamtędy nad strumień obok ul. Snopkowskiej, gdzie łowiliśmy traszki i trytony, to znowu wyprawialiśmy się nad Zielone Oko – stawek obok ul. Zielonej, lub Piaskową Górę. Chłopcy chodzili na ryby nad Jezioro Reisa... Z braku nowych zabawek musieliśmy je tworzyć sami, uzu-

pełniąc wyobraźnią. W czasie okupacji niemieckiej najważniejszym miejscem naszych poszukiwań było rozległe wysypisko śmieci na końcu ul. Tarnowskiego. Grzebiąc w nim przy pomocy patyków, wynajdywaliśmy różne skarby. Najbardziej cenione były fajansowe kubki produkcji niemieckiej, ozdobione główkami chłopca i dziewczynki w strojach tyrolskich. Główki te wokół obtłukiwaliśmy kamieniami i tak powstawały „portreciki” i z nich organizowaliśmy klasy szkolne. Wartościowe też były korki od butelek. Po wbiciu pięciu szpilek powstawał koń. Ponieważ marzyłam o lalce, raz na urodziny dostałam aż trzy, dwie szmaciane i od malarki p. Heleny Lang XIX-wieczną, porcelanową. Mam ją do dziś. Pod koniec drugiej klasy już płynnie czytałam. Ojciec przynosił mi od pp. Ajdukiewiczów książki po ich dzieciach Marysi i Bronku i roczniki „Mojego Pisemka”, które pochłaniałam.

W drugiej klasie wraz z czwórką dzieci z kompletu poszłam do I Komunii św. Uroczystość odbyła się w „dolnym” kościele oo. Misjonarzy przy ul. Dwernickiego (potem był tam skład ziemniaków). Sukienkę komunijną uszyła mi mama z firanki. W skróconej i ufarbowanej na czerwono zadawałam szyku jeszcze po wyjeździe ze Lwowa. Już za drugiej okupacji sowieckiej należałam tam do krucjaty eucharystycznej prowadzonej przez ks. Wiszniowskiego, jedynej polskiej organizacji dla dzieci. Tego księdza wspominałam jako gorliwego wychowawcę i kapłana. Przez całą wojnę rodzice chodzili w niedzielę do kościoła św. Mikołaja na godz.10. Spotykali się potem z grupką znajomych i szli na spacer na ulicę Akademicką.

W lipcu 1944 roku, po bombardowaniu Lwowa i okolic, Niemcy wycofali się. Patrzyliśmy z balkonu, jak niebo pokrywa czerwona łuna. To płonęły szyby naftowe w Boryslawiu. Przez 3 dni na ratuszu wisiał biało-czerwony sztandar, potem zastąpił go czerwony, sowiecki. Skończyłam uczyć się na tajnych kompletach. Wszystkie dzieci zostały objęte obowiązkiem szkolnym. Od 1 IX 1944 rozpoczęłam naukę w szkole państwowej z polskim językiem nauczania, w klasie 4. Lekcji – jak dla 10-letnich dzieci – było bardzo dużo, 6–8 godzin dziennie. Oprócz języka polskiego były jeszcze lekcje języka rosyjskiego i ukraińskiego, zaś w klasie 5

doszedł język francuski. Obszerny był program z matematyki. Oprócz historii Rosji, z której zapamiętałam walki książąt Rurykowiczów, oddzielny przedmiot lekcyjny stanowiła historia WKPb – ponoć dzieło samego Stalina. Były też lekcje ideologiczne z „pionier-ważateli”. Po jednym z wykładów zdjęłam z szyi medalik na łańcuszku i usiłowałam go wsadzić jej przez głowę na szyję, czemu dała stanowczy odpór. Potem bardzo bałam się konsekwencji, ale – może ze względu na to, że moja mama uczyła w tej samej szkole – wszystko uszło mi na sucho. Przed 1 maja zaprowadzono całą szkołę do Pałacu Pionierów mieszczącego się w Pałacu Potockich. Na poczęstunek było kakao i babka drożdżowa, ale prawie wszystkie dzieci odmówiły przyjęcia... Okres przed 1 maja był też okresem wytężonej pracy mojej mamy, w domu. Jak wszyscy nauczyciele musiała zrobić z bibuły masę kwiatów na długich łądychach, które potem dzieci niosły w pochodzie. Na lekcjach uczono nas piosenek na pochód:

*Hejże, dzisiaj pierwszy maj /
hej, cieszy się cały kraj.*

Mieliśmy już około 10 lat i dzieci zaczęły organizować się w „bandy”. Dziewczynkom przewodziła Jagusia Kozłowska, chłopcom Marek Rečko z ul. Krasieńskiego. Chłopcy ci zakradali się do cudzych sadów, pisali na murach niecenzuralne słowa. Ojciec Marka gdzieś zaginął na wojnie, matka i babcia nie bardzo sobie radziły z niesfornym chłopcem, który idąc na czele szeregu rówieśników, z kijem w rękę, śpiewał:

*Kto si z naszymy wiary śmieji /
niech go nagła krew zaleji
a kto z nami trzyma sztamy /
temu lepij jak u mamy.*

Wtedy myślałam, że to utwór Marka, dziś wiem, że to oryginalna piosenka batiańska. Pierwsza banda pod wodzą syna miejscowego folksdojca powstała za okupacji



Autorka z rodzicami,
Lwów 1937.

niemieckiej. Był on chłopcem agresywnym i okrutnym. Bił młodsze dzieci, znęcał się nad zwierzętami. Po ponownym przyjeździe sowieci wywieźli tę rodzinę jako folksdojczów, choć było widać przez okno umieszczoną na choince czerwoną pięcioramienną gwiazdę i portret Stalina.

Zimy były we Lwowie mroźne i śnieżne. Gdy pewnego roku temperatura spadła do minus 28 stopni, zamknięto szkoły. Na niebie pojawiło się światło przypominające tęcze słupy. Podobno była to zorza polarna. Właściciele domów musieli co dzień odśnieżać chodniki przed 6 rano, tj. wykopać w śniegu tunel, inaczej musieli płacić karę. Już po godzinie 5 rodzice wychodzili na ulicę z łopatą i baniakiem na białiznę ustawionym na moich sankach. Ładowali do niego śnieg i wywozili na drogę za domem.

W domu była bieda. Brakowało odzieży i żywności. Przydziałowe suszone rybki „kilki” nie bardzo nadawały się do jedzenia. Jedliśmy szpinak z lebiody, pili herbatę z obierzyn z jabłek. Profesor Politechniki Stanisław Fryze zbudował w ogrodzie swej willi oborę, kupił 2 krowy i sprzedawał okolicznym mieszkańcom mleko. Krowy te nazywano powszechnie „krowy Fryzówny”. Co drugi dzień chodziłam z kubkiem i kupowałam ½ litra mleka. Wracając do domu zawsze trochę upiłam. Od ciasnych butów miałam odmrożone nogi. Państwo Banachowie przywieźli mi z Moskwy walonki, ale wstydziłam się w nich chodzić.

Mój ojciec, człowiek pogodny i optymistyczny, bywał zapraszany na różne przyjęcia, czasem zabierał i mnie. Takie przyjęcia odbywały się u dr. Riedla w pięknie urządzonej antykami willi przy ul. Dwernickiego. Jego młodszy syn Tadeusz, zwany w domu Krzysiem, pokazywał mi swoje zbiory motyli – został potem światowej sławy entomologiem. Kiedyś pokazał mi śpiące na strychu nietoperze. Na I piętrze mieszkał tam „umieszczony” przez mojego ojca prof. Banach z rodziną.

Innym rodzajem przyjęć były przyjęcia ogrodowe u p. Mieczysławy Sichulskiej, wdowy po zmarłym w 1941 r. malarzu Kazimierzu Sichulskim, w jego willi z ogrodem na Zofiówce. Ich ozdoba były śliczne panny Sichulskie: Krzysia i Dwidzia. Goście siedzieli na trawie i jedli owoce... Kiedyś zabrał mnie ojciec do Brzuchowic na przyjęcie

do dr Csali... Czasem rodzice brali mnie z wizytą do swoich krewnych – ojciec do swej siostry cioci Jabłońskiej mieszkającej z dorosłymi już dziećmi Władziem i Marysią przy Gródeckiej. Marysia dostała pracę na poczzcie, natomiast Władzio chorował na gruźlicę i zmarł w 1946 r. Ciocia starała się coś dorobić do mizernej pensji Marysi, lepila więc pierogi i gorące sprzedawała na placu. Również przy ul. Gródeckiej mieszkał stryj Jan. Jego syn Zbyszek, student Politechniki Lwowskiej, podchorąży, zginął w 1942 r. na storpedowanym przez Niemców statku „Laconia”. Z kolei z mamą chodziłam do jej ciotki Marii Osieńskiej, mieszkającej przy ul. Senatorskiej. Malowała ona obrazy i hodowała koty. W czasie obrony Lwowa w 1919 r. zasłużyła się jako komendantka Sokolic i harcerek. Z jej ówczesnym dowódcą prof. Cieszyńskim połączyła ją potem wieloletnia przyjaźń. Został on rozstrzelany wraz z innymi lwowskimi profesorami na Wzgórzach Wuleckich, podobnie jak i obaj leczący mnie profesorowie pediatrii: Progulski i Meisels.

Któregoś lata w czasie okupacji niemieckiej, matka Magdy Heydy zabrała nas na cały dzień „na owoce” do sadu inż. Wacława Meibauma na Zamarstynowie. Początkowo jechałyśmy tramwajem, potem szły brzegiem Pełtwi. W czerwono zabarwionej ściekami z rzeźni wodzie płynął człowiek, co chwila wynurzając głowę. Pani Heydzina powiedziała, że to zapewne zbieg z getta. Dom inż. Meibauma stał w pobliżu Pełtwi otoczony sadem i wysokim parkanem z desek. Zastałyśmy tam gospodarzy i ich córkę Wandę, a po pewnym czasie z pełnej siana stodoły wyszedł młody mężczyzna. Powiedziano nam, że jest to pan Jurek, który ukrywa się przed Niemcami i nie wolno o tym nikomu mówić. Młodzieniec ten – Jerzy Katzenellenbogen był pochodzenia żydowskiego i rodzina Meibaumów ukrywała go przez całą okupację niemiecką. Po ekspatriacji wszyscy osiedlili się we Wrocławiu, gdzie Jerzy, który został lekarzem, ożenił się z Wandą, późniejszym profesorem chemii Uniwersytetu Wrocławskiego.

Po ukończeniu 4 klasy szkoły pouszulańskiej wprowadzono tam język wykładowy ukraiński i musiałam przejść do szkoły przy ul. Stelmacha, ale chodziłam tam krótko, bo

dokończenie na s. 61

Anna Waligórska-Wnuk

NASZA KAMIENICA

Tytułem wstępu dla osób nieznających naszego miasta muszę poinformować, że miasto Lwów położone jest w dolinie rzeki Pełtwi, która w czasie mojego dzieciństwa już nie była rzeką, ale ściekiem. Miasto okalało prawie ze wszystkich stron siedem wzgórz, które zostały zagospodarowane przez dzielnice peryferyjne. Jedną z nich był Gródek z pięknym kościołem św. Elżbiety. Kościół został zbudowany z początku XX wieku w stylu gotyku nadwiślańskiego, z dwoma strzelistymi wieżami, widocznymi z daleka. Był on punktem orientacyjnym dla wszystkich przejeżdżających do naszego miasta koleją na pobliski Dworzec Główny.

PRZED WOJNĄ 1939 R.

mieszkaliśmy z mamusią na Gródku, w sąsiedztwie kościoła św. Elżbiety. Do kościoła dochodziła od dołu, tzn. od śródmieścia, ul. Gródecka, idąca dalej za rogatkę miasta, a w bok od kościoła odchodziła ul. Leona Sapiehy. Przez te dwie ulice rozwoziły tramwaje ludzi jadących do centrum miasta z dworca, zawierającego dwie kryte hale – tak pięknego dworca nie było przed wojną w żadnym mieście w Polsce.

Koło Dworca Głównego usytuowana była pętla tramwajowa, która Aleją Focha rozwoziła przyjezdnych do miasta. Dochodziły tu tramwaje: nr 1 – który z dworca przez ul. Sapiehy jechał na Łyczaków, a kursował co 5 minut; tramwaj nr 2 – który z dworca jechał ul. Gródecką, przez plac Gołuchowskich, Legionów, pl. Halicki, pl. Bernardyński, ul. Piłsudskiego, Zyblikiewicza, św. Zofii – na ul. Dwernickiego – kursował co 8 minut; tramwaj nr 9 – jechał na Gabrielówkę – jadąc przez ul. Sapiehy – kursował co 10 minut.

Tramwaj nr 1 jechał z dworca na Targi Wschodnie – okresowo, tylko w okresie ich trwania.

Tu mała dygresja – obok dworca osobowego usytuowany był w dzielnicy bardzo duży dworzec towarowy, obsługujący ruch towarowy całej południowo-wschodniej Polski. Odczuliśmy bliskość tego węzła w 1939 roku, kiedy to ataki niemieckie usiłowały zniszczyć go bombardowaniami i zniszczyły jedno skrzydło Dworca Głównego.

Z torów kolejowych usytuowanych w tym węźle w kwietniu 1940 r. formowane były transporty wywożonych do Kazachstanu ludzi. Ludzi, których przewinieniem było to że posiadali już kogoś z rodziny w więzieniu lub stanowili element nie nastawiony entuzjastycznie do Związku Radzieckiego – a więc niepewny. Jechali ci biedni ludzie w wagonach towarowych z zakratowanymi drutem kolczastym oknami – mając ze sobą tylko tobolek z rzeczami na dalsze ich tułaczę życie – wszystko w mieszkaniu zostawiając okupantowi, który niejednokrotnie nie umiał się nawet obchodzić ze zdobytym majątkiem.

Ale wracam do czasów przedwojennych. Do naszej ulicy Wernyhory, gdzie mieszkałam, szło się od kościoła św. Elżbiety kawaleczek ul. Gródecką w dół, potem skręcało się na lewo w ul. Bartosza Głowackiego – gdzie mieszkała moja babcia Wolska z cicią Zosią – po przejściu do końca tą ulicą skręcało się na prawo w ul. Dekerta i zaraz w najbliższą Dekerta Boczna – gdzie mieszkaliśmy w kamienicy nr 8. W roku 1934 ulica została przemianowana na ul. Wernyhory i zmieniono numerację domu na 30.

RODZICE MOI

pobrali się we wrześniu 1919 roku w Warszawie i na kilka lat mieli zamieszkać we Lwowie. Pierwszą zimę spędzili w bardzo zimnym pokoju, ale już od lipca 1920 roku uzyskali nakaz kwaterunkowy na mieszkanie w kamienicy przy ul. Dekerta Bocznej 8, na pierwszym piętrze – w oficynie. W tym czasie panował wielki głód mieszkaniowy – kończyła się wojna, jeszcze wojska bolszewickie podchodziły pod miasto – szczęśliwie odparte przez Wojsko Polskie. Ojciec, jako urzędnik magistratu, uzyskał nakaz na zajęcie mieszkania. W kamienicy tej mieszkała na pierwszym piętrze mama mojego ojca – babcia Lińcia Waligórska ze stryjkami: Tadeuszem i Kazimierzem. Gdy rodzice wprowadzali się na ul. Dekerta Boczna,

to była to ulica nieduża. Z jednej strony stały razem trzy dwupiętrowe kamienice, a z przeciwnej strony jedna trzypiętrowa – poza tym były tam same ogrody. Z biegiem lat, z początkiem lat trzydziestych, ulica zaczęła zmieniać oblicze. Z naszej strony, od strony ul. Dekerta – od rogu aż do naszych kamienic – dobudowano wysokie nowoczesne kamienice – a z przeciwnej strony pobudowano bezładnie domy jednopiętrowe.

Ulica nasza w latach dwudziestych, mimo że wtedy stało przy niej niewiele domów, była wybrukowana i miała chodniki. Miała też oświetlenie gazowe. Jedna z lamp świeciła się naprzeciw wejścia do naszej kamienicy. Codziennie przed wieczorem przyjeżdżał rowerem pod tę latarnię pan w uniformie granatowym z długą tyczką zakończoną haczykiem. Tyczkę podnosił do góry i haczykiem trafiał w oczko łańcuszka tam zwisającego i, nie wiem dlaczego, lampa się zapalała. Rano ten sam pan przyjeżdżał, pociągał za drugie oczko łańcuszka i gasił lampę. Muszę zaznaczyć, że nie pamiętam by kiedykolwiek lampa była zbita.

Muszę też nadmienić, że w zimie nigdy nie było na naszej ulicy żadnych zasp śniegowych. Miasto całe było w zimie stale odśnieżane przez specjalne ekipy złożone z ludzi bezrobotnych, którzy byli sezonowo zatrudniani do tych prac. Furmankami i autami śnieg z naszej dzielnicy był dowożony do włazów umieszczonych co jakiś odcinek na poboczu jezdni ul. Gródeckiej, wrzucany do bardzo szerokich kanałów biegnących pod jezdnią. Kanały te, przebudowane, istniały od XVII wieku. Ponieważ ulica miała bardzo duży spad, śnieg topił się i dochodził do głównego kolektora – tzn. pseudo-rzeczki Pełtwi, i z nią poza miasto. W ten sam sposób usuwano śnieg ze wszystkich dzielnic – położonych wyżej niż centrum miasta.

KAMIENICA NASZA,

choć nieduża, prezentowała się porządnie. Była dwupiętrowa: na parterze od frontu były dwa mieszkania dwupokojowe. Na pierwszym i drugim piętrze – jedno mieszkanie dwupokojowe i jedno trzypokojowe. W oficynie kamienicy na każdym piętrze było jedno mieszkanie dwupokojowe. Na pierwszym

Anna Walligórska-Wnukowa



piętrze w mieszkaniu dwupokojowym mieszkała moja babcia Lińcia – myśmy mieszkali na pierwszym piętrze w oficynie – w mieszkaniu północnym.

Wszystkie mieszkania w naszej kamienicy były komfortowe. Pokoje w amfiladzie – w mieszkaniu babci drugi pokój zakończony był niszą. Kuchnie były duże – z kuchni wchodziło się do łazienki z piecem węglowym – a do ubikacji z obszernego przedpokoju. Piece w pokojach z bardzo ładnymi kaflami jakby rzeźbionymi, z górną galeryjką. U nas w jednym pokoju piec był ciemnozielony, a w drugim bordowy. Stanowiły one ozdobę pokoju i bardzo dobrze nagrzewały mieszkanie. Pokoje były niemałe – jeden miał 17 m, a drugi 30 m kw. Podłogi w pokojach z parkietu dębowego, stale pastowane woskiem, pięknie błyszcząły.

Okna naszego mieszkania wychodziły na podwórze – w połowie zawierające mały ogródek – a częściowo wybrukowane, ze ściekiem pośrodku. Do naszego podwórza dochodziło drugie, z sąsiedniej kamienicy. Oba podwórka oddzielone były od siebie siatką drucianą. Spoglądanie na te podwórka było jedną z atrakcji, gdy byłam małą dziewczynką.

Tu od czasu do czasu pojawiał się kataryniarz, dźwigający na ramieniu swoją katarynkę. Rozstawiał ją na środku podwórza – na katarynce siedziała papuga, która coś tam pokrzykiwała. Kataryniarz zaczynał grać i z okien zrzucano mu zawinięte w gazetę groszaki. Zależnie od hojności słuchaczy grał dłużej lub krócej. Ja także dostawałam miedziaki i zawinawszy w gazetę zrzucalam.

Czasem pojawiał się na podwórzu „artysta” grający na skrzypcach lub harmonii. Grał rzewne melodie – od serca – i też zostawał hojnie wynagradzany. Oprócz występów artystycznych przychodzili na nasze podwórko rzemieślnicy z własnym warsztatem pracy: szlifierz noży i nożyczek – które ostrzył na kamiennym kole poruszonym pedałem – głośno oznajmiając swoje przybycie i swoje usługi, przychodził też starszy czarodziej z pękiem drutu na ramieniu i ze stołeczkiem, który śpiewnym głosem w gwarze oznajmiał: garnki drutuję, garnki. Przynoszono mu wtedy jakieś pobite garnki gliniane, które on zmyślnie opłatał drutem tworząc siatkę – robił to tak mocno, że można było w tych odnowionych garnkach przechowywać płyny. Miałymy w domu dwa takie garnki – jeden do śmietany, a w drugim przechowywany był smalec – ale jaki smalec! Śloninę kroilo się w drobną kostkę, topiło, dodawało trochę pokrojonej drobno cebuli, która też się przyrumieniała – po ostudzeniu skwarki meło się w maszynce do mięsa, naturalnie trochę solilo i dodawało nieco majeranku. Całość zlewało się do tego drutowanego garnka. Lubiałam asystować przy tym procesie otrzymywania pysznego smalcu. Kromka znakomitego chleba lwowskiego z tym smalcem należy do najlepszych smakowitości wspomnianych z czasów mojego dzieciństwa.

Wracam na podwórze – przychodził tu czasem handlarz z dużym worem – który wykrzykiwał „szmaty skupuję, szmaty”. Bałam się go, bo miał dużą brodę, pejsy i wyglądał jak jakiś zbój z bajki. Atrakcją dla mnie było też, gdy padał deszcz i wszyscy lokatorzy wynosili na podwórze swoje pielęgnowane w doniczkach kwiaty, żeby je obmył deszcz. Po takim wymyciu rośliny lśniły bardzo ładnie. Lubiałam także, gdy na kamienicę naprzeciw świeciło słońce – niekiedy odbite od uchylonych okien promienie słoneczne wpadały do naszego mieszkania – jak się wtedy w pokojach robiło wesoło!

PRZED WOJNĄ NIE ZNAŁAM

lokatorów naszej kamienicy – poza moją babcią Lińcią oraz dozorcą „panem Janem” Krukiem i jego żoną – panią Janową. Pan Jan zamiatał przed domem i na podwórzu – a żona jego sprzątała klatkę schodową, pastowała i froterowała schody. Pan Jan

otwierał bramę wejściową o 6 rano – a zamykał o 22 godzinie. Gdy przychodził ktoś w późniejszej porze, to trzeba było zadzwonić i brama była otwierana za dodatkową opłatą. Pani Janowa robiła zaś drobne usługi za opłatą – u babci Lińci była brana do prania, do mycia okien – w okresach, gdy babcia nie miała służącej. Wiedziałam, że na parterze pod mieszkaniem babci mieszkał pan kapitan z żoną i córeczką. W 1939 roku pan kapitan poszedł na wojnę, a żona jego z córeczką wyjechała do rodziny i nie wiem, kto tam zamieszkał.

Nad babcią mieszkał właściciel domu – najpierw był to pan Borowiczka, który sprzedał kamienicę właścicielowi sklepu z farbami i lakierami z ul. Kętrzyńskiego. Nowy właściciel zaczął obrzydzać życie wszystkim lokatorom, żeby się ich pozbyć. Czyszcze w kamienicy były niskie, gdyż obowiązywała ustawa o ochronie lokatorów. Dopiero po wyprowadzeniu się któregoś z dotychczasowych lokatorów mógł właściciel ustanowić wyższy czynsz. Myśmy za nasze mieszkanie płacili 42 zł. Gospodarz nie godził się na żadne propozycje innowacyjne w mieszkaniach, robione na koszt lokatora. Stryj Kazio chciał wybić drzwi z niszy do przedpokoju – by oba pokoje miały wyjście na korytarz. Chciał za zgodą sąsiadki uzyskać w mieszkaniu trzeci pokój, ale nie uzyskał zgody właściciela. Nam udało się za poradą adwokata uzyskać zgodę na postawienie ścianki oddzielającej naszą część korytarza. Inne propozycje załatwił odmownie.

Na parterze od frontu mieszkali pp. Kohutowie z dwoma synami: Tadiem i Edziem. Pan Jan pracował w jakimś urzędzie. Był Czechem mieszkającym we Lwowie jeszcze od czasów austriackich – mówił po polsku, ale z taką czeską, śpiewną wymową. Żona jego Rozalia – uśmiechnięta, rozmowna, uprzejma – poznałam ich dopiero w 1939 r. w schronie, kiedy to wszyscy – gdy tylko syreny zawyły – zbiegali szybko do piwnic. Obok pp. Kohutów mieszkało małżeństwo emerytów, których znałam z widzenia. Nasze mieszkanie było usytuowane właśnie nad nimi. Ze względu na nich mogłam grać na pianinie tylko po przyjeździe do gimnazjum, aby im nie zakłócać ciszy wieczornej – grałam codziennie co najmniej trzy godziny. Kiedyś dowiedziałam się, że bardzo lubili moje granie – nie mieli radia i był to ich jedyny

kontakt z muzyką. Na pierwszym piętrze od frontu koło nas mieszkała pani z córką młodszą ode mnie 7 lat. Były to bardzo religijne Żydówki, które obchodziły szabas – pan Jan przychodził w każdą sobotę gasić im i zapalać światło. Do córki przychodził też nauczyciel hebrajskiego – zapamiętałam go, bo cały rok chodził w lisiej, rudej czapce. W czasie wojny, jesienią 1941 r., sąsiadka ta zaproponowała mojej cioci Zosi, że odstąpi jej jeden pokój – gdyż ciocia mieszkała w zrujnowanym przez działania wojenne mieszkaniu – bardzo zimnym, ciocia z babcią zamieszkały koło nas.

WE WRZEŚNIU 1942 R.

zaczęto wszystkich Żydów przesiedlać do getta. Sąsiadka była zdenerwowana – z jednej strony chciała być bliżej córki, która została skoszarowana w getcie – ale równocześnie chciała ocalić mieszkanie. Nie udało się – pewnego dnia zajechała na naszą ulicę milicja żydowska i zaczęła w pośpiechu wyprowadzać z mieszkań wszystkich Żydów. Brali tylko w tobołkach rzeczy osobiste. Ci bezwzględni młodzi Żydzi z milicji nie tylko, że nie doradzali co należy brać, ale brutalnie popędzali wysiedlanych. Po pozostawione meble przyjechano po kilku dniach, a milicja nie zaznaczała na nich nazwisk właścicieli. Widać było, że meble te miały zmienić właściciela. Z naszej kamienicy oprócz naszej sąsiadki zabrano także właściciela domu z rodziną oraz p. Hartmanową, która mieszkała z dwoma nieletnimi synami w pokoju nad bramą. Starszy chłopak jeszcze przychodził przez jakiś czas po jedzenie, które zostawialiśmy mu koło drzwi od strony korytarza – ale przykro odczuliśmy, gdy któregoś dnia jedzenie nie zostało zabrane. Już więcej się nie pokazał.

Lokatorów z drugiego piętra nie pamiętam zupełnie.

Przed wojną w naszej kamienicy chodziłam tylko do mieszkania babci Lińci. Zachwycalam się zawsze tym słonecznym wnętrzem. Pokoje wychodziły na zachód, a kuchnia na wschód. W pokoju babci był oleander – śliczne drzewko okwiecone wiosną, inne rośliny też pięknie rosły. Były one

specjalnie pielęgnowane – rośliny wtedy podlewało się wodą z płukania mięsa – więc zawierającą więcej białka. Co się z nim stało po wywiezieniu babci? – nie wiem.

Wojna całkowicie wymieniła lokatorów – najpierw na wojnę poszedł pan kapitan – a rodzina się wyprowadziła jeszcze podczas działań wojennych do swych krewnych. Stryj Kazimierz został aresztowany 2 października 1939 r. i stracony w którymś z więzień we Lwowie. 13 kwietnia 1940 r. moja babcia Liścia została wywieziona do Kazachstanu sama jedna – a miała wtedy 90 lat. We wrześniu 1942 r. zostali do getta przeniesieni właściciele kamienicy z rodziną, nasza sąsiadka oraz pani Hartmanowa z synami.

W cztery lata później, w lipcu 1946 wyjechaliśmy wspólnym transportem – pp. Kohutowie, babcia z ciocią i my z mamusią. Dom powoli zapełniał się nowymi lokatorami.

* * *

W roku 1964 byłam z wycieczką Orbisu we Lwowie. Wstąpiłam na moją ulicę Wernyhory. Lampa przed naszym domem stała rozbita – pięknie kuta brama wejściowa z kolorowymi szklami na górze – okucia żelazne poodginane – widać, ktoś dostawał się do kamienicy nie otwierając drzwi; klatka schodowa zniszczona. Wszystko obce. Na drzwiach mieszkania babci wisiała jeszcze tabliczka mosiężna z napisem WALIGÓRSCY. U nas na drzwiach szklonych wisiały jeszcze zawieszone przez mamusię firaneczki – ale wszystko wydało mi się obce. Zimne. Zrobiłam tylko zdjęcie z zewnątrz domu – pamiątkę po czymś, co było, a pozostało tylko w naszej pamięci i sercu.

ANNA WNUKOWA, z d. WALIGÓRSKA, ur. we Lwowie, tamże nauka w gimn. im. Królowej Jadwigi, matura 1939. Studia chemiczne we Lwowie w czasie trzech okupacji, dyplom po ekspatriacji w Gliwicach, 1946. Uczyła na kompletach we Lwowie, 1946–49 w gimnazjum w Gliwicach. 1949–50 więziona w sprawie politycznej. Od 1950 praca w biurach projektów, emerytura 1979. Organizowała spotkania koleżeńskie *jadwiżanek* w różnych miastach.

Wacław Gaberle

JAN ZAHRADNIK (1904–1929)

Z życia literackiego przedwojennego Lwowa

Skończyła się pierwsza wojna światowa. Minęły burzliwe lata 1918–20. Lwów nie jest już stolicą Galicji, lecz miastem II Rzeczypospolitej. Zaczyna się nowe życie grodu Lwa, także życie literackie. Przetasowania: Leopold Staff, Kornel Makuszyński przenoszą się do Warszawy a Jan Kasprówicz na stałe do Poronina. Debiutują poeta i krytyk literacki Henryk Balk, sam Marian Hemar, a nieco później Stanisław Jerzy Lec.

W 1921 roku na łamach lwowskiego dziennika narodowego „Słowo Polskie” zaczynają się ukazywać wiersze młodzieńczego Janka Zahradnika. Urodzony w Kosowie w 1904 roku Zahradnik jako 14-letni chłopak brał udział w obronie Lwowa. Ale jego poezje nie przypominają utworów zawartych w antologii *Lwów w pieśni poetów lwowskich* (Lwów 1919), będących świadectwem tamtych dni. Jego wiersze są pełne smutku, rozważań metafizycznych (*Spotkanie z Bogiem*). W 1925 roku we Lwowie ukazuje się tomik *Ludziom smutnym*. Już okładka książki: czarna ze srebrnymi literami tytułu, wprowadza w nastrój wierszy. Mottem jej mógłby być znany liryk młodopolski S. Korab Brzozowskiego *O przyjdź!*:

...O przyjdź, jesienią – W chwili zmierzchu senna, niepewną – /
I dłonie / Twe przejrzyste, miękkie, woniejące / Na
cierpiące / Połóż mi skroń – / O śmierci...

Jeden z wierszy Zahradnika jest jakby wzięty z ducha swego lwowskiego poprzednika. Oto fragmenty:

Pani jesienna, pani bezimienna / Dowiem się może wreszcie, ktoś ty jest... / Nazwa twoja musi być tak bardzo senna / Jak każdy dech twój, każdy wiew i gest... / Tak, to ty jesteś, do śmierci podobna! / To są twe ręce umaczane w mgle / A to twarz twoja, milczeniem żałobna – / Tak, to ty jesteś, niedośniony śnie! (O przyszłaś znowu).

Już w pierwszym wierszu tego zbioru wprowadza nas autor w ton swej poezji:

Nigdy już i nigdzie nie zrobię kroku / Położę się, zamknę oczy, w ziemi jest spokój (List otwarty)

A w innym:

Dlaczego nie nadchodzisz, godzino daleka? / Tętnice życia zwiędłe, niech pękną, natnij – / Nikt cię w świecie tak bardzo jak ja dziś nie czeka / I każdy mój wiersz jest ostatni... (Uśmiecham się do ludzi).

I pyta z odcieniem humoru:

Czy jestem czy nie jestem najsmutniejszy z ludzi? (Przyjacielu)

Osobisty ton wierszy i ich artyzm sprawia, że dziś bardziej przemawiają do nas te poezje lwowskiego liryka niż mające formę ballady (*Ballada o człowieku bez duszy*).

Podaje on też w sposób ciekawy wątki fantastyczne (*Południca*, *Osmętnica*). Dodajmy, że *zaduma polna Osmętnica* idzie przez łąki i moczary także w wierszu Anioła Pańskiego Kazimierza Tetmajera. Wiersze miłosne pisze wyjątkowo (*Nie patrz na mnie tak smutno*).

Ale... mimo sukcesu literackiego, jakim było ukazanie się *Ludziom smutnym* Jan Zahradnik przestaje pisać wiersze liryczne. Zajmuje się, pod pseudonimem „Janek”, publikowaniem wierszy codziennych i krytyką literacką. Jego poezja liryczna nie poszła jednak w niepamięć. W latach trzydzie-



Karykatura Jana Zahradnika, zamieszczona w Kalendarzyku kieszonkowym na rok 1933, wydanym przez Artystyczną Knięję Atlasa we Lwowie. Rys. A. Procajłowicz.



stych pisano o nim dość często. Książkę naukowca UJK M. Piszczkowskiego o Zahradniku (W-wa 1932) opatrzył przychylną rozmową prof. Ignacy Chrzanowski, a inny znawca literatury Wacław Borowy zamieścił wiersz *Już ognie cichną w oczach* w wydanej przez Ossolineum antologii liryki polskiej *Od Kochanowskiego do Staffa* (Lwów 1930). Wiersz ten znajduje się także, co ważne, w drugim znacznie zmienionym wydaniu (Londyn 1954). Kiedy wreszcie po ostatniej wojnie ukazała się, w opracowaniu R. Matuszewskiego i S. Pollaka, antologia *Poezja polska 1914–1939* (W-wa 1962 „Czytelnik”), też znajdujemy w niej wiersz Zahradnika – *Kolumb na morzu* – z ducha romantyczny, przypominający trochę późniejsze *Przesłanie Pana Cogito* Zbigniewa Herberta. Nie trafił natomiast do antologii inny interesujący wiersz *Hamlet w knajpie*.

Z uznaniem wspominał po latach poetę znany pisarz Józef Wittlin w książeczce *Mój Lwów*, a pięknie i niebanalnie uczcił Zahradnika malarz i karykaturzysta Antoni Procajłowicz, zamieszczając w kalendarzyku firmy „Atlas” na rok 1933 jego karykaturę i wierszyk:

*Ścięła Cię przedwcześnie śmierci srebrna kosa,
Przedwcześnie dosięgły wyroki okrutne,
Zanim ludziom smutnym otwarły niebios
Twoe pieśni smutne*

Jako „smutny poeta” Zahradnik został zapamiętany zbyt jednostronnie. Przecież w „Słowie Polskim” stale zamieszczał wiersze okolicznościowe. Stąd też krakowski pisarz Witold Zechenter, jego rówieśnik i znajomy, pisząc w pamiętniku *Uptęwa szybko życie* o zjawisku wiersza codziennego, wśród autorów wymienia także Zahradnika.

Ciekawostki: Zahradnik napisał także tekst hymnu korporacji studenckiej „Leopolia”, do której należał jego brat Ludwik, a razem z Hemarem i paru innymi autorami w zamyśle żartobliwą sztukę *Łatki lwowskie* (Lwów 1924). Zajmuje się żywo krytyką literacką i teatralną. Toczy bój ze Skamandrytami, co koń-

czy się surową oceną tomiku *Ludziom smutnym* przez W. Broniewskiego na łamach „Wiadomości Literackich”. Ale i tak po latach J.M. Rymkiewicz zaliczy go do poetów upowszechniających *skamandrycki model wiersza*. Recenzuje *Srebrne i czarne* Jana Lechonia. Artykułem *Skrzywdzone arcydzieło* zabiera głos w dyskusji o *Przedwiośni*, jaka toczyła się wówczas w prasie polskiej. Jest autorem krytycznej rozprawy *Kornel Makuszyński we wkleślem zwierciadle* (Lwów 1927): *W koniunkturze powodzenia zatracą się świetny talent Makuszyńskiego* – pisał. Współpracuje ze „Słowem Polskim”, ale drukuje i w innych pismach, jak satyryczny „Szczytek”. Należy do redakcji miesięcznika „Lwowskie Wiadomości Muzyczne i Literackie”, ważnego periodyku kulturalnego Lwowa.

W. Zechenter podaje też inną ciekawą informację: *Jan Zahradnik* – notuje – *miał wielu przyjaciół w kołach młodych poetów ukraińskich we Lwowie i zachęcał mnie do współpracy z nowym piśmem, które właśnie w roku 1927 zaczęło się ukazywać we Lwowie pod tytułem „Literaturnyj Wistrzyk”. Był to organ młodzieży ukraińskiej, przeważnie słuchaczy Uniwersytetu Lwowskiego, pragnących współpracy z młodymi polskimi intelektualistami. Za namową Zahradnika napisałem dla tego pisma artykuł o młodym Krakowie literackim oraz wiersz pod tytułem „Ukraińcom”, wydrukowany tamże w tłumaczeniu młodego poety ukraińskiego – Jarosława Curkowskiego* (W. Zechenter, *Uptęwa szybko życie*).

Należał do grona założycieli wyłonionego z ruchu narodowego Zespołu Stu, którego członkiem był m.in. Stanisław Ostrowski, późniejszy prezydent Lwowa (1936–1939), a następnie prezydent Rzeczypospolitej na wygnaniu (1972–1979).

Nie było mu jednak dane długo żyć i tworzyć. Gruźlica, „choroba wieku” i cygański tryb życia zrobiły swoje. Przed śmiercią wrócił jeszcze do liryki:

Ślady starte i z ziemią dokładnie zrównane / Troski zmarłego życia nikogo nie boją / W niczyjej pamięci na chwilę nie stanę / Przemijającym smutkiem, przelotną niedolą. / A kiedym to zapadł w próżnię obojętną / Nad którą się żal niczyj nie schyli, nie nagnie / Niechaj zginę raz jeszcze tą śmiercią doszczętną / Która modłów i wspomnień po sobie nie pragnie (Napis na grobie).

(„Słowo Polskie” 1929, nr 175, cytata z M. Piszczkowskim *O Janie Zahradniku*, W-wa 1932, str. 13. Por. o tym wierszu: J. Ernst *Dwie linie życia* Lublin 1988).

Jan Zahradnik

Już nic mnie nie ocali

Już nic mnie nie ocali. Przestałem już wierzyć
W serce własne, że pęknie – zbyt wolno usycha;
I wierzę, że lepiej niżli żyć, jest nie żyć,
Ni w to, że śmierci nie ma, ni w to, że jest cicha.
I nie wiem, czy nic nie wiem. Zresztą wszystko jedno,
Skoro już ból mnie żaden ni radość nie boli.
Wieczystych ogni nie ma – wszystkie w końcu bledną;
Nie trwóćcie się: czas mija, choć mija powoli...
Nie krzyczę, ani pytam przemyślnie: „Dlaczego?”
Na cóż zda się rozmowa, jak wiatr bezpowrotna? –
Choć wszystkie drogi wspólnie aż po kres swój biegna,
Droga do mego końca bardzo jest samotna...

Hamlet w knajpie

Pić albo nie pić – oto jest pytanie. –
Nim serce wyschnie, nim się krew spopieli,
Niech się raz jeszcze zachwieje w tym dżbanie
Przed pijanym wzrokiem błądy cień Ofelii.
Sił nie mam walczyć: wszak zemsta i dłoń już
Słabną z pijaństwa, bo druhy, kochanki,
Ojciec nieboszczyk i błazen Poloniusz –
Świat cały leży na dnie mojej szklanki.
Dość tej boleści i tej wewnętrznej pracy!
Sprawom doczesnym nie poradzisz nijak –
Raczym się w trójkę: ja, stoik Horacy
I stryj mój, Klaudiusz, cny kompan, bo pijak.
Jedną wiem prawdę: bez końca się nieci
Pragnienie ludzkie, wielkie jak tęsknota,
Bo okrom życia i śmierci świat trzeci,
Jak wino w czaszce Yorricka bulgota.

Przyjacielu

Przyjacielu! Jednacy jesteśmy wszak oba,
Własny oddech nas boli, każdy krok nas trzusi –
Ale powiedz jak obca nieznana osoba:
Czy jestem, czy nie jestem najsmutniejszy z ludzi?
Choć nie wiesz może o tym, bo nikt ci nie wyśni
Tego, co z mymi snami co dzień w parze kroczy:
Czyjeś usta, różowsze i świeższe od wiśni,
Czyjeś białe ramiona i głębokie oczy.
I pomyśl – jeśli tylko pomyśleć się ważysz –
Jestem smutny, choć mógłbym do dna być świetlisty:
Niby ostatni w życiu, jedyny towarzysz,
Idzie w ślad moich wspomnień czyjś wzrok wiekiusty.

Kolumb na morzu

W dróg niepowrocie i w majestacie rozpiętych żagli
Ludzie nieznani, bardzo samotni, bardzo omdlali,
Wybladli z głodu, od wichrów szorstcy, od słońca smagli,
Płyniemy, dokąd dal nas poniesie i jeszcze dalej...
Morze narasta coraz i rykiem grozi przeciągłym,
Albo się fale w złowrogiej ciszy do siebie tulą
I słońce w przepaść wód wpada: ziemię musisz być kulą!
Są sny niekiedy bardziej niż jawa wszelka przytomne;
Są duchy, których czas nie zadławi, duchów morderca;
Są czasem wole tak rozpętane i tak niezłomne,
Że ich nie struje nawet podstępny, cichy jad serca...
Serce, bądź trwałe! – i raczej w sromu pożarze spłoń mi,
Niżbym cię widział, że się nie zgasłym zniczem nie żarzysz! –
Nic to, choć zginie z zaciśniętymi bluznierczo dłońmi
Jeden po drugim, aż do ostatka, żeglarz-towarzysz.
Ja sam zostanę i moja ze mną myśl nierozumna,
Ja sam popłynę w niedoścignionym ducha rozpędzie!
Choćby mnie poniósł okręt czerniały, niemy, jak trumna,
Ku brzegom, których na tym świecie nigdy nie będzie.

► Zgaś „jak papieros na wietrze” w szpitalu na Hołosku, jakby z poezji wziętą jesienią 1929 roku, mając zaledwie 25 lat. Tak jak jemu współcześnie: Eugeniusz Małaczewski, autor tomu opowiadań *Koń na wzgórzu* i poeta Jerzy Liebert. Mimo że żył krótko, wpisał się w pejzaż literacki Lwowa, grodu o którym pisał:

Nie rzucę, nie zostawię najdroższego miasta / Dlaczegoż ma mi życia zamierać połowa? / Może się poza Lwowem jakiś świat rozrasta / Ale cóż mi po świecie, w którym nie ma Lwowa.

(cytat za *Serce wydarte z polskiej piersi, Lwów w poezji*, zebrała i opracowała D.B. Łomaczewska, W-wa 1993).

Inne były losy M. Hemara i K. Makuszyńskiego. Pisarze ci odegrali, jak wiadomo – każdy inną rolę w życiu i twórczości Zahradnika. Obaj, choć wywędrowali ze Lwowa, nie zapomnieli o tym mieście. Hemar sławił gród pod Wysokim Zamkiem wierszem i piosenką, a Makuszyński opowiadaniem *Uśmiech Lwowa*. Natomiast *Przygody Koziołka Matołka* wydane kilka lat temu we

Lwowie, w wersji dwujęzycznej, cieszą dziś także ukraińskie dzieci.

Masywny grobowiec rodziny Zahradników na Cmentarzu Łyczakowskim (pole 14), w którym spoczywa poeta, bardzo naruszył ząb czasu, a boczne marmurowe tablice zostały wyrwane. Grono ludzi, którym jest bliska postać Janka Zahradnika, podjęło niedawno trud ratowania grobowca. Wszak 22 października przypada 80 rocznica śmierci autora *Ludziom smutnym*.

* W książce *Knajpy Lwowa* J. Wynnyczuka znalazł się błąd: „Atlas” mieścił się przy Rynku 45, a nie Starym Rynku 45.

Nota bibliograficzna: Podstawowych wiadomości o Janie Zahradniku dostarcza „Literatura polska XX wieku. Przewodnik encyklopedyczny” t. II, W-wa 2000, PWN (hasło Zahradnik). Jest to przedruk z: „Literatura polska, Przewodnik encyklopedyczny” t. II, W-wa 1985, PWN. Oprócz pamiętników wymienionych w tekście warto pamiętać o: M. Tyrowicza „W poszukiwaniu siebie” (Lublin 1988) oraz „Wspomnienia o życiu kulturalnym i obyczajowym Lwowa 1918–1939” (Wrocław 1991), a także J. Ernsta „Dwie linie życia” (Lublin 1988). Natomiast Józef Giergielewicz, zamieszkały obecnie w Krośnie, zestawil obszerną b bibliografię przedmiotu w niewydanej pracy magisterskiej poświęconej poezji Zahradnika (UMCS Lublin 1975).

Stanisław Wasylewski

W mieście Kossaka i Grottgera

Tekst pochodzi z książki „Historie lwowskie”, Lwów – Poznań 1921

W iadomo, że nie skądinąd, lecz spod stóp Wysokiego Zamku ruszyły pierwszy raz klusem Kossakowskie bułanki i pan Mohort wyjechał na polowanie; wiadomo, że ze Lwowa, nie skądinąd poszła w świat sława kartonów „Wojny” i „Lituanii”. A jeśli spytać o najlepsze do połowy XIX stulecia portrety – będą także lwowskie. Generał Dembiński siedzi nad mapą na obrazie Rodakowskiego, pani Aszpergerowa z błękitem w oczach i kwiatami we włosach uśmiecha się z portretu Rejchana w Sukiennicach. Dlaczego więc zapomina się zawsze, co Lwów dał sztuce polskiej? Bo gdyby się pamiętało, wtedy może bez uśmiechu pozwolono by szaremu miastu zwać się – przez krótkich parę lat przynajmniej – polskim Monachium.

Szczególne doprawdy to nadpełniające Monachium! Miasto, które nie ma wcale oblicza artystycznego w swej architekturze! ani senatorskich pomników przeszłości, ani szkolnictwa malarskiego, ani żadnej w owym czasie galerii, miasto do roku 1834 nie wiedzące jeszcze, co znaczy wystawa obrazów! Kraków miał podówczas świątynną atmosferę Aten, Warszawa — tradycje królewskiego mecenasa, a Lwów nic, chyba przebujała ciekawość życia i dużo, dużo isker temperamentu, rozpierającego każdą kostkę bruku, po którym dudnią austriackie armaty. Z takich skromnych czerpiąc zasobów, ofiaruje butny gród kresowy trzy najświetniejsze nazwiska sztuce swego narodu, wzbogaca plastykę półsetką imion godnych uwagi, więcej jeszcze: otwiera w historii malarstwa polskiego jedną całość, acz krótką epokę jego dziejów.

Jakże cudnie rodzą się z bożej łaski talenty! Oto najpierw ten, co wszystką Rzeczpospo-

Konferencja u Rzecznika Praw Obywatelskich w dniu 19 czerwca w Warszawie – o której mowa w *Słowie od redakcji* w tym numerze CL – na temat godnego upamiętnienia Polaków-ofiar ludobójstwa na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, uległa częściowemu rozbiciu. Min. Sikorski, po interwencji ambasadora państwa ukraińskiego (!), odwołał przedstawiciela Ministerstwa Spraw Zagranicznych, który również miał brać udział w konferencji. Równocześnie zrezygnował z udziału min. A. Przewoźnik (miał wygłosić dwa referaty).

O tej zawstydzającej i bezprecedensowej w demokratycznym państwie sprawie napiszemy w następnym numerze.

liłą w akwareli na papierze wathmanowskim umieści i odtworzy ołówkiem to, o czym śpiewa Janusz i mówi ze sceny Fredro, i gawędzi pan Pasek z Soplicą – Juliusz Kossak. Wiadomo, skąd wywiódł ród swój. Syn urzędnika kryminalnego, urodzony w Wiśniczu, wychowany we Lwowie, powinien być zostać starszym radcą sądowym w Bohorodczanach, gdyby nie uparta pasja, z jaką osmarowuje ściany mieszkania ojcowego; gdyby nie estyma, jaką ma wśród kolegów, słuchających jak i on *ultriusque iuris* na lwowskiej wszechnicy. Na bruku lwowskim rozwija się Kossak. Tu staje się artystą Grottger w czasie, gdy Szwejkarty i Rejchany stworzyły osobną szkołę portretu. Lwowskim malarzem jest Tepa, doskonały akwarelista; lwowskimi studentami są Streitt (ur. w Brodach) i Leopolski (ur. w Drohobyczu); Lwów nareszcie dał Kielisińskiemu palmę wśród starych sztycharzy i uczynił go rodzicem polskiej akwaforty; Lwów na koniec zdobył sztuce polskiej pierwszy wielki sukces europejski w r. 1852, olśniewając Paryż portretami swego wychowanka Rodakowskiego. Dziwne szare miasto, bez architektury** i tradycji, bez akademii i muzeów! A jeszcze dziwniejsi ludzie, ci lwowscy malarze. Nie można wiele nauczyć się w mieście rodzinnym i nie ma na co patrzeć, tedy wędrują po świecie, żarłocznie chciwi wiedzy, o ile przedtem nie pomarli z głodu! Jeżdżą do Rzymu i Grecji, wysiadują w pracowniach Wiednia, Paryża, Monachium i Drezna, podpatrując Verneta i Delaroche'a, Kaulbacha i Wurzingera, ucząc się u Fugera, Winterhaltera i Ary Szefferla. Zaś na obczyźnie tęsknią wszyscy do Lwowa tak jak Grottger, który, miast w r. 1867 cieszyć się wiosną w ogrodzie luksemburskim, bieży myślą do „biednej ojczyzny, jeszcze dłużej w śniegach białych uśpionej” i przypomina „Lwów ze swoim tysiącem dzwonek i sanek”. Nieskłonny do czułości Kossak napisze po latach do Tepy: „Drogi Franciszku! Czyż można zapomnieć chwile spędzone razem we Lwowie, spaceru na Wysoki Zamek, posiedzenia artystyczne u mnie i u Ciebie, kiedy się malowało miniatury. Mój Boże!...” Artysta lwowski zwykł śpiesznie z wędrówki do miasta swego wracać. Niemal każdy z wyjątkiem Kossaka. Wraca Rejchan, syt Wiednia, wraca Tepa, upojony wschodem, i Szlegel, któremu podróże nie zastąpiły braku talentu. Andrzej Grabowski, dziecko Zwierzyńca, przywiąże się do Wysokiego Zamku serdeczniej jak do

Wawelu, wróci do Lwowa i swoich Bortnik Rodakowski po triumfach, wróci Grottger – w trumnie.

Jakieś bezmierne i namiętne ukochanie palety i sztalug krzewi się w tym mieście. Malujemy wszyscy, mimo czasy smutne. Jeśli co trzeci przechodzić chce być poetą, to co dziesiąty obciąga płótnem blejtramy. Obrazy nie podlegają cenzurze, farb nie można zamknąć do cka kryminału. Nie tylko pan sędzia kryminalny Kossak ma aż dwu synów, co mu w mieszkaniu ściany psują, nie tylko pan dziedzic Grottger z Otyniowiec szczyci się Aciem, którego już w r. 1852 chwałą w gazetach. Jest także cukiernik Tepa, rozpaczony, że mu syn przysłał do artystów, i stary Raczyński w magistracie i Leopolski w Drohobyczu. A tylko szanowny mecenas Paweł Rodakowski, w którego kancelarii pracuje za biurkiem dependent – Franciszek Smolka, któremu synów uczy Karol Szajnocha, tylko pan Rodakowski nie przypuszcza, jaka chluba wyrośnie z jego Henryka. Nie wszyscy jeszcze. Malują i – Boże, zmiłuj się – damy. Pani Szeptycka i Humiecka, Turkułowa i Zielińska z Krzemieńca. Poczciwy Szczęsny Morawski psuje całe postawy płótna w rozpacz, że muzy dlań niełaskawe. Felicjan Łobeski lata całe marzy, aby kiedyś na wielkim obrazie odtworzyć cmentarz, trawnik i trupa główkę, na której motyl barwisty przysiadł.

Prócz tych notuje historia sztuki kilkadziesiąt innych nazwisk, a drugie tyle nieznanymi można odszukać w rocznikach starych gazet i listach artystów, lecz najmniej na obrazach, które rozproszyły się po świecie. Dyletantów, nieuków i miernot mnóstwo, ale talentów zmarnowanych też wiele. Jak w innych dziedzinach, tak i w plastyce. Na stu lwowian dziewięćdziesięciu spało, reszta czuwała za wszystkich. Malarze lwowscy rodzą się generacjami; może żadne inne miasto nie wydało tylu *famiglie d'arte*. Mamy zrazu dynastię Rejchanów – dziada, ojca i syna, potem trzech Kossaków, choć ze Lwowem rozbrat wzięli, po trosze i Grottgerów, bo i ojciec malował. Jeszcze są jacyś Siemianowscy, Orlikowscy, Stroińscy. Malarzy



Józef Rejchan,
Portret Adama Sozańskiego [nr 30]



dostał obłędu, to młody, zmarły akwarelista Łuczyński i suchotnik Orlikowski, to wreszcie tajemniczy, nikomu nieznany, pono wielki talent Tyrowicza.

Entuzjazm lwowski dla sztuki wyda niejedno śmiesznie nieudolne płótno i przybierze nieraz formę naiwną. Tak w r. 1843 np. lwowianie pielgrzymować będą w zachwycie do obrazu Jana Tysiewicza pt. *Magdalena*, wywożą dziwo do Warszawy, Drezna, Lipska, wieszcząc „triumf sztuki polskiej”, a potem okaże się owa „Magdalena” bardzo przeciętną kopią. Kiedy indziej wybieży w świat ze szpał lwowskich wołanie mądre i przewidujące. To Wincenty Pol, który w r. 1839 napisze: „Widoki ziemi naszej mają stronę poezyjną, ale pochwyć ją trzeba! Oto jest wielkie malarza polskiego, to jego szkoła, jego wzór i galeria... Jakże nowa, jak świetna i dziewicza urosłaby szkoła z żywego pojęcia tak dziwnych, tak różnych barw. Potrzeba tylko widoki przyrodzenia ująć w ramy, zbliżyć oku i tajemną ich mowę podchwycić”. Artykuł twórcy *Pieśni o ziemi naszej* przeszedł prawie bez wrażenia. Nie wiedzieć, czy go czytał mały Ació w Ottyniowcach, czy dotarł do mieszkania pana sędziego Kossaka w Karmelitach i czy się nad nim zadumał śliczny, ubrany student w „vatermorderach” w kancelarii mecenasa Rodakowskiego?

Do połowy XVIII stulecia nie było plastyki polskiej w Polsce, a do końca tego wieku nie było jej we Lwowie. Dawno, przed wiekiem, umknął znad Pełtwi tajemniczy i wspaniały rytownik Jan Ziarnko, potem król Jan III chwalił sobie bardzo malarza Bazylego ze Lwowa, po-

tem Czechowicz jeździł tędy do Podhorzec. A zresztą kaduceusz sztuki spoczywał w żyłastych dłoniach „miszczających” pacykarzy, którzy związali się nawet w cech osobny i nie żalowali farb ani blejtramów na najświętsze obrazy do świątyń lwowskich. Ale gdy p. Kossakowska popróbowowała raz pozowania lwowskiemu pacykarzowi – gorszym kockodanem wyszła na konterfekcie, niżli była w rzeczywistości. Aż naraz zjechał nad Pełtew najpłodniejszy z portrecistów króla Stasia imć Pitschman. Uwiecznił był przedtem chyba połowę socjety warszawskiej, a teraz, około r. 1794 zasiadł do sztalug we Lwowie. Pitschman wraz z dziadkiem Rejchanem otwierają na jałowym jeszcze gruncie ekspozyturę malarni króla Stasia i ukazują smutnemu miastu słodcze aksamitnych portretów rokoka. Tymczasem z Austriakami przybyła do Lwowa cała falanga obieżyswiatów, przywożąc z sobą trochę życia i wiedeńskiej europejskości, która odtąd spoi Bogu ducha winne miasto na długie lat dziesiątki z gustem i fasonem wiedeńskim. Jakiś Czech Klimesz, nauczyciel Alojzego Rejchana, jakiś Holender Buisset, znowu głośny i wzięty Francuz Guerard, wiedeńczycy Haar i Weichselbaum uwieczniają na kości słoniowej mundury krajshauptmanów i dekolty pań generalskich, miniatura wchodzi w modę, szczyjąc się swymi „mistrzami”. Te, często poprawne w rysunku i kolorycie, fabrykaty nie mają jeszcze nic wspólnego ze sztuką polską, której gorąco chciałby służyć pocziwy geometra i naśladowca Stachowicza – Głogowski. Obcy przybysze coraz głębiej wsiąkają w grunt. Do takich należy Laub, dalej wcale zdolny Haar i Lange, a wreszcie pracowity i biegły Wirtemberczyk Sz wajkart. Dopiero w r. 1802 przybywa do Lwowa, ale nim się spodzieje, przemienienia w polskiego szlagona, kupi wieś polską za cwancygiery, z malowania gęb polskich uciulane. A gdy w r. 1846 przyjdzie mu z rusznicą w rękę bronić dworu swego przed pocziwym ludkiem, będzie się już staruszek czuł „całym Polakiem”. Zapewniają do dziś ściany lwowskich domów te żwawo malowane, zawsze wzorowe w podobień-

Marcel Maszkowski, Portret
matki artysty [nr 49]



Jan Maszkowski, Portret Marcellego
Maszkowskiego [nr 40]





stwie „szwajkarty” o przedziwnym, jak ktoś powiedział, „uroku dokładności i suchości”. Jest ich wyżej tysiąca i nieraz płacze historyk starego Wiednia, że tu ugrzęzły. Szwajkart będzie malował bardzo długo, a zblednie dopiero i odpocznie w swoich Rykach z pojawieniem się Alojzego Rejchana. Rejchan – to pierwsze lwowskie nazwisko, pamiętne w dziejach plastyki polskiej. Zgoła nowe dla Polski rzeczy przywiózł z Rzymu młodzian o kruczonych, na ramiona spadających włosach: miękki jak aksamit koloryt i wypieszczoną, salonową układność. Rejchana nie pokusiła w Rzymie grandilokwencja nazareńczyków Overbecka i proroczy tupet Stattlera. Został w salonie, miał wędrować po Monsalwatach, i stał się rodzicem tych wszystkich znacząco uśmiechniętych pań w szalach kaszmirowych i wyfraczonych kawalerów z epoki *juste milieu*. Czym był dla Kongresu Wiedeńskiego Isabey, czym dla legendy napoleońskiej Vernet, tym jest dla Lwowa – Rejchan. Dla Lwowa tylko, czy może dla całego romantyzmu w ogóle? Nikt inny, tylko on jest kochankiem romantycznej damy, tej właśnie, którą tak dobrze znamy z pieśni i powieści. Oto hrabina Idalia z Fantazego, oto pani



Artur Grottger, Pojednanie [nr 65]

Dafnicka z VIII pieśni *Beniowskiego* i Denderowa z *Komediantów* Kraszewskiego, oto przeróżne kobietki z kwiatem we włosach i sakramentem w pierścionku, bohaterki „parafiańszczyzny”, uczesane w nioby i szyldkretowe grzebienie. Tak dobrze wychowanego malarza nie widziano dotąd we Lwowie, tak milutko nie nakładają farb ani krakowianie, ani warszawiacy, a przeto pieścił Lwów chłopaka o długich kędziorach, zowiąc go z miłą przesadą swym Lawrence, Daffingerem i Winterhalterem.

Zaczyna się jakoś ożywiać – choć z wolna i opornie – plastyka pod Wysokim Zamkiem. Jeszcze nie powymierali przyjezdni „kunsztmalerzy” i umieją dzięki rutynie utrzymać się na powierzchni. Lange pracuje szereg lat w dekoratorni teatru, dowcipny Machold utrzymuje się z karykatur, niezły rytownik Swoboda zarabia wiele u Fredrów, jakiś Czech Brsteńsky robi zdumiewająco dobre portrety, Auer produkuje obficie ryciny, a obok nich garstka zdolnych i marnych, ale po równi z głodu zdychających tubylców. Rytownik Tomaszewski ozdabia *Lwowianina*, pejzażysta Derdacki rzuca tysiące studiów martwej natury i drzew, które czuł znakomicie. Zdychają z głodu, bo trudno, aby wszystkim dopomógł jedyny prawie mecenas i patron sztuki we Lwowie Gwałbert Pawlikowski z Medyki, jak również trudno, aby wszystkich malować uczył pocziwy dzierżawca z Barszczowic – Jan Maszkowski. Panu dzierżawcy godzi się bardzo nisko pokłonić. Malarzem był bardzo przeciętnym, sztywnym w kolorycie i rysunku (ani go równać z Rejchanem lub choćby Szwajkartem), ale za to profesor zeń chyba najbardziej zasłużony ze wszystkich nauczycieli plastyki w pierwszej połowie wieku; tym bardziej, że ani Stattler w Krakowie, ani Brodowski w Warszawie zdolności nauczycielskich nie mieli. Z pomocą Stanów Galicyjskich otwiera Jan Maszkowski, kształcony w Rzymie i Wiedniu, szkołę rysunków przy Akademii politechnicznej. Z tej szkoły wyszły chluby Polski – Kossak i Grottger, dalej Raczyński, Lunda, Tepa i Młodnicki. Ten cichy i dobry człowiek miał snadź niezwykłą miłość sztuki i dar uczenia!



Henryk Rodakowski, Portret córki artysty, Marii Woźniakowskiej [nr 71]



W latach 1845–1850 lwowianie uczą się pilnie w Wiedniu. Zjechała tam znad Pełtwi cała kolonia. Jest Tępa z Leopolskim, Łobeski z Loefflerem i malują siarczyście, biorąc także udział w rewolucji wiedeńskiej, dopóki ich wszystkich w kozi róg nie zapędzi – Grottger. W latach najcięższej udręki i najzłośliwszych austriackich szykan rozpocznie się najpiękniejsza w dziejach doba sztuki lwowskiej, owo płodne, bujne i wspaniałe dwudziestolecie (1840–1867), w którym spod Wysokiego Zamku popłynie wieść krzepiąca, że mamy już malarstwo godne poezji, pójdą w świat pierwsze rysunki Grottgera i pierwsze akwarele Kossaka i pierwsze obrazy Rodakowskiego. A za przykładem Lwowa zaczęła malować Polska.

* Trudno pojąć dlaczego Wasylewski tak nisko ocenił architekturę starego Lwowa. Rynek lwowski ze swymi renesansowymi i barokowymi kamienicami nie ustępuje wcale krakowskiemu, mimo że odeń mniejszy rozmiarami, a oba swoim arcypolskim charakterem wybijają się ponad wszystkie inne w wielkich miastach kraju. Podobnie kościoły: gotycka katedra lwowska należy do czołowych świątyń polskiego średniowiecza, a kościoły bernardyński, dominikański i katedra św. Jura – bardziej kościelna niż cerkiewna w swej architekturze – stają w rzędzie najcenniejszych świątyń epoki nowożytnej. Do wymienionych można jeszcze dodać takie perły architektury, jak katedrę ormiańską, kaplicę Boimów, wieżę korniaktowską i cały szereg innych zabytków.

** ditto

Notka biograficzna Stanisława Wasylewskiego zawarta jest w CL 4/08 na III stronie okładki.

Jerzy Kapłon

TURYSTYKA W KARPATACH WSCHODNICH (2)

*Dokończenie cz. II z poprzedniego numeru
(CL 1/09)*

Towarzystwo Tatrzańskie i Polskie Towarzystwo Tatrzańskie w Karpatach Wschodnich (1873–1939)

Zadaniem najważniejszym, jakim rozpoczął okres swojej świetności Oddział Lwowski PTT, było rozpoczęcie w 1923 r. wydawania „Wierchów” – w miejsce „Rocznika PTT”. Wydawane z inicjatywy Jana Gwalberta Pawlikowskiego stały się nie tylko miejscem lokowania sprawozdań o działalności PTT i jego oddziałów terenowych, lecz forum wymiany informacji o górach – w wielu przypadkach bezcennym źródłem wiedzy, która nie dotrwałaby do dnia dzisiejszego bez zapisów właśnie w „Wierchach”. Nawiasem mówiąc, „Wierchy” wydawane są do dnia dzisiejszego przez Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze, w pełni zachowujące zarówno tradycję, jak i wysoki poziom merytoryczny.

Duże znaczenie dla rozwoju terenowych oddziałów Towarzystwa miała ogólna sytuacja, jaka zaistniała w strukturach Towarzystwa po I wojnie światowej. Powstanie niepodległego państwa polskiego, entuzjazm związany z odzyskaniem niepodległości, fala reform i dążenia do szybkiego podniesienia poziomu gospodarczego mobilizowały społeczeństwo. PTT nie mogło nie włączyć się do tego nurtu. Aby PTT mogło intensywnie się rozwijać, musiało rozbudować swoje struktury, tak aby dać możliwość lokalnym działaczom pracy u podstaw, bez konieczności uzgadniania wszelkich poczynąń z centralą Towarzystwa. Opór przed reformami, w wyniku których powstające terenowe oddziały Towarzystwa miałyby uzyskać nieco samodzielności i wpływu na losy turystyki górskiej, był w strukturach PTT (od 1920 r. już *Polskie TT*) bardzo duży. W wyniku podjętych starań

doszło do zmian, które zaowocowały uchwałami zmieniającymi statut na Walnym Zjeździe 10 XII 1922 r. Znamienny był artykuł Romana Kordysa w „Wierchach”, mówiący o koniecznej reformie zasad działalności PTT i o nowych możliwościach kreowania działalności przez jego oddziały¹. Takie podejście do prowadzonej działalności doprowadziło w krótkim czasie do znacznego rozwoju oddziałów. I tak, jeśli na Walnym Zjeździe Delegatów PTT 22 IV 1923 r. było reprezentowanych 12 oddziałów, to w rok później, 31 marca 1924 r., było już ich 16, a rozpoczęły się prace nad wszczęciem działalności przez następne – w tym górnośląski². Co więcej – zaczynały one świadomie koordynować swoją działalność – w r. 1923 oddziały wschodniokarpackie powołały do życia wspólną komisję mającą za zadanie koordynację prac związanych z zagospodarowaniem gór³. Powołany od nowa do życia w 1921 r. Oddział Lwowski, prócz zajęcia się wydawnictwem „Wierchy”, rozpoczął intensywną działalność górską. Zarząd – pracujący pod przewodnictwem Romana Kordysa – prezesa, Adama Lenkiewicza – wiceprezesa, Stefana Mierzejewskiego – sekretarza, Stanisława Czołowskiego – skarbnika i 7 innych członków – brał udział w opracowaniu nowego statutu PTT oraz prowadził prace mające na celu odbudowę oddziału. W roku 1922 Oddział liczył 134 członków (w tym 34 studentów), co stanowiło wzrost o 13 osób w stosunku do roku poprzedniego. Prócz tego w pracach oddziału uczestniczyło 32 uczniów, którzy formalnie nie mogli być członkami stowarzyszenia. Urządzono 6 wycieczek zbiorowych (w tym w Tatry, Gorgany i na Czarnohorę). W celu wsparcia akcji odczytowej zarząd oddziału zakupił wspólnie z Karpackim Towarzystwem Narciarzy (KTN) urządzenie do wyświetlania diapoztywów. Zarząd Oddziału planował budowę własnego schroniska – ale wobec braku możliwości w r. 1922 przystąpienia do budowy – oddział wsparł finansowo budowę schroniska KTN w Sławsku, w którym uzyskał ulgi dla członków Oddziału na warunkach podobnych jak dla członków KTN, lecz w okresie letnich wycieczek, tj. od 15 kwietnia do 31 października. Na Walnym Zgromadzeniu Oddziału w kwietniu 1923 r. wybrano prezesem Alfreda Chybińskiego⁴, zastępcą został Adam Lenkiewicz, sekretarzem – Adam Tomaszewski, zastępcą sekretarza – Władysław Niedenthal, skarbnikiem – Stanisław Czołowski.

Członkami zarządu zostali: Zygmunt Czerny, Mieczysław Kistryn, Zygmunt Klemensiewicz, Roman Kordys, Roman Loteczka, Rudolf Nałęcki, Jan Gwalbert Pawlikowski, Antoni Wróblewski. W roku tym Oddział liczył prawie 150 członków i prócz akcji wyjazdowej (16 wycieczek) wsparł budowę schroniska KTN w Sławsku kwotą 1 500 000 marek i 20 zł) oraz pod Chomiakiem (również kwotą 20 zł).

W sprawozdaniu z działalności Oddział poinformował w „Wierchach”, że posiada Koło w Przemyśle (na czele którego stał p. Zagórski)⁵. W 1924 roku Oddział Lwowski urządził kolejne wycieczki w Karpaty Wschodnie, doprowadził do wydania III tomu „Wierchów”, także wydrukował statut PTT wraz z wzorcowym statutem oddziałów. Zaplanowano budowę schroniska w górnej dolinie Łomnicy, dokumentację sporządzili prof. Adam Lenkiewicz i Maksymilian Dudryk. Sfinalizowano prace nad drukiem mapy Gorganów prof. Lenkiewicza w podziałce 1:100 000. W roku następnym Oddział organizował nadal liczne wycieczki, głównie w Karpaty Wschodnie i w Tatry. Jednocześnie Adam Lenkiewicz rozpoczął starania o budowę schroniska oddziałowego w Gorganach Zachodnich. Planowano jego budowę w okolicy Osmoły, wg dokumentacji opracowanej przez tych samych autorów. Wystąpiono o dotację do Ministerstwa Robót Publicznych i Ministerstwa Rolnictwa. W roku 1925 Oddział liczył już 250 członków, ale w 1926 r. liczba opłacających składki spadła do 144. W październiku 1926 r. zakończono prace budowlane przy schronisku na Jali w Gorganach⁶.

Lata trzydzieste ubiegłego wieku to bujny rozkwit działalności turystycznej w Karpatach Wschodnich. Realizowana ze wsparciem władz, prowadziła do zagospodarowania turystycznego tych gór wzdłuż osi Głównego

Widok z Howerli,
fot. Jan Walczewski





Szlaku Karpaciego, któremu na Walnym Zjeździe PTT w Stanisławowie 23 VI 1935 roku nadano imię Marszałka Józefa Piłsudskiego⁷. W październiku 1932 r. Oddział oddał do użytku schronisko u źródeł Świcy w Gorganach oraz założył koła miejscowe w Przemyślu i Iwoniczu⁸, a w 1934 r.

schron na polanie Ruszczyzna pod Sywulą. Pod koniec 1939 r. Oddział Lwowski zarządził siecią ok. 600 km szlaków górskich. Działalność po I wojnie światowej podjął również Oddział w Kolumni. W r. 1922 liczył 183 członków, w 1923 przybyło 57⁹. Na rok 1923 – ustalono składkę w wysokości 3 000 000 Mk, zakupiono i zwieziono na plac budowy drewno. Odbudowa miała zostać zrealizowana wg dokumentacji przygotowanej bezinteresownie przez inż. Wolańskiego¹⁰. Rok 1924 w Oddziale Czarnohorskim nie ułożył się pomyślnie. Nie udało się rozpocząć budowy schroniska pod Zaroślakiem – warto jednak podać skład ówczesnego zarządu oddziału: Henryk Hoffbauer – prezes honorowy, Franciszek Piątek – przewodniczący, Marceli Szindler – zastępca przewodniczącego, Ignacy Śnigowski – sekretarz, Wilhelm Szindler – skarbnik i 5 członków¹¹. W 1925 roku oddział liczył 75 członków i rozpoczął odbudowę Dworku Letniego w Worochcie, prezesem był Franciszek Piątek¹². Lata trzydzieste to nie tylko troska o schroniska w Worochcie, ale i budowa oraz pozyskiwanie schronów w lokalizacjach odległych od istniejących miejsc noclegowych, takich jak pod Popadą Czywczyńską, w Burkucie, w Szybenem, w dolinie Popadyńca, na Bałagule.

Z inicjatywy Igora Czajkowskiego 14 IX 1923 r. odbyło się spotkanie komitetu założy-

cielskiego Oddziału Stanisławowskiego PTT, który pracując już w okresie przed I wojną światową, w 1892 roku zaniechał działalności – pierwsze Walne Zgromadzenie odbyło się 18 grudnia 1923 r. z udziałem ponad 200 członków. Pierwszym przewodniczącym został wybrany Adam Raczyński, funkcję jego zastępcy objął Antoni Fierich, Igor Czajkowski został sekretarzem, a Tadeusz Kosiba skarbnikiem. Prócz nich członkami zarządu zostali płk Wźaliński, insp. kol. Buergeł, p. Petelenzowa, inż. Makulski, prof. Stamper, inż. Petelenz, inż. Lewicki, por. Dyńko¹³. W 1924 r. Oddział wyznakował szlaki turystyczne z Podleśniowa na Chomiak, na Liszniów, na Jawornik, na Syniak, z Żeńca na Jawornik¹⁴. W 1925 roku Oddział Stanisławowski prowadził intensywne prace znakarskie w Gorganach i Czarnohorze, a także zaangażował się w znaczący sposób w budowę schroniska na Zaroślaku pod Howerlą¹⁵. Schronisko zostało otwarte uroczystie w czerwcu 1926 r.

Lata trzydzieste, podobnie jak i w przypadku Oddziału Lwowskiego, to bujny rozkwit działalności turystycznej Oddziału Stanisławowskiego. Powołano liczne koła terenowe – w tym w Nadwórnej, Jaremczu, Mikuliczynie, Worochcie, Kałuszu, Dolinie, Skolem (które w 1931 r. przeszło do Oddziału w Drohobyczu) i Kosowie (które w 1931 r. przeszło do Oddziału Czarnohorskiego PTT). W roku 1932 Oddział oddał do użytku schronisko na Przełęczy Tatarskiej oraz rozpoczął budowę schroniska pod Chomiakiem. Do poprzednio wymienionych kół terenowych doszły kolejne: w Bitkowie, Delatynie i Sołotwinie¹⁶. Na koniec 1938 r. Oddział zarządził siecią ponad 900 km szlaków górskich¹⁷.

W czerwcu 1930 r., celem zagospodarowania części Bieszczadów od Sanu po Opór, powołany został Oddział Drohobycko-Borysławski PTT. Oddział rozpoczął prace znakarskie oraz związane z pozyskaniem bazy noclegowej dla ruchu turystycznego. Już w 1930 r. dysponował obiektami pod Czarną Górą i pod Ciuchowym Działem, ulokowanych w dzierżawionych obiektach¹⁸, w 1933 otworzył nowy obiekt pod Paraszką, wybudował na Trościanie i zakupił parcelę w Sławsku w celu budowy następnego obiektu¹⁹, w 1934 wykupił obiekt w Malmanstalu, a w 1935 w Orowie pod szczytem Ciuchowego Działu²⁰. 28 IV 1935 r. odbyło się Walne Zebranie założycielskie przekształcające Koło w Kosowie w samodzielny Oddział

PTT. Na czele Oddziału stanął Oskar Fiszer. Oddział objął od fundacji hr. Skarbka domki w Popadyńcu i Bałtagule, tworząc w nich schroniska, oraz zbudował dwa schrony: pod Babą Ludową i pod Skupową²¹. W 1937 roku rozpoczął budowę nowego, dużego i nowoczesnego obiektu w Burkucie, który w 1939 roku stał już pod dachem²².

* * *

PTT do końca okresu międzywojennego prowadziło intensywne prace związane z zagospodarowaniem Karpat Wschodnich. Zakończenie tej działalności miało niezwykle charakter. W aktach Centralnego Archiwum Turystyki Górskiej PTTK w Krakowie znajdujemy dokumenty szczególnej wartości: list Michała Sobolewskiego, ustępującego członka Zarządu PTT do prezesa Towarzystwa – prof. Walerego Goetla z dnia 25 kwietnia 1945 r. oraz Protokół Nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia PTT, które odbyło się 15 IX 1939 r. w lokalu Oddziału Lwowskiego PTT we Lwowie. Miało ono bardzo poważny przebieg i charakter, starano się o zachowanie wymogów statutowych, w tym obecności wymaganej statutem delegatów. W sumie było 12 członków Zarządu Głównego oraz dwóch przedstawicieli Prezydium. Stwierdzono, że w wyniku działań wojennych oddziały wschodniokarpackie oderwane zostały od oddziałów zachodnich PTT i Zarządu Głównego. Celem zachowania legalności działań PTT postanowiono dokonać takiej reorganizacji Towarzystwa, aby mogło funkcjonować pod nieuchronną okupacją niemiecką. Postanowiono między innymi o: rozszerzeniu działalności na cały obszar turystyki, niekoniecznie związany z górami, zmianie nazwy na Powszechne Towarzystwo Turystyczne z zachowanym skrótem PTT, przejęciu majątku po poprzednim PTT, jako że nowe PTT miało być kontynuatorem prawnym poprzedniego. W skład nowego zarządu weszli: Wacław Majewski (prezes), Adam Lenkiewicz (wiceprezes), Włodzimierz Pańków (wiceprezes), Janusz Czajkowski (sekretarz), Benedykt Fuliński, Stanisław Pudło, Tadeusz Kołaczek, Włodzimierz Lipecki, Julian Rogulski, Eugeniusz Mielnik, Oskar Frezer, Michał Sobolewski. Głównym zadaniem prócz kontynuacji działalności było zachowanie majątku.

Oczywiście nikt nie zdawał sobie sprawy, jak potoczą się losy Kresów po wejściu Rosjan na te tereny. Jak podaje w swoim liście Michał

SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- HISTORYCZNY

LWÓW – ULICE I PLACE STAREGO MIASTA (ŚRÓDMIEŚCIA)

Nazwy oraz obiekty i ich przeznaczenie wg stanu z lat międzywojennych

Cz. 2. – otaczające (w kolejności sytuacyjnej)

Gołuchowskich pl. Powstał z pocz. XIX w. przy narożu pln. i zach. granicy Starego Miasta, obok miejsca, gdzie znajdował się Niski Zamek i gdzie później zbudowano gmach Skarbka. Plac G. zarazem zamyka ciąg Wałów Hetmańskich, ograniczających Stare Miasto od zachodu. Na środku placu stoi wzniesiony na przeł. XIX/XX w. Teatr Wielki. Pln. stronę placu zamyka ciąg pl. Krakowski – ul. Kazimierzowska.

Hetmańska, została wytyczona od pl. Gołuchowskich do pl. Mariackiego, w pasie między Pełtwią, a dawnym przedpoiem zachodnich murów obronnych miasta, po ich zburzeniu przez Austriaków z końcem XVIII w. Pełtew na tym odcinku została przesklepiona w połowie XIX w., dzięki czemu powstał skwer nazwany – od stojącego tam od 1858 r. pomnika hetmana Stanisława Jabłonowskiego – Wałami Hetmańskimi (pomnik został w latach 1930. przeniesiony na pl. Trybunalski – zob.). Opisywana ulica nazywała się do r. 1871 Hetmańską Wyższą, w odróżnieniu od Niższej po drugiej stronie Pełtwi (zob. ul. Legionów). Przy ul. H. – po stronie Starego Miasta, idąc od pl. Mariackiego – stoi kościół Jezuitów (tyły), gmach dawnego Urzędu Skarbowego oraz Muzeum Przemysłu Artystycznego. Na skwerze Wałów Hetmańskich, naprzeciw pl. św. Ducha (zob.) stał do końca II wojny pomnik króla Jana III Sobieskiego (obecnie w Gdańsku).

Legionów, biegnie równolegle do ul. Hetmańskiej (zob.), po drugiej (zach.) stronie Wałów Hetmańskich, od pl. Gołuchowskich do pl. Mariackiego. Pierwotnie była zapewne drogą wzdłuż Pełtwi, a z pocz. XIX w. stała się ul. Hetmańską Niższą. W 1871 r. przemianowana przez Austriaków na ul. Karola Ludwika i nazwa ta utrzymała się do końca I wojny światowej, gdy nazwano ją Legionów. W zachodniej pierzei ulicy L. stoją liczne banki i hotele (zob. pl. Mariacki).

Sobolewski, podjęte starania o zachowanie majątku i ciągłości działań nie przyniosły rezultatu. On sam rozpoczął w październiku 1939 roku pertraktacje z władzami sowieckimi o zachowanie majątku i kontynuacji działalności Oddziału PTT w Stanisławowie. Na skutek tych działań został wyznaczony jako komisaryczny zarządca, zobligowany do przekazania majątku Urzędowi Wychowania Fizycznego – tzw. Fizykultury, w tym jednak czasie schroniska PTT były już prawie całkowicie zniszczone²³.

Ciąg dalszy (część III) w następnym numerze

PRZYPISY

- ¹ „Wierchy”. Wydany staraniem Oddziału Lwowskiego PTT, rocznik 1, Lwów 1923, s. 245.
- ² Ibidem, rocznik 2, Lwów 1924, s. 238.
- ³ Ibidem, s. 239.
- ⁴ Ibidem, rocznik 1, Lwów 1923, s. 273.
- ⁵ Ibidem, s. 247.
- ⁶ „Wierchy”. Organ PTT, rocznik 4, Lwów 1926, s. 216, 217.
- ⁷ Sprawozdanie z działalności Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Krakowie za okres 1 IV 1935 – 31 III 1936, s. 5.
- ⁸ Ibidem – za okres 1 IV 1932 – 2 IV 1933, s. 62, 63.
- ⁹ „Wierchy”. Wydany staraniem Oddziału Lwowskiego PTT, rocznik 2, Lwów 1924, s. 246.
- ¹⁰ Ibidem, s. 242.
- ¹¹ „Wierchy”. Organ PTT, rocznik 3, Lwów 1925, s. 304.
- ¹² Ibidem, rocznik 4, Lwów 1926, s. 215.
- ¹³ „Wierchy”. Wydany staraniem Oddziału Lwowskiego PTT, rocznik 2, Lwów 1924, s. 248.
- ¹⁴ „Wierchy”. Organ PTT, rocznik 3, Lwów 1925, s. 309, 310.
- ¹⁵ Ibidem, rocznik 4, Lwów 1926, s. 219.
- ¹⁶ Sprawozdanie... za okres 1 IV 1932 – 2 IV 1933, s. 66–68.
- ¹⁷ Ibidem – za okres 1 I 1938 – 31 XII 1938, s. 82.
- ¹⁸ Sprawozdanie Zarządu Głównego Oddziałów, Kół i Sekcyj PTT w Krakowie ... za czas 1–31 marca 1931, s. LXXVI.
- ¹⁹ Sprawozdanie z działalności PTT w Krakowie za okres 3 IV 1933 – 31 III 1934, s. 46, 47.
- ²⁰ Ibidem – za okres 1 IV 1935 – 31 III 1936, s. 56.
- ²¹ Ibidem, s. 60, 61.
- ²² Władysław Krygowski, Dzieje Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Wydawnictwo PTTK Kraj, Warszawa–Kraków 1988, s. 120.
- ²³ Jerzy Kapłon, Zakończenie działalności oddziałów Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego na Kresach Wschodnich, „Wierchy” nr 59, COTG Kraków 1993, str. 172–175.

SYLWETKI

DWIE LINIE ŻYCIA

**Prof. dr Jan Ernst –
praca naukowa i działalność artystyczna**

Te dwa nurty wymienione w tytule wspomnienia towarzyszyły Profesorowi Janowi Ernstowi przez całe życie, rywalizując ze sobą i uzupełniając się wzajemnie i naprzemiennie ustępując sobie pierwszeństwa.

Profesor Jan Ernst, późniejszy wieloletni wykładowca geografii ekonomicznej na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, urodził się 12 stycznia 1909 r. we Lwowie. Był synem profesora astronomii Uniwersytetu Jana Kazimierza – Marcina Ernsta, i Heleny z Siemiątkowskich. W r. 1927 ukończył bernardyńskie X Gimnazjum Państwowe im. Henryka Sienkiewicza przy ul. Wąlowej 19. Jednocześnie z nauką w gimnazjum rozpoczął w 1925 r. naukę gry na fortepianie u Marii Sołtysowej w lwowskim Konserwatorium Muzycznym, które ukończył dyplomem w 1930 r. Studia geograficzne odbył w latach 1927–1932 na UJK, uzyskując tytuł magistra. W początkowym okresie studia te przebiegały pod kierunkiem wielkiego polskiego geografa prof. Eugeniusza Romera, a później jego ucznia, prof. Augusta Zierhoffera. Temat jego pracy magisterskiej to: *Podział Polski na rejony geograficzno-rolnicze*. W 1937 r. otrzymał tytuł doktora filozofii – jako ostatni doktorant profesora Eugeniusza Romera. Tematem pracy doktorskiej były *Niektóre zagadnienia z geografii rolniczej Podola*.

Na ukształtowanie jego bujnej i wszechstronnej osobowości niewątpliwie wielki wpływ miała unikalna, niezapomniana atmosfera naukowego i artystycznego Lwowa, a także bogate życie towarzyskie i przynależność do akademickiej korporacji „Leopolis”. Podczas studiów współpracował jako kompozytor piosenek z akademickimi teatrykami kabaretowymi „Nasze Oczko” i „Wesoły Ul” i w początkowym okresie z twórcami słynnej audycji Polskiego Radia pt. „Wesoła lwowska fala”.

W lutym 1931 r. przyjmuje artystyczny pseudonim *Erjan* i tworzy własny zespół wokalny, czwórkę rewelersów nazwaną Chórem Erjana. Chór ten przetrwał (oczywiście w wy-

mieniającym się składzie) 35 lat (do roku 1966), ciesząc się olbrzymią sympatią melomanów. Miał w swoim repertuarze 200 piosenek, w tym 106 jego kompozycji. O poziomie Chóru Erjana niech świadczy fakt, że w pewnych okresach kwartety zawodowe, takie jak np. warszawski Chór Juranda, były złożone w całości z byłych członków jego zespołu, a w Chórze Dana było ich dwóch, a więc połowa. Chór Erjana nagrał wiele płyt w wytwórniach: „Columbia”, „Odeon”, „Syrena-Elektro”, później „Pronit” i „Muza”.

Pomimo tego dużego zaangażowania w działalność artystyczną Jan Ernst nie zaniedbuje pracy naukowej. W latach 1933–1937 był asystentem w Instytucie Geografii UJK. W roku 1937 odbył dwumiesięczny kurs studiów międzynarodowych w Genewie oraz otrzymał roczne stypendium wymienne rządu włoskiego w Rzymie. Poznał tam na balu kostiumowym w konsulacie polskim Zofię



Kostanecką, przyszłą swoją żonę i późniejszą znakomitą tłumaczkę języków obcych. We wrześniu 1938 r. został powołany jako wybitny specjalista do pracy w Głównym Urzędzie Statystycznym w Warszawie. W tym też roku, w dniu 15 października zawarł ślub w kościele Karmelitów w Warszawie.

Roczną służbę wojskową rozpoczął we wrześniu 1932 r. w kompanii podchorążych 19. pułku piechoty 5. dywizji na Cytadeli. Po odbyciu tej służby otrzymał stopień podchorążego i przydział do 19. pułku piechoty „Odzieczy Lwowa”. Kampanię wrześniową 1939 r. odbył jako dowódca plutonu karabinów maszynowych w 3. batalionie tego pułku, który w dniu 1 września wyruszył na front. Było to ostatnie pożegnanie Jana Ernsta ze Lwowem. W nocy 12/13 września przechodzi ze swym oddziałem chrzest bojowy. 19. września zostaje ranny w walce pod Płockiem. Przebywa w szpitalu w Łodzi. Udaje mu się uniknąć nie-

Mariacki pl. jest urbanistycznym punktem węzłowym między Wałami Hetmańskimi a dalszym ciągiem placów: Halickim i Bernardyńskim; wybiegają zeń ponadto w kierunku pld.zach. i pld. ważne ulice: Kopernika, Akademicka i Batorego. Plac powstał w narożniku pld.zach. Starego Miasta z pocz. XIX w. na miejscu zburzonych przez zaborców austriackich murów miejskich. Pierwotnie jego środkiem płynęła Pełtew, skanalizowana w latach 1840. Na początku plac nosił nazwę arc. Ferdynanda, dopiero w r. 1871 zyskał nazwę Mariackiego od posągu Matki Boskiej, ustawionej na studni na środku placu (1862). W r. 1905 studnię tę i statuę przeniesiono na skraj placu i Wałów Hetmańskich, a na środku placu stanął pomnik A. Mickiewicza (w 50-lecie jego śmierci). Przy placu stoją ponadto: Hotel George’a i dwa inne (dawnie Europejski i Francuski), monumentalna kamienica Sprechera oraz kilka innych, w których znajdowały się banki oraz ekskluzywne sklepy i lokale, tworząc z pl. M. – podobnie jak ul. Legionów i Akademicka centrum życia społecznego elity miasta.

Halicki pl. jest jednym z ciągu placów, zamykających dziś Stare Miasto od południa – położony między pl. Mariackim a Bernardyńskim u wylotu ul. Halickiej, biegnącej od Rynku. Zajął miejsce po zabudowaniach bramy Halickiej oraz murów obronnych, zburzonych przez Austriaków w trakcie likwidacji murów miejskich oraz ich przedpola. Część przedpola została na przeł. XIX/XX w. zabudowana, jednak najbardziej wartościowa architektonicznie jest otwarta ku placowi południowa pierzeja ul. Wałowej (zob.). Po drugiej stronie placu stoi dawny pałac barokowy, nazywany pałacem Biesiadeckich lub Bielskich (od nazwisk kolejnych właścicieli), użytkowany jeszcze przed I wojną światową na urzędy wojskowe.

Bernardyński pl. powstał, podobnie jak inne place i ulice okalające Stare Miasto, z pocz. XIX w., po zburzeniu murów miasta – tu, w szczególności, fortyfikacji klasztoru Bernardynów. Plac B. składa się z dwóch niekształtnych części: zachodniej, położonej przed frontem kościoła Bernardynów i będącej przedłużeniem pl. Halickiego, oraz części trójkątnej, położonej wzdłuż kamienic zbudowanych na miejscu dawnych fortyfikacji, dochodzącej do ul. Piłsudskiego (Pańskiej – zob.). Od południa plac zamyka rząd kamienic oraz wejście na plac targowy między budynkami; niegdyś była tam hala targowa o żelaznej konstrukcji. Przed frontem kościoła stoi XVII-wieczna kolumna, na której mieściła się rzeźba św. Jana z Dukli, zdjęta przez sowietów.

Piłsudskiego jest częścią dawnej, długiej ul. Pańskiej, która ciągnęła się od pl. Bernardyńskiego w dwie strony: Pańska Niższa, w kierunku pld. aż do ul. Zielonej, oraz Pańska Wyższa, w kierunku pln. aż do ul. Teatyńskiej, dzieląc się znowu na dwa odcinki:

woli. Okupację przeżył wraz z żoną i synami Krzysztofem i Tomaszem częściowo w Warszawie i częściowo w majątku krewnych żony w Zielonej Dąbrowie koło Częstochowy, jako pianista zarabiając na utrzymanie grą w kawiarniach.

Po wyzwoleniu, po krótkim pobycie w Łodzi i powołaniu na nowo do życia Chóru Erjana, w 1946 r. wraca do Warszawy. Pracował w Państwowej Centrali Handlowej, Centralnym Urzędzie Planowania, Głównym Urzędzie Planowania Przestrzennego oraz Instytucie Urbanistyki i Architektury. Od 1950 r. wraz z Chórem wznawia działalność artystyczną w Domu Wojska Polskiego.

W latach 1957–1959 zajmował się problematyką Sekcji Skandynawskiej w Instytucie Spraw Międzynarodowych, uzyskując w 1959 r. stopień docenta. W latach 1962–67 kierował Redakcją Geografii w Państwowym Wydawnictwie Naukowym, gdzie zainicjował wydanie 5-tomowej Wielkiej Geografii Powszechnej oraz 4-tomowego wyboru prac Eugeniusza Romera. W 1959 r. rozpoczął pracę na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie w Katedrze Geografii Ekonomicznej. Od 1962 do 1966 r. przez dwie kadencje pełnił funkcję dziekana Wydziału Biologii i Nauki o Ziemi. Do Lublina dojeżdżał z Warszawy. W 1969 r. otrzymał tytuł profesora nadzwyczajnego, W 1964 r. objął kierownictwo Katedry, a później Zakładu Geografii Ekonomicznej, którym kierował do momentu przejścia na emeryturę w 1979 r. Będąc już emerytem, pozostał aktywny, opiekował się pracami naukowymi i prowadził wykłady zlecone dla geografów i ekonomistów. Był członkiem Polskiego Towarzystwa Geograficznego oraz członkiem honorowym Lubelskiego Towarzystwa Naukowego. Dorobek naukowy prof. dr Jana Ernsta obejmuje 28 publikacji. Pozostawił po sobie trwałe dorobek i wkład w dzieło popularyzacji geografii i kształtowania postaw. Wypromował 10 doktorów, a 380 studentów pod jego kierownictwem ukończyło prace magisterskie.

Był odznaczony Krzyżem Kawalerskim „Polonia Restituta”. W 1993 r. w Lublinie na ogólnopolskich obchodach 75. rocznicy Obrony Lwowa odznaczono go Złotą Odznaką Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Profesor Jan Ernst nie był formalnie członkiem naszego lubelskiego TMLiKPW. Odwiedzał nas natomiast towarzysko od pierwszych

lat powstania Oddziału. Szczególnie był częstym gościem prezesa Oddziału, prof. Władysława Stażki. Dzielił się z nami w licznych swych prelekcjach pamięcią o Lwowie. W roku 1990, jako świadek i uczestnik przedwojennego życia kulturalno-artystycznego Lwowa, czynnie i z wielkim zaangażowaniem, uczestniczył w przygotowaniach musicalu *Lwów semper fidelis*, w reżyserii lwowiaka Andrzeja Rozhina, granego w Lublinie w teatrze J. Osterwy przez wiele miesięcy przy stałym aplauzie publiczności.

W dniach 25–26 września 1993 r. w Lublinie brał czynny udział w uroczystych ogólnopolskich obchodach 75. rocznicy Obrony Lwowa. Podzielił się wówczas z ich uczestnikami epizodem, jaki najbardziej utkwił mu w pamięci z momentu zakończenia walk o Lwów w dniu 22 listopada 1918 r., gdy o 6 rano zerwały go ze snu wesole okrzyki dochodzące z podwórza domu, w którym wówczas „pomieszkiwał”, przy ul. Jakuba Strzemię 2, stojącego na południowym stoku Cytadeli. To ówczesny porucznik, a późniejszy generał Roman Abraham witał radośnie swojego wujka, oznajmiając o wyparciu Ukraińców z miasta. Zagrał nam Profesor jeszcze wówczas na fortepianie kilka swoich utworów z repertuaru Chóru Erjana. Niestety był to jego ostatni kontakt z nami. Zmarł równo miesiąc później 26 X 2003 r. w Warszawie.

Zapamiętałem Profesora jako człowieka o wysokiej kulturze, nienagannyh manierach, eleganckiego, bezpośredniego, o postawie z daleka sygnalizującej zdecydowaną osobowość, prawość i niekonfliktowość.

Andrzej Michałowski

OPRACOWANO NA PODSTAWIE:

- Jan Ernst – *Dwie linie życia*. Wydawnictwo Lubelskie. Lublin 1988
- *Księga Pamiątkowa Wydziału Biologii i Nauki o Ziemi Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 1995,
- *Lwowsko-kresowe korzenie wyższych uczelni Lublina*, Lublin 2000.

ANDRZEJ MICHAŁOWSKI, ur. 1938 we Lwowie. Sekretarz Oddziału TMLiKPW w Lublinie.

Dla pamięci warto zanotować, że prof. Jan Ernst – Erjan spotkał się z krakowskimi Lwowianami na jednym z comiesięcznych zebrań TMLiKPW w Kapitułarzu oo. Dominikanów 17 marca 1993 r.

MOJE LWOWSKIE DZIECIŃSTWO...

Dokończenie ze s. 42

trzeba się było zbierać do opuszczenia Lwowa, o czym dowiedzieliśmy się w lutym 1945 roku. W drodze do szkoły przechodziłam koło obozu otoczonego drutami kolczastymi, gdzie przebywali jacyś żołnierze – podobno jeńcy francuscy. Wołali do nas i wyciągali ręce, a my próbowaliśmy im rzucić nasze drugie śniadania, ale strażnicy odpędzali nas. Również do naszego domu przyjechała na kilka dni „kontrazwiedka” (kontrwywiad), przywoziła w furgonetce jakichś uwięzionych cywili i zamknęła ich w piwnicy. Wysuwali oni ręce poprzez kraty okienka, my usiłowaliśmy wrzucić im jedzenie, ale i tu strażnicy nas odpędzali. Po kilku dniach samochód kontrazwiedki z więźniami odjechał.

U państwa Kryweńczyków zamieszkała nowa wychowanka, Jadzia Jedynak. W kamienicy pojawiły się też 2 siostry Liepert: 14-letnia Wandzia i 6-letnia Basia. Pewnego dnia mama po powrocie ze szkoły oświadczyła, że zamieszkają u nas, w mieszkaniu po dozorczy, 2 siostry z ul. Krasińskiego. Ojciec ich zaginął na wojnie, a matkę aresztowano. Wanda z płaczem opowiedziała o tym w szkole i moja mama kazała im przyjść do nas, dała im opał i konserwy. Wanda dzielnie sobie radziła w tej sytuacji. Gdy nastąpiła wiosna, zaczęła wynosić na „krakidały” i sprzedawać różne rzeczy przyniesione z domu, m.in. obraz przedstawiający duchy siedzące na skałach. Z okładek zeszytów i sznurków robiła sandały dla siostry, które niestety szybko się dały... Opiekujący się trochę dziewczynkami dr Adam ze szpitala zakaźnego postanowił je zapisać na transport do Domu Dziecka w Polsce, ale stał się cud, bo wypuszczono z więzienia ich matkę. Uszczęśliwiona, że odnalazła córki, żałowała obrazu z duchami. Wielkimi wydarzeniami jednoczącymi mieszkańców ul. Tarnowskiego górnej było uczestnictwo w 2 pogrzebach: abp. Bolesława Twardowskiego w 1944 r. i prof. Stefana Banacha w 1945 r.

I tak nadszedł dzień naszego wyjazdu ze Lwowa, 28 września 1945 roku. Przyjechaliśmy na dworzec z pakami zbitymi z desek, w których znajdował się cały nasz dobytek.



Na jeden wagon towarowy przypadały 4 rodziny. Niestety okazało się, że bok wagonu jest już zastawiony jakąś zniszczoną otomaną i nasze paki nie zmieszczą się obok. Ojciec zaczął szukać właściciela otomany, niestety bezskutecznie... Wtedy wpadł na pomysł, żeby wystawić otomanę z wagonu, wstawić paki, a potem otomanę ustawić na wierzchu. Kazał tragarzom wynieść otomanę i wnosić paki i wtedy nadbiegł jej właściciel, wołając „gdzie moja kanapa”. Gdy ojciec wytłumaczył mu, co zrobił, i wskazał stojącą na peronie otomanę, właściciel pobiegł do niej i po chwili powiedział: „straciłem wszystko, co miałem”. Bok otomany był na całej długości przecięty. Co w niej przewoził – nie wiadomo. Właścicielem nieszczęsnej kanapy okazał się ks. Jan Stepa – profesor filozofii Wydziału Teologii UJK. Z filozoficznym spokojem nie powiedział ani słowa wyrzutu. Kiedy po pewnym czasie został biskupem tarnowskim, mój ojciec mówił: „Pan Bóg go wynagrodził za to, że tak się zachował”. I tak w deszczu i kłopotach odjechaliśmy ze Lwowa – miasta przyjaznych ludzi i zielonych wzgórz.

Co stało się z dziećmi z ul. Tarnowskiego górnej – małym batiarem Markiem Rečko i z dziewczynkami szukającymi „zabawek” na wysypisku śmieci? Wszyscy uzyskali wyższe wykształcenie. Marka spotkałam, gdy przygotowywał się do rozprawy habilitacyjnej. Przez około 10 lat po przyjeździe ze Lwowa prof. Marian Konopacki organizował wspólne wakacje lwowiaków, gdzie się spotykaliśmy. I choć czasem spotkania następują po wielu latach (jak np. z Oleńką Koss po 68), zawsze jesteśmy sobie bliscy. Ucieszyłam się, gdy słuchając w TV sprawozdania z obchodów 60. rocznicy obrony Murmańska, dowiedziałam się, że odznaczony został dr Onupryjenko – komendant szpitala polowego w Murmańsku, nasz „lokator” z 2 piętra.

KULTURA NAUKA

IMPRESJE LWOWSKIE

Zacząło się od czterodniowej wycieczki do Lwowa z końcem czerwca minionego roku. Wśród uczestników znalazła się 6-osobowa grupa z Klubu Seniora Klubu Akcji Katolickiej przy parafii św. Szczepana w Krakowie. Osoby niezwiązane z naszymi ziemiami po drugiej stronie jałtańskiego kordonu były ciekawe – co to za miasto, ten Lwów, które tak rozkochało swoich mieszkańców, że mimo konieczności opuszczenia go i upływu dziesiątków lat, darzą je wielką miłością i tęsknotą.

Ten krótki pobyt we Lwowie zafascynował ich bogactwem miasta w pamiętki historii i kultury polskiej. Po powrocie postanowiono podzielić się swoimi spostrzeżeniami i wrażeniami, tym bardziej że przeżycia z tych dni utrwalono na kilkuset fotografiach.

25 października '08 w Domu Parafialnym przy kościele św. Szczepana w Krakowie – w obecności Proboszcza, ks. prałata A. Waksmańskiego – p. Janusz Jandura, prezes oddziału Akcji Katolickiej, otworzył wystawę pn. *Impresje lwowskie*. Krótki zarys historii i kultury Lwowa jako wprowadzenie do wystawy wygłosiła p. Emilia Fedyk, a osobistymi spostrzeżeniami podzieliła się p. prof. Anna Cendrzak. Jej wypowiedź drukujemy niżej, w ramce

Emilia Fedyk

We Lwowie byliśmy po raz pierwszy i przez cztery dni zwiedzaliśmy to piękne miasto, o nadal wyczuwalnej tam aurze polskości. Mimo widocznych tam na każdym kroku rażących zaniedbań oraz mimo naszego oczywistego żalu i poczucia niesprawiedliwości dziejowej zostaliśmy tym miastem zafascynowani.

Przed wszystkim odebraliśmy piękne i ważne lekcje historii i patriotyzmu. I to zarówno w rozmowach z Polakami, u których mieszkaliśmy, jak i w czasie zwiedzania najpiękniejszych katedr i kościołów, wspaniałych obiektów dawnej polskiej architektury (Teatr Wielki, pałace,

Kronika

◆ **Profesor Jan Ostrowski**, dyrektor Zamku Królewskiego na Wawelu, został uhonorowany nagrodą im. Aleksandra Gieysztora, udzielaną za osiągnięcia w ochronie polskiego dziedzictwa kulturowego. Nagroda dla prof. Ostrowskiego została przyznana za *niezwykłe dzieło, wypełniające olbrzymią lukę w stanie wiedzy o polskiej kulturze*. Tyle podał w mediach PAP, jest jednak oczywiste, że chodzi o epokowe, nieporównywalne dokonanie, jakim są *Materiały do dziejów sztuki sakralnej*, dotyczące południowo-wschodnich województw II Rzeczypospolitej, wykonane przez Profesora wraz z kierowanym przezeń zespołem oddanych sprawie młodych ludzi, z ogromnym nakładem wiedzy, sił i kilkuletniej pracy. Dotychczas ukazało się 15 tomów *Materiałów*, w których zawarto ponad 400 opracowanych obiektów i zespołów.

Panu Profesorowi składamy gratulacje i najserdeczniejsze podziękowanie za ogromne i przykładowe dzieło, które oby znajdowało naśladowców wobec całej spuścizny polskiej kultury, nauki i cywilizacji powstałej przez wiele wieków na Ziemiach Wschodnich Rzeczypospolitej.

◆ Zamek Wawelski wzbogaca się corocznie o nowe przedmioty sztuki i pamiętki, pochodzące z zakupów, zapisów lub darów. W czerwcu br. ma zostać otwarta wystawa takich nabytków z ubiegłego roku, będziemy mogli więc w następnym numerze CL przedstawić wyczerpującą relację. Tymczasem przepisujemy z krakowskiego „Dziennika”

kamienice) oraz innych cennych, choć często zdewastowanych lub celowo zacieranych śladów naszej polskiej kultury i nauki.

Wzruszające były lekcje patriotyzmu na Wzgórzach Wuleckich, na Cmentarzu Łyczakowskim – tej wspaniałej, historycznej nekropolii polskiej, a wreszcie na „ponownie ocalałym” Cmentarzu Obrońców Lwowa.

Nie przestajemy zadawać sobie pytania, jak wyglądałoby dzisiaj to miasto *Semper Fidelis*, gdyby nie tragiczne zawirowania wojenne, zapoczątkowane w 1939 roku.

Anna Cendrzak

ka Polskiego” (z 17 IV '09) ciekawy dla nas fragment informacji:

*Wśród obrazów wyjątkową pozycję stanowią dwa pejzaże pędzla włoskiego malarza Alessandra Magnasco (1667–1749). Obrazy te są darem Wandy i Jerzego Wrońskich, krewnych **poprzedniego właściciela tych dzieł, wybitnego historyka sztuki Mieczysława Gębarowicza, profesora Uniwersytetu Jana Kazimierza i ostatniego dyrektora Ossolineum we Lwowie. Prof. Jerzy Wroński, ceniony malarz, członek Grupy Krakowskiej, przekazując dar Wawelowi, spełnił – jak podkreśla – wolę Mieczysława Gębarowicza.***

*Wśród kilku dzieł portretowych [...] dwa portrety nawiązujące do lwowskiego biedermeieru, autorstwa **Marcina Jabłońskiego, popularnego w XIX w. malarza lwowskiego, przedstawiają damę i mężczyznę w żupanie i kontuszu ze złotym haftem i takimiż naramiennikami. Ten zagadkowy strój – jak wstępnie poinformowano – to prawdopodobnie galicyjski mundur urzędniczy. Kim jest noszący ten ubiór mężczyzna, jeszcze nie wiadomo.***

◆ Na początku kwietnia odbyła się w Krakowie promocja nowego albumu fotografii Adama Bujaka pt. *Skarby Bernardynów*. Pokazano tam po raz pierwszy wszystkie unikatowe zabytki, jakie posiadają Bernardyni w swych klasztorach w Polsce. Podczas promocji **wystawiono zabytkową Gólgotę, namalowaną dla lwowskiego kościoła Bernardynów** przez Tadeusza Popiela w 1911 r. Obraz ten, obecnie po konserwacji, był dawniej wystawiany jako tło Bożego Grobu u Bernardynów we Lwowie, obecnie – w Krakowie.

Kraków, jak wiemy, jest bogaty w zabytki różnego rodzaju. Okazuje się jednak przy dość licznych okazjach, że przechowywane tu od II wojny lwowskie zabytki (nie tylko bernardyńskie) nie ustępują tym krakowskim, a czasem przewyższają. O ich lwowskiej polskości pamiętajmy wszyscy – krakowianie oraz lwowscy ekspatrianci i ich potomni.

Niedawno poruszaliśmy podobny problem: Cudownego Obrazu Matki Boskiej Łaskawej z Katedry lwowskiej.

do ul. Łyczakowskiej (pl. Clowego – zob.), wzdłuż częściowo zachowanych murów bernardyńskich, oraz dalej – ponad tzw. Wałami Gubernatorskimi. Ten ostatni odcinek otrzymał w 1871 r. nazwę ul. Czarnieckiego (zob.), reszta zachowała nazwę Pańskiej do lat po I wojnie światowej, kiedy nadano jej miano. J. Piłsudskiego. Nazwę Pańskiej nosiła ta ulica ze względu na fakt, iż w okresie XIX-wiecznej rozbudowy Lwowa ulicę tę uważano za jedną z najpiękniejszych i zamieszkała była przez ludzi zamożnych.

Clowy pl., powstały przed dawnym kościołem Klarysek (wcześniej Benedyktynek, z przełomu XVI/XVII w.), zbudowanym za murami miasta, na początku ul. Łyczakowskiej, odwiecznej arterii ze Lwowa w kierunku wschodnim. Kościół ten został po I rozbiorze zdesakralizowany i zamieniony na magazyny, zaś klasztor na komorę celną – stąd nazwa placu. Obecnie dawny kościół pełni rolę muzeum rzeźb J.J. Pinsla.

Czarnieckiego, dawna ul. Pańska Wyższa (zob. ul. Piłsudskiego), od 1871 r. pod nowym mianem. Poprowadzona po wsch. stronie pasa zieleni, tzw. Wałów Gubernatorskich, założona ok. r. 1820 r. na miejscu dawnych okopów na przedpolu wschodnich fortyfikacji miasta (zob. ul. Podwale). Ulica C. ciągnie się od ul. Łyczakowskiej (i pl. Clowego) aż do ul. Teatyńskiej, pokonując na ostatnim odcinku dużą różnicę wysokości. Zabudowę po stronie wsch. ulicy stanowi szereg ważnych obiektów, poczynając od Palacu Namiestnikowskiego – zwanego przed erą autonomiczną Gubernatorskim (stąd naza Wałów); budynek dawnego Namiestnictwa (w latach międzywojennych urzędu wojewódzkiego); na wzgórzu kościół Karmelitów (z poł. XVII w.), który – z uwagi na usytuowanie poza murami miasta – miał własną fortyfikację); Seminarium Duchowne obrz. łac.; kościół MB Gromnicznej (z poł. XVII w., zabrany na cerkiew), pałac arcybiskupi obrz. łac.

Podwale, ulica biegnąca na miejscu fortyfikacji miejskich po wsch. stronie miasta, a zarazem u stóp wałów ziemnych, usypanych ok. r. 1820 na przedpolu zburzonych murów i zwanych pierwotnie Wałami Wyższymi, później Wałami Gubernatorskimi (zob. ul. Czarnieckiego). Ul. Podwale nazywała się do 1871 r. ulicą Zbrojowni Wyższą i Niższą. Ulica ma w zasadzie zabudowę jednostronną – są to przede wszystkim dwa arsenały: Królewski, zbudowany w poł. XVII w., oraz Miejski, z połowy XVI w., a także tyły Cerkwi Wołoskiej (zob. ul. Ruska) oraz związana z nią renesansowa wieża tzw. korniaktowska (XVI–XVII w.). W obrębie plantacji założonych na Wałach Gubernatorskich powstała tzw. Baszta Prochowa z poł. XVI w., należąca do dawnych fortyfikacji miejskich. W latach międzywojennych miała znaleźć się tam makieta Lwowa z okresu

W CZĘSTOCHOWIE W PAŹDZIERNIKU '09

LWOWSKA SZKOŁA MEDYCyny I JEJ WPŁYW NA ROZWÓJ MEDYCyny POLSKIEJ

Kolejna uczelnia w RP podejmuje temat znaczenia Lwowa dla wielowiekowego rozwoju i osiągnięć polskiej nauki i kultury. W ramach całego ciągu sesji, które w ciągu szeregu lat odbywają się na uczelniach i w instytucjach krajowych – w Warszawie, Krakowie, Wrocławiu i innych miastach (ostatnio *Modernistyczny Lwów* na UW)

– obecnie w Częstochowie przygotowana jest konferencja naukowa na temat historii medycyny we Lwowie od czasów średniowiecznych po wiek XX.

Sesja, na którą złoży się kilkanaście referatów, odbędzie się w niedzielę 20 września 2009 od godz. 10 do 15 w Ratuszu przy ul. Biegańskiego. Wstęp wolny.

Organizatorami sesji są Towarzystwo Lekarskie Częstochowskie, Okręgowa Izba Lekarska w Częstochowie i VII Światowy Kongres Polonii Medycznej. Moderatorami będą: prof. Zbigniew Chłap z CMUJ i Stowarzyszenia „Lekarze Nadziei” Kraków, prof. Mieczysław Grzegocki z Lwowskiego Uniwersytetu Medycznego, prof. Igor Gościński z CMUJ i prof. Wanda Wojtkiewicz-Rok z AM w Warszawie.

Książki czasopisma

Nowe książki

📖 Ukazała się książka ważna. Nie czuję się kompetentna, by niniejszy tekst nazwać recenzją. Po zapoznaniu się z tą pracą – *Historią literatury kresowej* napisaną przez prof. **Bolesława Hadaczkę** – która według autora jest pierwszą próbą opracowania przedmiotu, przedstawia jego syntezę, a także może służyć jako podręcznik dla kilku grup odbiorców: nauczycieli, studentów, humanistów i kresowian – nie było mi łatwo uporządkować moje wrażenia. Zmieszczenie w jednym tomie na 420 stronach ogromnej ilości zwięzłych informacji o autorach, ich publikacjach, gatunkach literackich od klasycznych źródeł (bo są m.in. Gall Anonim, Długosz i Starowolski) po poezję, pamiętniki i beletrystykę, uszeregowanie całego opracowania chronologicznie, to nie

tylko przykład erudycji autora, ale również pewnego rodzaju misji by się z takim tematem zmierzyć. Jest to temat ogromny również geograficznie – I i II Rzeczpospolita, okupacje, PRL i Polska po 1989 roku. Na tym obszarze w różnym czasie historycznym powstała literatura kresowa, którą autor ujął w chronologiczny porządek rozdziałów, określając ją jako staropolską, oświeceniową, kresoromantyczną, pozytywistyczną, młodopolską, 20-lecia międzywojennego i kresową po 1939 roku. Podział chronologiczny oparł na tematycznych podrozdziałach, uwarunkowanych zróżnicowaniem tej literatury, stąd wprowadzone są np. takie określenia jak folklorizm i pejzażyzm kresowy. W sumie można odnieść wrażenie, że temat po prostu rozsadza objętość książki z racji zakresu treści, mimo jej zwięzłości. Z drugiej strony, na co zwrócił uwagę sam autor, literatura kresowa obejmuje utwory od wysoko- do niskoartystycznych.

Nasuwa się refleksja: czy przy tym ograniczeniu miejsca autor mógł zamieścić wszystkie pozycje reprezentujące atrybuty kresowości? Czy coś nie umknęło z jego pola badawczego? Poszczególne publikacje w formie krótkiej noty bibliograficznej zamieszczone zostały w przypisach rozdziałów, jako udokumentowanie ich treści. Może objętość książki spowodowała, że np. omawiając romantyków, wśród nich Z. Krasieńskiego, profesor nie wymienił jego głównego dzieła – *Nieboskiej Komedii*, gdzie



część akcji toczy się w znanym krajobrazie Kresów w Okopach Św. Trójcy.

Jeżeli chodzi o szczegóły, moje refleksje ograniczę do najbardziej interesującej mnie problematyki Lwowa, ze względu na wielowiekową i szczególną rolę tego miasta w historii i kulturze polskiej. Lwowską literaturę kresową autor umieścił głównie w okresie młodopolskim i dwudziestolecu międzywojennym. Stwierdził, że swoistym kolorytem lokalnym wyróżniała się Małopolska Wschodnia i Lwów. Wydaje się, że na udokumentowanie tego kolorytu w odniesieniu do literatury kresowej zamieszczony materiał wymaga uzupełnienia. Ani w tekście, ani w przedmiotowej bibliografii na końcu książki autor nie wspomniał żadnego tomu z serii Biblioteki Lwowskiej, w której m.in. publikowali tacy znawcy przedmiotu, jak Lucja Charewiczowa, Franciszek Jaworski i Aleksander Czołowski. Omówione przez autora utwory Hemara, Zbierzchowskiego, Makuszyńskiego, Wittlina i dialogi radiowe Szczepcia i Tońcia to nie cały lwowski pejzaż literacki. Od 1909 r. mieszkał we Lwowie czołowy poeta młodopolski Jan Kasprówicz, na trochę więcej uwagi zasłużyli wybitny w środowisku lwowskim krytyk Ostap Ortwin, poeta Tadeusz Hollender, a także Stanisław Wasylewski, autor poczytnych gawęd historycznych. Zabrakło nazwiska wielkiego znawcy i piewcy antyku, powieściopisarza Jana Parandowskiego. Profesor Hadaczek nie pominął Gabrieli Zapolskiej, ale zabrakło słynnej *Moralności pani Dulskiej*, gdzie akcja toczy się w lwowskim, a nie krakowskim domu.

Na koniec uwaga, która absolutnie nie umniejsza mego wielkiego uznania dla omawianej książki. Nie wiem, dlaczego Profesor, przy wszechstronności swojej wiedzy na temat Kresów, napisał, że we Lwowie Ukraińcy stwarzali tło obyczajowe, a Polacy wnosili wartości cywilizacyjne. Rzeczywistość była inna, bo i tło obyczajowe i wartości cywilizacyjne to była domena Polaków, z udziałem tych spolonizowanych nacji, wśród których pięknie zapisali się Ormianie, dodając owego smaku Orientu. (DN)

📖 Dopiero po 12 latach od wydania zdarzyła się nam okazja zapoznania się z niezwykle ważną książką – *Sylwetkami lwowskich historyków literatury*, autorstwa Jerzego

przedrozbiorowego, przygotowywana przez arch. Janusza Witwickiego (obecnie przechowywana we Wrocławiu). Drugim obiektem na Walach Gub. był gmach II Gimnazjum.

Strzelecka, krótka ulica łącząca ul. Krakowską i pl. Krakowski z pl. Strzeleckim (zob.), który powstał na pocz. XIX w., po wyburzeniu murów miasta, jako targowica drewna opałowego – stąd ulica nosiła do 1871 r. nazwę Drzewnej.

Strzelecki pl. Podłużny plac, rozciągający się po płn. stronie Starego Miasta, wzdłuż linii dawnych murów miejskich, łącząc ul. Podwale z ulicami Strzelecką i Kościelną, a dalej – z placem Krakowskim. W czasach przedrozbiorowych biegły w tym miejscu dwie linie murów obronnych, a między nimi znajdował się rów forteczny, użytkowany do 1775 r. jako strzelnica publiczna, sięgająca aż po wzgórze, gdzie dziś stoi pałac arcybiskupi. Po zburzeniu przez Austriaków po I rozbiórce murów obronnych, powstała tu zabudowa z ulicami Skarbkowską (zob.) oraz Strzelecką i Kościelną (obie zob.) oraz targowica drewna opałowego, czynna tu do 1871 r. (nowa strzelnica została wtedy urządzona przy ul. Kurkowej). Na przełomie wieków XIX/XX powstała przy placu *stacja ratunkowa* (pogotowie ratunkowe), otwarta w 1893 r., oraz *strażnica ogniowa* (pożarna), oddana do użytku w 1901 r.

Kościelna, krótka ulica biegnąca równolegle do ul. Strzeleckiej (zob.) i razem z nią powstała, łącząca pl. Krakowski z pl. Strzeleckim. Biegnie przy murze oporowym, nad którym (po stronie płn.) wznosi się kościół MB Śnieżnej, położony wyżej. Wąską ulicą K. przechodzi ważna dwukierunkowa trasa tramwajowa (zach.-wsch.), stwarzająca dziś problemy komunikacyjne.

Krakowski pl. powstał przed bramą Krakowską (stąd nazwa), która łączyła historyczne miasto z drogą w kierunku zachodnim (przez ul. Kazimierzowską, a dalej Gródecką i Kleparowską – na Przemysł i Kraków) oraz na północ (przez ul. Żółkiewską, Zamarstynowską). Brama i północne mury miasta zostały zburzone przez Austriaków w latach 1780., a plac stał się targowiskiem, zapelnionym kramami i straganami – tego charakteru nie stracił do II wojny światowej, popularnie zwany *krakidalami*. Szczególnego znaczenia nabrał plac K. za okupacji w czasie II wojny światowej, gdy lwowianie sprzedawali tu wiele ze swego dobytku. Jedyną budowlą na placu K. była niegdyś hala targowa o żelaznej konstrukcji, zbudowana w 1876 r., dziś nieistniejąca, a przy placu – na wzniesieniu – kościół MB Śnieżnej oraz gmach Skarbkowski (tyły).

ŹRÓDŁA: jak w CL 1/09

Starnawskiego (Wydawnictwo Uniwersyte-
tu Łódzkiego, Łódź 1997). Jakie nazwiska!
Wśród 22 omówionych uczonych wymień-
my kilku najbardziej znanych: Juliusz Klei-
ner, Wilhelm Bruchnalski, Jan Kasprowicz,
Jan Gwalbert Pawlikowski, Roman Pilat,
Edward Porębowicz, Ludwik Bernacki, Sta-
nisław Łempicki. Trudno też
pominąć Aleksandra Bruckne-
ra, choć we Lwowie spędził
zaledwie najmłodsze lata za-
wodowe, potem przeniósł się
na uniwersytet berliński. Au-
tor przedstawia drogi naukowe
wszystkich profesorów, oma-
wia osiągnięcia twórcze, spu-
ściznę i dzieła życia, ale także
kariery i człowiecze losy.



Swoją niezwykle ciekawą
i ważną książkę rozpoczyna Starnawski od
słów, które uznaliśmy jako wartościowe za-
pamiętania. Pierwszy akapit wstępu do książki prze-
drukujemy obok, w rubryce *Przeczytane*.
Krótki ten urywek tekstu wyjaśnia, jaka była
pozycja Lwowa w dziedzinie historii literatury.
I jeszcze drugi fragment wstępu zasługuje
na zacytowanie:

*Znakomita polonistyka lwowska, w któ-
rej zrodziła się tzw. lwowska szkoła filo-*

*giczna, owocująca do dziś na warsztacie
wnuków i prawnuków naukowych tak waż-
nego kierunku badań, winna otrzymać mo-
nografię pełną. „Makietę”, bardzo zaryso-
wą, ograniczoną limitem stronic, ogłosiłem
pt. „Zarys dziejów katedr historii literatury
polskiej w Uniwersytecie Lwowskim” [...].
Zdaję sobie sprawę z tego, że to nie dosyć.
Temat zasługuje na opasy tom. By jednak
taki tom powstał, konieczne jest gruntowne
przebadanie archiwalnych materiałów we
Lwowie, na co piszącemu te słowa w wieku
lat siedemdziesięciu trzech sił już nie wy-
starczy. Zdecydowałem się przeto na tom
o charakterze zbioru sylwetek uczonych nie
tylko w dziedzinie historii literatury polskiej.
Dlatego w tytule mowa jest o historykach li-
teratury bez przymiotnika „polskiej”. [...]*

📖 W poprzednim numerze (1/09) zamieści-
liśmy rozmowę z dwoma kadetami – senio-
rami ze Związku Kadetów II RP: prezesem
Klubu Regionalnego w Krakowie, p. Zeno-
nem Malikiem, oraz p. S. Kostkiewiczem.
Panowie wręczyli nam przy tej okazji cenne
wydawnictwo: ***Księgę Pamięci Kadetów
II Rzeczypospolitej***, wydaną przy pomocy
Rady Ochrony Pamięci WiM oraz Urzędu
ds. Kombatantów i Osób Represjonowa-

Przeczytane

Lwów był w ostatnich dziesiątkach lat
XIX w. i w czterech pierwszych dziesiątkach
lat wieku XX najważniejszym po Warszawie
miastem Polski; w granicach niepodległej
Polski był trzecim miastem co do wielkości.
Był od ogłoszenia autonomii Galicji aż do
momentu odzyskania niepodległości jedy-
nym miastem na ziemiach Polski mającym
status stolicy, choć nie była to stolica pań-
stwa udzielnego. Wszakże Galicja, germa-
nizowana przez Austriaków w pierwszej
fazie niewoli, była od ustanowienia auto-
nomii jedyną dzielnicą Polski rządzoną przez
Polaków, jedyną, w której istniała pełna
oświata w języku polskim, świetne były
na przełomie XIX i XX w. dwa uniwersy-
tety galicyjskie, doskonale były galicyjskie
gimnazja; Akademia Umiejętności działa-
ła w Krakowie, ale towarzystwa naukowe
poszczególnych dyscyplin powstawały we

Lwowie i tam obierały siedzibę zarządu
głównego; tworzone filie nazywane kołami
lub oddziałami w mniejszych i większych
miastach galicyjskich, z Krakowem włączy-
nie. W ten sposób w zakresie badań na-
ukowych Lwów stawał się niejako stolicą
całej Polski, promieniującą. Interesujące
ze wszech miar dzieje Uniwersytetu Lwow-
skiego, wskrzeszonego po pewnej przerwie
w pierwszej połowie XIX w., wyzwalanie się
uczelnii z niemieckiego języka wykładowe-
go, osiągnięcia jej w okresie, w którym nie
nazywała się jeszcze od założyciela swego
Uniwersytetem Jana Kazimierza, wreszcie
dzieje *almae matriis Leopoliensis* w latach
niepodległej Polski – to rzeczy znane tylko
ogólnie i wymagające jeszcze szczegóło-
wych badań. [...]

Pierwszy akapit wstępu autorskiego do
książki Jerzego Starnawskiego *Sylwetki lwow-
skich historyków literatury*, Łódź 1997

nych (Oficyna Wydawnicza „Rytm”, Warszawa 2001).

Księga składa się z dwóch tomów. Pierwszy zawiera – poza ponad 300-stronicowym spisem absolwentów wszystkich Korpusów – historię szkół kadeckich w Polsce międzywojennej, omówienie poszczególnych Korpusów, listy komendantów (i ich życiorysy), dowódców, wykładowców i kilku innych grup pracowników – oraz wielką ilość fotografii osób i obiektów. Drugi tom to uzupełnienie spisu absolwentów przedwojennych (po dalszych, kilkuletnich poszukiwaniach) oraz spis junaków z Palestyny.

Pierwszy Korpus Kadetów został założony w Polsce – jako Szkoła Rycerska – przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego w 1765 r. w Warszawie, a rozwiązana po upadku Insurekcji Kościuszkowskiej w 1794 r. Jej wychowankami byli: T. Kościuszko, J.U. Niemcewicz, generałowie K. Kniaźiewicz, J. Sowiński, J. Jasiński, K. Sierakowski i jeszcze kilku naszych bohaterów przełomu XVIII/XIX w. oraz Powstania Listopadowego. W czasach Księstwa Warszawskiego powstały dwa Instytuty Kadeckie – w Chełmie i Kaliszu, jednak w warunkach zaboru rosyjskiego zostały zniesione.

Dopiero w 1918 r. utworzono Korpus Kadetów, czasowo w Łobzowie pod Krakowem, ale w 1921 r. został on przeniesiony do Lwowa, gdzie istniały lepsze dla tego celu warunki. W 1933 r. otrzymał on nazwę Korpusu Kadetów nr 1 Marszałka J. Piłsudskiego (KK 1).

Korpus Kadetów nr 2 powstał w 1919 r. w twierdzy modlińskiej, rychło został jednak przeniesiony do Chełmna, a w 1936 r. został włączony do Korpusu nr 3 w Rawiczu, który założono w w 1935 r. – od tej chwili stały się KK 2. Wszystkie przestały istnieć w 1939 r.

Oblicza się, że w latach 1918–1939 z wszystkich korpusów wyszło ok. 2800 absolwentów. W chwili wybuchu wojny uczyło się jeszcze ok. 950, a odeszło w trakcie nauki ok. 400. łącznie więc we wszystkich korpusach było ca. 4150 absolwentów i elewów.

Nowy, choć krótki rozdział polskich szkół kadeckich to Junacka Szko-

ła Kadetów w Palestynie (1942–48), która powstała dla napływającej młodzieży zwolnionej z zesłania na *niełudzką ziemię* z zaanektowanych przez sowieńców wschodnich województw II RP.

📖 Oprócz wyżej opisanej 2-tomowej historii polskich szkół kadeckich Związek Kadetów II RP wydał skrócone opracowanie pt. **Wydanie specjalne na 90-lecie Korpusów Kadetów II RP 1918–1939–2008**, w opracowaniu autorskim i pod redakcją **Zbigniewa Mikołajczaka** z gronem współpracowników. Obwolutę – jak dla tamtych tomów – zaprojektował Adam Kilian, znakomity grafik, rodem ze Lwowa (z ul. Kadeckiej, wywieziony z matką do Kazachstanu w 1940 r.).

Książka prezentuje w sposób pełny, choć skrócony, historię korpusów z czasów międzywojennych, a fakty przedstawia w sposób wspomnieniowy, zarówno wobec wydarzeń, problemów, jak i ludzi. Dzięki temu, a także dzięki licznym ilustracjom – książka o niewielkich rozmiarach staje się lekturą dla szerokiego spectrum czytelników, nie tylko o historycznych zainteresowaniach. Publikacja została wydana z pomocą Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa (Warszawa 2008).

📖 Od naszej członkini, a także autorki, p. Marii Dayczak-Domanasiewicz, dostał się książeczkę – nadbitkę z Rocznika Biblioteki Naukowej PAU i PAN w Krakowie (rok LIII, 2008) pt. **Z dni wielkich przemian**, będącą fragmentem wspomnień znanego niegdyś architekta lwowskiego **Wawrzyńca Dayczaka** o swym ojcu Macieju ze wsi Reniów w powiecie brodzkim.

Wspomnienia W. Dayczaka – pamiętamy, że był zarazem twórcą tzw. Drużyn Bartoszewych (patrz CL S/98) – nie zostały dotąd opublikowane. Szkoda, bo obejmują długi oraz bogaty w wydarzenia i problemy – nie tylko osobiste – ponad 80-letni szmat naszej historii, szczególnie historii Ziemi Południowo-Wschodnich, historii polityczno-niepodległościowej, społeczno-kulturalnej, a wreszcie zawodowej i rodzinnej. Dodajmy że historii, która przebiegała w trzech epokach: zaboru austriackiego, międzywojennej i po II wojnie światowej (W. Dayczak żył w latach 1882–1968).

Omawiana książka stanowi jeden rozdział spośród 27. Do najciekawszych nale-



żą na pewno rozdziały I–VI, które opisują wieś podolską z końca XIX w.; rozdziały o Drużynach Bartoszewych i Liceum Krzemienieckim; a wreszcie te, w których autor omawia swoją twórczość architektoniczną. To wszystko są nieocenione źródła do historii Małopolski Wschodniej i jej polskości.

Wśród wielu informacji o swym ojcu – rolniku i gospodarzu, działaczu społecznym i kulturalnym, wójcie w Reniowie – wymienia autor jego zainteresowania i zdolności literackie. Spośród kilku cytowanych wierszy Macieja Dajczaka – prezentujemy u dołu jeden, charakterystyczny.

📖 W CL 4/08 czytaliśmy artykuł napisany przez pp. Z. i T.Z. Bednarskich o malarzu Stanisławie Dębickim, który – wywodząc się z Małopolski Wschodniej i mocno związany z tym regionem przez niemal 2/3 swego 58-letniego życia (Lubaczów, Kołomyja, 9 lat we Lwowie), a także szereg lat za granicą (Monachium, Wiedeń, Paryż) – osiadł ostatecznie w 1909 r. na lat 15, do końca życia, przy krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych,

przejmując pracownię malarstwa religijnego i dekoracyjnego po Stanisławie Wyspiańskim (co ciekawe – też o korzeniach wschodniomałopolskich – syna rzeźbiarza Franciszka, urodzonego w podlowskiej Bóbrce, wśród licznie rozrodzonych tam i w pobliskim Świrzu Wyspiańskich – przyp. red.).

Wspomniany artykuł stanowił skrót jednego z rozdziałów niezwykle ciekawej książki **Zofii i Tadeusza Z. Bednarskich** pt. **Krakowskim szlakiem Stanisława Dębickiego**, zadedukowanej *wspomniałym krakowianom o lwowskich korzeniach* (Oficyna Wydawniczo-Drukarska „Secesja”, Kraków 2009). Książka, jak cała seria opisana przez nas w CL 1/09, jest luksusowo wydana, zawiera bardzo wiele ilustracji – reprodukcji dzieł Dębickiego i innych malarzy, a także fotografii omawianych obiektów w różnych miastach Europy.



*Ej, nie masz to kraju
jak nasze Podole.*

*Te sady, ogrody
I te żyzne role,
i te bujne łąki,
jeziora, kotłiny,
falujące góry,
pagórki, doliny.*

*Te łąki i pola,
co zbożem kołyszą,
te kwiaty i zioła
miłą wonią dyszą.
Te drobne strumyki
szemrzą cichą piosnką.
Te rzeki, te stawy,
co błyszczą przed wioską.*

*I ten szum lasu,
co żałośnie mruczy,
ta zwierzyna dzika,
co się tutaj tuczy.
I ten szczebiot ptasi,
co poi słuch ludzi,
i ta ruń zielona,
co się wiosną budzi.*

Nasza Ziemia

*Te gaje okrągłe
za wsią rozrzucone,
i te niskie chatki
czysto wybielone.
Te szlacheckie dwory
i dworki ustronne,
te kościoły, cerkwie,
klasztery zakonne.*

*I ten lud spokojny,
cichy, pracowity.
I ta Ojców wiara,
ten hart pospolity.
I ta ufność Bogu
wyznawana szczerze,
i to przywiązanie
do swoich pasterzy.*

*I te piosnki proste
i dumki jak lutnie,
co słycać przy pracy
wesoło i smutnie.
I te pory roku,
co gdzieś w otchłani lecą,
i te dnie, co w życiu
człowiekowi świecą.*

*Te gościńce, drogi
i ścieżyny kręte.
Te kapliczki Świętych
przy boku upięte.
I to rozpostarte
ramię Bożej męki.
I te na rozstaju
wskazujące ręki.*

*I ten śnieg bielutki,
co go każdy czuje.
I ten mróz, co biednym
na oknach rysuje.
I te cmentarzyska,
gdzie starzy i młodzi,
gdzie puchacz po nocy
swe trele zawodzi.*

W dziesięciu rozdziałach książki poznamy chronologicznie etapy życia, twórczości, pracy pedagogicznej i przyjaźni malarza. Dowiadujemy się m.in. o jego działalności artystycznej we Lwowie i innych miejscach Małopolski Wschodniej. We Lwowie stworzył polichromie w foyer nowobudowanego Teatru Wielkiego i w jednej z kaplic Katedry łacińskiej. W Kołomyi pracował jako pedagog w Szkole Garncarskiej, a stamtąd wyjeżdżał na Huculszczyznę, by malować krajobrazy i Huculów. Współpracował z Zukerkandlem ze Złoczowa, pokazywał swoje obrazy na wystawach.

Najszerzej opisują autorzy oczywiście lata krakowskie, będące ukoronowaniem doświadczeń artystycznych Dębickiego, jego związki z bogatym środowiskiem artystycznym, a także przedstawiają liczne o nim, pełne uznania opinie.

Autorzy informują, że następna planowana książka z cyklu będzie dotyczyć Fryderyka Pautscha, również profesora krakowskiej ASP i również syna wschodniomałopolskiej Ziemi (urodzonego w Delatynie nad Prutem).

📖 Pan **Emil Hlib**, lwowianin rodowity, dziś zamieszkały we Wrocławiu, jest nam dobrze znany z paru książek – głównie z piosenkami – które omawialiśmy. A teraz dotarła do nas nowa książeczka pod znamiennym tytułem: **Moje chodzenie po Lwowie** (wyd. „Sudety”, Wrocław 2006).

Książka o prawie 280 stronach tekstu i tyłuż przynajmniej zdjęciach (szkoda, że marnie wydrukowanych, ale to nie wina autora) i wielu nutach, nie ma żadnego ciągu narracyjnego. Składa się z kilkudziesięciu, czasem luźno ze sobą związanych krótkich tekstów

– jakby *ad hoc* czynionych zapisków – na wiele tematów – o mieście, historii i współczesności, o obiektach i ludziach, o zagładzie Żydów lwowskich, o odwiedzanych miejscowościach podlwowskich, nawet o czystości i śmieciach, a między tym wszystkim – o własnym życiu i rodzinie. Teksty przeplatają się z piosenkami.

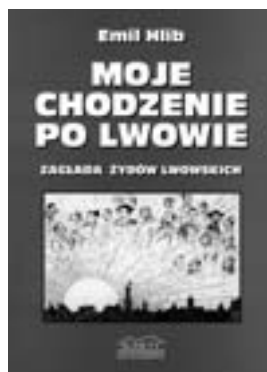
Jednak ten „groch z kapustą” jest pożyteczny i przyjemny w czytaniu, nie nuży. Można sobie wyobrazić, że wiele osób nie weźmie do rąk książek tradycyjnie skomponowanych, trudniejszych w odbiorze (choć dziś np. autorzy przewodników starają się je okraszać „ramkami” z dygresjami, nawet anegdotami), natomiast przeczytanie zawartego tutaj mnóstwa informacji poważnych i błahych może doskonale wprowadzić w szeroką wiedzę o Lwowie wszystkich epok.

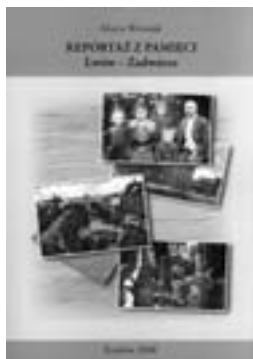
📖 Skalatczanie wydali już trzeci tomik poświęcony swemu rodzinnemu miasteczku – Skalatowi oraz kilku innym okolicznym miejscowościom: Staremu Skalatowi, Połupanówce, Horodnicy i jeszcze paru czy parunastu innym. Tomik, będący zbiorem wielu tekstów różnych autorów, został (jak poprzednie) wydany jako zeszyt specjalny (nr 8) czasopisma „Głosy Podolan” (Warszawa 2008) pod tytułem **Skalać czasu pokoji i wojny. Wspomnień księga trzecia**. Materiały zebrali **Wacław Barczyk, Antoni Gołębiowski i Jerzy Stopa**. Przypomnijmy, że poprzednie tomiki ukazały się w latach 2001 i 2003, a omawialiśmy je w CL 2/01 i 2/03.

Tomik składa się z dwóch części. W pierwszej zebrano liczne i różnorodne materiały (ponad 300 stron w formacie A5), nadesłane z różnych stron kraju i zagranicy. Są to głównie wspomnienia – jak w tytule – z czasów przedwojennych, z lat II wojny, ekspatriacji i z lat powojennych. Są także materiały biograficzne. Część druga to *Indeks nazwisk dawnych mieszkańców Skalatu i Ziemi Skalaćkiej*. To zapewne uzupełnienie podobnego, zamieszczonego w tomie drugim. Tu jednak zabrakło nam rodziny Winowskich – pani dr Janina Winowska, córka sędziego w Skalacie, była współorganizatorką naszego środowiska ekspatrianckiego w Krakowie w latach 1980.

Wszystkie materiały zamieszczone w trzech tomach skałackich to niezwykle wartościowy materiał – dokument, który jest legitymacją polskości tamtego obszaru.

📖 Biblioteka Cracovia-Leopolis wzbogaciła się o siódmy tom: **Reportaż z pamięci. Lwów–Zadwórze**. Są to wspomnienia, spisane przez **Martę Woźniak**, lwowiankę, ak-





torkę i autorkę artykułów publikowanych w naszym kwartalniku, zmarłą przedwcześnie przed czterema laty. Wspomnienie o niej ukazało się w CL 3/2007. Pozostawione przez nią teksty przygotowali do druku Jan Paweł Gawlik, Teresa Leśniak oraz Barbara Szumska (wyd. Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów PW, Kraków 2008).

Książka Marty Woźniak to wojenne i po-wojenne losy rodziny, która „od zawsze” żyła na ziemiach wschodnich. Liczne są odniesienia do czasów dawniejszych, miejsc, wydarzeń i ludzi.

Danuta Nespiak (DN)

Elżbieta Mokrzyńska

Wertując wydawnictwa

➔ W „Dzienniku Polskim” z 28 II '09 w Krakowie ukazał się obszerny i doskonały – bo zawierający rzetelną prawdę i pozbawiony politykierskich odchyłeń – artykuł Bogusławy Marcinkowskiej, prokuratora krakowskiej Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciw Narodowi Polskiemu, prowadzącej śledztwo w sprawie zbrodni w Hucie Pieniackiej, pt. *Szczęśliwy los spotkał tych, którzy zginęli od kul*.

Prok. Marcinkowska relacjonuje zeznania 60 pokrzywdzonych (którzy przeżyli masakrę lub stracili w niej najbliższych), opisujących szczegółowo wydarzenia z 28 lutego 1944, kiedy to Ukraińcy z SS Galizien w niebywale okrutny sposób urządzili rzeź Polaków, mordując około 1000 osób, bez różnicy wieku i płci, a następnie – pijani – obrabowali pozostały dobytek pomordowanych Polaków.

Nasuwa się refleksja (red.): **Jakże rażąco zabrzmiało przemówienie prezydenta RP**, który w czasie uroczystości ku Pamięci Ofiar na polach zbrodni ludobójstwa w jej 65. rocznicę mówił o Hitlerze i Stalinie, o nazistach i komunistach, jednak ukraińskich morderców nie nazwał po imieniu, podsuwając wręcz argumenty niewinności ukraiń-

skim nacjonalistom. Dlaczego więc mieliby się do tej zbrodni przyznawać potomkowie morderców, skoro – uprawiając naiwną politykę – prominentni rodacy Ofiar nie chcą głośno wyrazić prawdy? Nic więc dziwnego, że w pierwszych słowach swojego przemówienia prezydent Ukrainy gorąco podziękował swemu polskiemu koledze i nazwał go swym przyjacielem.

Żenujące.

➔ W „Dzienniku Polskim” z 2 II '09 A. Zechenter zamieściła krótki artykuł pt. *Nieprzedawnione, o obiegu tajnej korespondencji na linii ZSRR–USA z 1944 r.* w sprawie odebrania Polsce ziem wschodnich przez Sowietów. „Bohaterem” tych dokumentów jest prezydent Roosevelt, którego niebywała głupota polityczna (trudno to inaczej nazwać) albo zła wola doprowadziła do całkowitego podporządkowania polityki amerykańskiej sprytnym zabiegom Stalina i jego aparatu polityczno-szpiegowskiego.

Warto wynotować, że w całej tej afereze nie zabrakło komunistów polskich (dość szczególnych, sądząc po nazwiskach) działających na rzecz Moskwy. Oto szefem sekcji polskiej w Biurze Informacji Wojennej USA był Artur Salman, który potem zmienił nazwisko na Arski (!), a zmarł w 1993 r. w Warszawie. Jego współpracownikiem był socjolog Aleksander Hertz. To oni spowodowali ukazanie się w gazecie amerykańskiej postaci rzekomego oficera polskiego, jakoby zastrzelonego w Katyniu, który miał udowodnić nieprawdziwość mordu katyńskiego. Innym – podobno najważniejszym – agentem NKWD w USA był Bolesław Gebert (zmarły w 1986 r. w Warszawie, który jeszcze przed wojną organizował sieć wywiadu wśród emigrantów w miastach amerykańskich).

Jednym z agentów sowieckich w Ameryce był osobisty asystent prezydenta USA Lauchlin Currie, który miał wielki wpływ na Roosevelta i to jemu prawdopodobnie zawdzięczamy zgodę Roosevelta na żądanie Stalina, by ZSRR zatrzymał połowę Polski.

Wracając jednak do tamtych „polskich” agentów komunistycznych – oto okazuje się, że na starość wracali do „ojczyzny” i tu składali swoje sterane kości. Tu mieli przecież swoje rodziny i – przyjaciół. Tych czasem oglądaliśmy i słuchaliśmy w telewizji.

➤ Nowy numer „Płaju” (35, 2008) w całości poświęcony jest **Huculszczynie, Hucułom i Vincenzowi**. Wszystkie numery tego półrocznika piszą wiele o Karpatach Wschodnich, tu jednak – wyłącznie. Na 230 stronach znalazło się 17 artykułów, w tym jeden samego Vincenza. Ponadto: recenzje książek wydanych w ostatnich paru latach na ten sam temat, a także 4 serie starych zdjęć (od XIX w. aż po II wojnę).

W przypadku podobnych wydawnictw interesuje nas zawsze miejsce polskości tam zawartej. Jest oczywiste, że Huculi nie byli w dużej mierze etnicznymi Polakami, lecz (podobnie jak Bojkowie i Łemkowie) z pochodzenia Wołochami, z domieszką krwi ruskiej, węgierskiej, polskiej. Będąc jednak wyznania prawosławnego (jak Wołoszczyna), z natury wiązali się – za pośrednictwem wspólnych cerkwi – z Rusinami, przyjmując ich język. Nie znaczy to jednak, byśmy się godzili na nazywanie ich dziś Ukraińcami.

Dlatego też – nie zgłaszając uwag na ten temat do większości artykułów w „Płaju” 35 – dziwimy się Dariuszowi Dylągowi, że w swym artykule *Vincenz – potrzeba własnej mitologii* – po pierwsze już na wstępie parokrotnie łączy Vincenza z ukraińskością (słowo *Polak* nie pada), a przecież był Polakiem, mimo niepolskiego nazwiska, urodził się na ziemiach zabranych Polsce przezaborców, swoje książki, a przede wszystkim *Na wysokiej połoninie* pisał po polsku, zaś po śmierci jego szczątki złożono w Polsce – w Krakowie (a nie na Ukrainie). Po drugie przedwczesne wydaje się oficjalne stosowanie nazwy *Karpaty Ukraińskie* (choć do państwa Ukraina dziś należą), bo co będzie, gdy Ruś Zakarpacka upomni się o swoją tożsamość, jak dowiedzieliśmy się niedawno z mediów?

Mimo tych uwag, „Płaj” 35 bardzo polecamy naszym Czytelnikom, którzy Huculszczynę i Karpaty Wschodnie pamiętają sprzed wojny, albo młodszym – z wypraw w tamte strony w ostatnich latach.

➤ Dzięki naszemu Przyjacielowi z Przemysłu p. Adamowi Wojdyle otrzymaliśmy 2 numery całkiem nam dotąd nieznanego kwartalnika „**Głos znad Sanu**”. To społeczno-kulturalne, ilustrowane czasopismo wydaje Stowarzyszenie o tej samej nazwie,

a jego redaktorem naczelnym jest p. Małgorzata Dachnowicz.

Pismo jest bardzo ciekawe – dla nas szczególnie – bo to wszak dawne województwo lwowskie, a dodatkowo ujmuje nas cała seria artykułów związanych z naszą ziemią rodzinną. Nic dziwnego – Przemysł to wszak brama do Małopolski Wschodniej!

Jest oczywiste, że w każdym numerze pisze się najwięcej o samym Przemysłu, o jego historii i dniu dzisiejszym, o kulturze i ludziach, ale także o całym regionie. Przykładem – drugi (chronologicznie) z nadesłanych numerów – 11 (2008), w większości poświęcony Dubiecku i jego okolicy – gminie.

Są i *Jeopolitana*: artykuł W. Pankiewicza *O lwowskim bałaku*. Autor ubolewa, że lwowski dialekt jest przez naszych językoznawców zaniedbywany, my jednak sądzimy, że nie jest tak źle, jest za to wiele innych dziedzin, które proszą się o szersze i głębsze zainteresowanie ze strony naukowców – choćby monografie miast, miasteczek i niektórych wsi w Małopolsce Wschodniej. Na marginesie: pamiętajmy, że ten ugó tematyczny wykorzystuje tzw. *nauka* ukraińska, produkując nonsensowne, kłamliwe, pseudonaukowe opracowania, które trafiają do ignoranckich warstw także naszego społeczeństwa.

Numer wcześniejszy, 9–10 (2008) przynosi artykuł tegoż W. Pankiewicza: *Po co na dawne Kresy?* Pod tym tytułem kryje się potęga tęsknoty za utraconą ziemią rodzinną, o pamiątkach, które ekspatrianci przywożą sobie z wyjazdów w ojczyste strony (piszący te słowa także przywiózł sobie taką pamiątkę: dość okazałych rozmiarów otoczek z Czeremoszu, przewieziony pod autokarowym fotelem!).

S. Szarzyński pisze o Zadwórze 2008 – Polskich Termopilach, a M. Dachnowicz o III Młodzieżowym Międzynarodowym Festiwalu Pieśni Patriotycznej w Przemysłu. Przyjechali na to młodzi z Drohobycza, Czortkowa, Sambora, Sądowej Wiszni i wielu innych z Małopolski Wschodniej, z Wołynia, Grodzieńszczyzny i z Ukrainy.

Ponadto w obu numerach sporo o uroczystościach – w Hucie Pieniackiej, o imprezach we Lwowie, Żółkwi.

Pan Adaśku obiecał, że będzie nam nadal dostarczał numery tego ciekawego czasopisma. Z góry dziękujemy!

➤ Tegoroczny nr 1 kwartalnika „Na Placówce” (Zakopane) poświęcił dużą część tekstu (prawie 1/3 całego numeru) Rzezi Wołyńskiej i SS-Galizien, z kilkunastoma dokumentalnymi zdjęciami. Z okazji 65. rocznicy wydarzeń tamtego czasu **zorganizowano w Zakopanem manifestację** z udziałem kombatanatów, wielu przedstawicieli gmin podhalańskich, licznych pocztów sztandarowych.

➤ Ukazała się książka pt. *Krystyna Skarbek. Agentka o wielu twarzach*, autorstwa Jana Lareckiego. Bohaterka tej książki nie pochodziła z arystokratycznej rodziny Skarbków, znanej przez kilka wieków w Małopolsce Wschodniej, a szczególnie, jak pamiętamy, zasłużonej dla Lwowa.

Inna, mniej eksponowana linia szlacheckiej rodziny Skarbków żyła na Mazowszu i z tej właśnie pochodziła Krystyna Skarbek (1915–1952). Uczyła się m.in. w szkole ss. Niepokalanek w Jazłowie. W czasie II wojny światowej związała się z wywiadem angielskim, odnosząc wiele sukcesów. Jej życie osobiste było niezwykle bogate. Została zamordowana.

➤ Przed wejściem do jednego z kościołów krakowskich zauważyliśmy ogłoszenie

o pielgrzymce do Niżankowic k. Przemyśla, gdzie przetrwał mały kościółek z XV w. z figurą Matki Bożej z Lourdes. Od 2005 r. obserwuje się **nadprzyrodzone zjawisko: z oczu MB w szczególnych momentach ciekną łzy**. W 2008 r. zanotowano 105 takich przypadków. Kościół został podniesiony do rangi Sanktuarium Matki Bożej Opatrzności.

Pielgrzymka ma się odbyć w kwietniu, maju i wrześniu '09, a przy okazji uczestnicy mają okazję zwiedzenia Lwowa, a może i Starej Soli k. Dobromila.

Przypomnijmy, że Niżankowice leżą na południe od Przemyśla, a kordon jałtański poprowadzono tak, by miejscowość znalazła się po tamtej stronie – powstał swego rodzaju sowiecko-ukraiński półwysep, wcinający się w obszar RP.

➤ Ukazała się książka o życiu codziennym Ojca Św. Jana Pawła II pt. **Najbardziej lubił wtorki**, oparta na wspomnieniach ks. **Mieczysława Mokrzyckiego**, wcześniej drugiego sekretarza Papieża, a obecnie arcybiskupa Lwowa, opracowana przez **Brygidę Grysiak**, zarazem współautorkę (Wydawnictwo „M”, Kraków 2008).

JAK RATOWAĆ POLSKIE DOBRA KULTURY

dokończenie ze s. 28

tego, co zniszczyli, mam na myśli spalone muzeum Krasińskich, Bibliotekę Narodową etc., to powinni odwzajemnić się poważnym darem. Moim zdaniem co najmniej część tego daru powinna być użyta jako pomoc dla Ukraińców w odbudowywaniu ich zabytków kultury. Widziałem teraz wspaniałe zamki, bardzo zniszczone: Podhorce, Złoczów. Otóż Polacy mogliby za uzyskane pieniądze pomóc w odbudowywaniu dóbr ukraińskich, także tych, które stanowią ślady polskiej kultury, a teraz należą do Ukrainy.

Jest to fragment rozmowy Jana Nowaka Jeziorańskiego z korespondentem dziennika „Pik” z Kijowa. Całość tej rozmowy została wydrukowana w wydawnictwie III Festiwa-

lu Kultury Ukraińskiej „Ukraina Viva”, która odbyła się we Wrocławiu 2–6 października 2003 roku pod patronatem Ministra Kultury RP W. Dąbrowskiego, ambasadora Ukrainy O. Nykonenki, mera Lwowa L. Buniaka oraz władz wojewódzkich i miejskich Wrocławia. Organizatorem tego Festiwalu było Kolegium Europy Wschodniej we Wrocławiu, utworzone w 2001 roku z inicjatywy Jana Nowaka Jeziorańskiego.

Od redakcji: najgorsze jest to, że wielu ludzi w Polsce i poza Polską może uznać takie wypowiedzi jak zacytowana – Nowaka Jeziorańskiego i podobnych mu osobistości (przeważnie z emigracji) – jako stanowisko znajdujące aprobatę w naszym społeczeństwie. O ich szkodliwości nie trzeba przekonywać, bo potem powołują się na nie osoby, niemające wiele wspólnego z naszym narodowym interesem i polityką, a nade wszystko naszą godnością.

czy realizacji Domu Polskiego we Lwowie, nieuregulowanie spraw własnościowych na Litwie, a nawet kwestia przekręcania tam nazwisk polskich.

Nie od rzeczy będzie zauważyć negatywne działania hierarchów i podległego im kościoła Kościoła rzymskokatolickiego – w kwestii języka polskiego w kościołach i katechezie. Problem ten porusza także ks. prof. J. Wołczański w rozmowie zamieszczonej w tym kwartalniku. W następnym numerze przedstawimy list mieszkańców Lwowa do nowego arcybiskupa, którego z taką nadzieją oczekiwano – czy na próżno?

Te sprawy zostały wreszcie zauważone przez nasze społeczeństwo, przez uczciwą część dziennikarzy. Dodajmy, że istnienie w kraju licznych towarzystw ekspatrianckich stworzyło dość dobre oparcie ideowe i merytoryczne dla działań w interesie narodowym.

Wracając do pytania – czy możemy pozostawić po sobie coś, co zapewni utrzymanie osiągniętej wreszcie świadomości – odpowiadamy: dążmy do powstania instytucji, która statutowo będzie zajmować się problematyką kresową. Dopóki nie powstanie (a są dziś trudności polityczne i zwykła ignorancja *nowych inteligentów*) kontaktujemy się ze środowiskami uniwersytetów i instytutów, z naukowcami i publicystami, starajmy się brać udział w ich konferencjach, sesjach i podobnych imprezach naukowych. Przekonujemy młodych, by podejmowali kresowe tematy, pomagajmy im w tym.

Działajmy jeszcze intensywniej w kwestii wyjaśniania i interweniowania wszędzie tam, gdzie można uzyskać godziwe efekty.

Redakcja

* Kresów w szerokim rozumieniu, przede wszystkim jednak Lwowa.

** m.in. ks. T. Isakowicza-Zaleskiego, min. A. Przewoźnika, Sz. Siekierkę.

*** a w tym dwóch spośród 4–5 naszych głównych ośrodków kultury: Lwowa i Wilna.

Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej
Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa.
Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym

Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska.
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Ireneusz Kasprzysiak, Barbara Kościk, Romana Machowska, Anna Madej, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Barbara Szumska, Maria Taszycka, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska
Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl
Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl
Informacje o kwartalnikach CL: Romana Machowska, tel. (12) 637 1321

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, 294 15 28, e-mail: fall@fall.pl
Druk: Drukarnia Pijarów, 31-465 Kraków, ul. Dzielskiego 1, tel. (12) 413 76 51
Nakład 750 egz.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

Słowo od redakcji
PO JUBILEUSZU

Cytaty
MIASTO JAK BRYLANT (6)

Stanisław Dziedzic
ŚLICZNA GWIAZDA MIASTA LWOWA

ZADUMA O LWOWIE

Archiwum
LWÓW JEST JEDEN...

Henryk Kleinrok
TARNOPOL MA NOWY KOŚCIÓŁ

Janusz Hodyr
O KAZIMIERZU SICHULSKIM, MYŚLIWYCH
I KOŚCIELE ŚW. ELŻBIETY (1)

Zbigniew Kabata
KADECI

Jan Ernst
LWOWSKA SZKOŁA GEOGRAFII

APEL DO WSZYSTKICH STROŃSKICH

Henryk Breit
ZAMKI, LOCHY I GROTY

Danuta Nespiak
JAK RATOWAĆ POLSKIE DOBRA...

Rozmowy
Janusz M. Paluch
ROZMOWA Z KS. PROF. JÓZEFEM
WOŁCZAŃSKIM

UROCZYSTOŚĆ W KAMIONCE
STRUMIŁOWEJ

Wspomnienia

Joanna Halaunbrenner-Lisowska
MOJE DZIECIŃSTWO WE LWOWIE...

II Anna Waligórska-Wnuk
NASZA KAMIENICA

Wacław Gaberle
1 JAN ZAHRADNIK (1904–1929)

Poezja
2 Jan Zahradnik
JUŻ NIC MNIE NIE OCALI ♦ HAMLET
5 W KNAJPIE ♦ KOLUMB W MORZU
♦ PRZYJACIELU

9 Z ostatniej chwili

Proza
12 Stanisław Wasylewski
W MIEŚCIE KOSSAKA I GROTTGERA

Jerzy Kapłon
17 TURYSTYKA W KARPATACH
WSCHODNICH (2)

22 Słownik geograficzno-
-historyczny
23 LWÓW – ULICE I PLACE
STAREGO MIASTA (2)

25 Sylwetki
Andrzej Michałowski
DWIE LINIE ŻYCIA

Kultura ♦ Nauka
Emilia Fedyk, Anna Cendrak
28 IMPRESJE LWOWSKIE
KRONIKA

Konferencja naukowa
LWOWSKA SZKOŁA MEDYCYNY

29 Książki ♦ Czasopisma
NOWE KSIĄŻKI
35 WERTUJĄC WYDAWNICTWA

39

43

47

49

50

50

54

57

58

62

62

64

64

70